

WYDANIE SPECJALNE NA MAJÓWKĘ – 100 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 17-18/626-627 22 KWIETNIA-4 MAJA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

TRUMP ODTAJNIŁ AKTA:
Kto naprawdę stał
za zabójstwem Kennedy'ego?

Co doprowadziło WITKACEGO
do samobójstwa

LUKRATYWNE KONTRAKTY
dla celebrytów za walkę z PiS



Czy Polska
musiała
upadść?

JAK UNIKNAĆ
BŁĘDÓW
I RZECZYPOSPOLITEJ

Piszą:
Komuda, Ziemkiewicz, Warzecha

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 43 500 egzemplarzy

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Inwestuj w wolność!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Kapitał wygrał
wolność słowa w USA.
W Polsce zrobimy
to samo.”*

Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie Trzaskowski, nie Nawrocki

Po trzech debatach prezydenckich, dwóch w piątek, jednej w poniedziałek, coś się wyjaśniło.

Po pierwsze, największym zwycięzcą debat okazała się – uwaga – Telewizja Republika. To ona wykazała się refleksem w piątek, kiedy to na późny wieczór trzy duże telewizje zaplanowały rozmowę dwóch kandydatów, Rafała Trzaskowskiego i Karola Nawrockiego, i urządziła własną debatę na rynku w Końskich. W ten sposób postawiła kandydata Platformy pod ścianą. Nie mógł udawać, że nie dostrzega znajdujących się o kilkaset metrów od siebie pozostałych kandydatów, i musiał w związku z tym zaprosić ich do dyskusji. To, co było misternie zaplanowaną pułapką – Trzaskowski był pewien, że występując w przyjaznym otoczeniu TVP, TVN i Polsatu, łatwo sobie poradzi z kandydatem wspieranym przez PiS – okazało się katastrofą w chwili, gdy musiał zmagać się z resztą kandydatów. Republika zorganizowała i przeprowadziła też profesjonalną własną dyskusję w poniedziałek.

Po drugie, cała operacja była możliwa dzięki Szymonowi Hołowni. Gdyby nie przyjechał do Końskich i nie wystąpił w Republice, Rafał Trzaskowski nie musiałby się godzić na szeroką debatę. Hołownia jest sprawnym retorycznie i wyrwał się chwilowo z kleszczy premiera Tuska. Można się spodziewać, że za tę samodzielność zapłaci odpowiednią

cenę. Czy będą to nowe przecieki ze śledztwa w sprawie Collegium Humanum?

Po trzecie, na razie największym przegranym okazał się Rafał Trzaskowski. Nie był przygotowany na zmianę formuły pojedynku z jeden na jeden. Nie przewidział też posunięcia Karola Nawrockiego, który wręczył mu w pewnym momencie tęczową flagę. Trzaskowski ją schował, co wychyliła Magdalena Biejat i ją odebrała. Tym samym Trzaskowski został przyłapany na gorącym uczynku, a jego hipokryzja i miałość zostały obnażone. Kandydat, który będąc prezydentem Warszawy, podpisał kartę praw LGBT, wspierał budowę muzeum queer i paradował w najlepsze z tęczową flagą w paradach równości, teraz zaczął się nagle swojego sztandaru wstydić. Wypadł błado i niemrawo. Czasy, kiedy wystarczyło pokonać oponenta, oskarżając go o głoszenie ruskiej propagandy, jak to zrobił w stosunku do Karola Nawrockiego, minęły. Po niepowodzeniu w piątek przyszedł nawet jeszcze gorszy poniedziałek, kiedy to Trzaskowski nie przyszedł na debatę, a jego sztab nie potrafił wymyślić żadnego sposobu na jej zneutralizowanie, nawet tak prostego jak udzielenie w tym czasie wywiadu w TVN.

Słabo, po czwarte, w debacie w poniedziałek wypadł Sławomir Mentzen. Był sztywny, zdenerwowany, do znudzenia powtarzał tę samą frazę, że kto nie chce, żeby wygrał Trzaskowski, ma głosować na niego. Wdał się

także w ulubioną bijatykę między PiS i PO o to, kto jest większym przyjacielem Putina, przychodząc na debatę Republiki ze zdjęciem Tuska i prezydenta Rosji. Na tym polu nie ma szans z Karolem Nawrockim, który mógł wykazać się zburzeniem ponad 40 sowieckich pomników.

Poradził on sobie zresztą lepiej, niż się spodziewałem. Nie był wprawdzie błyskotliwy, ale też uniknął wpadek. Nie dał się zapędzić w kozi róg. Powtarzał sprawnie swój główny, słuszny i patriotyczny przekaz. Nie wykorzystał jednej okazji, gdy na pytanie Sławomira Mentzena, zamiast zdystansować się od niektórych błędnych posunięć za czasów rządów PiS, zmienił temat.

Formuła debat nie odpowiada najwyraźniej Grzegorzowi Braunowi. Zbyt długo zbiera myśli, wypowiada się zawiłe i wpada w niepotrzebne dygresje. Musi się nauczyć używać celnych ripost.

Zaskakująco dobrze wypadł Krzysztof Stanowski – może dlatego, że łatwiej zajmować pozycję szydercy, niż proponować i bronić czegoś pozytywnego. Dwie jego wypowiedzi były mordercze: pytanie niejakiego pana Maciaka o to, kim jest (sam zachodziłem w głowę kto zacz), i odczytanie fragmentu dzieła Rafała Trzaskowskiego o jego bohaterskich zmaganiach z rekinami.

Wniosek: czeka nas druga tura, w której Karol Nawrocki nie jest bez szans w starciu z Trzaskowskim. ©©

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 5 MAJA 2025 R.

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
KTÓRY TO ETAP UPADKU?
Państwa upadają po cichu

19 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KIEDY POLACY TRACĄ POLSKĘ

22 JACEK KOMUDA
**DLACZEGO UPADŁA
I RZECZPOSPOLITA**



KRAJ

26 JAN FIEDORCZUK
KULAWY PRZEMYSŁ ROZLICZEŃ
Wielka porażka Bodnara i Tuska

30 PIOTR SEMKA
**BOHATER
ZE SWASTYKĄ NA PIERSI**

32 ROZMOWA Z BARBARĄ NOWAK
KOCHAĆ I CHRONIĆ

35 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
CZAS NA NAGRODY ZA WALKĘ Z PIS

38 RADOŚLAW WOJTAS
DZICY GOŚCIE

KULTURA

42 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM PAWLAKIEM
**CO DOPROWADZIŁO WITKACEGO DO
SAMOBÓJSTWA**
To nasz najwszechstronniejszy myśliciel i twórca

46 BŁAŻEJ TORAŃSKI
KASA PISARZA

50 PIOTR GOCIEK
KONIEC ROZMOWY

53 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – JACEK KLEYFF

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, WYSTAWA, GRA

OPINIE



58 FILIP MEMCHES
**ZŁUDNE OBLICZE ROSYJSKIEGO
TRUMPISTY**
Aleksander Dugin i MAGA

62 ADAM WIELOMSKI
ODKŁAMAĆ DUCHA TRYDENCKIEGO

64 PAWEŁ CHMIELEWSKI
**ZAGŁADA
CYWILIZACJI ZACHODU**

HISTORIA

66 WOJCIECH GOŁONKA
**KTO NAPRAWDĘ
STAŁ ZA ZABÓJSTWEM
KENNEDY'EGO?**
Powrót sprawy zamachu na prezydenta USA

70 ŁUKASZ CZARNECKI
**W ZŁODZIEJSKIEJ
WARSZAWIE**

ŚWIAT

76 ROBERT BOGDAŃSKI
**GAWRIŁO PRINCIP CZEKA
NA ARCYKSIĘCIA?**
Bałkańskie gry

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
KORUPCJA NAD DNIEPREM

EKONOMIA

84 JAKUB WOZINSKI
PREZYDENT Z PIŁĄ SPALINOWĄ
Rewolucja argentyńskiego sprzymierzeńca Trumpa

88 JACEK PRZYBYLSKI
DRUGIE DOMY POLAKÓW

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTARZÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukierm, Łukasz Czarnicki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torajski, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniejczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoreżyseria: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Muzeum Narodowe w Warszawie**

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Gonić w piątkę...

Szanowni Państwo,
ponieważ w Stanach Zjednoczonych
prezydentem został nie ten człowiek
co trzeba, progresywny światek popadł
w stan historycznego oszołomienia.
Jeden po drugim zaczęły padać jego
mity. Ktoś, i to nie byle kto, powiedział
na głos, że istnieją banalne dwie płcie,
że zielone łady to absurd, że imigracja
zagraża porządkowi społecznemu,
że konflikt na Ukrainie jest wojną
zastępczą i choćby z tego powodu
należy ją jak najszybciej zakończyć.
Gdy na dodatek okazało się, że bez
obowiązujących składek do NATO
USA zaprzestaną chronić luksusowy
klub, podniosło się prawdziwe larum.
Musimy bronić naszych wartości, nie
będzie nam – niechby nawet najbardziej
prominentna – „ruska onuca” mówić,
co jest istotne. I tak największy do
tej pory sojusznik stał się wrogiem,
Europa z gołąbką pokoju stała się
nuklearnym minitygrysem, tworzy
koalicję coraz bardziej niechętnych,

a płatni ekolodzy bojkotują i niszczą
elektryczne auta.

Tym samym znalazła się we wrogich
stosunkach już nie z jednym mocar-
stwem nuklearnym, a z dwoma. Do
kompletu brakuje tylko Chin. Tymcza-
sem sama dysponuje śmiechu wartym
sprzętem i zasobami przeszkolonych żoł-
nierzy. Jednym słowem: „goni w piątkę”.

Na pocieszenie oferuje się nam życie
w jakimś zielonym, wielopłciowym
i multikulturowym skansenie, w którym
oglądać nas będzie reszta szczęśliwców.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Dwie legendy zamku w Olsztynie”,
Jacek Komuda, „DRz” nr 15/2025

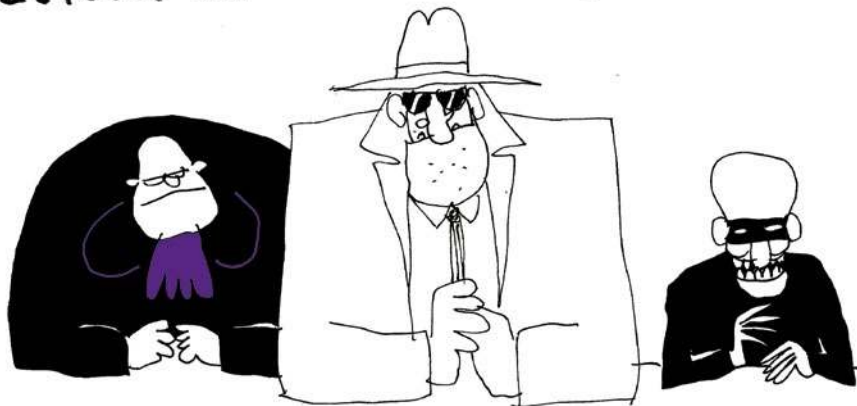
Dzień dobry,
Panie Jacku, Olsztyn leży na Warmii, nie
zaś na Mazurach. Oczywiście mówimy
o tym na północy RP – stolicy wojewódz-
twa warmińsko-mazurskiego. Znając
Pańskie pisarstwo, co nieco zdziwiony
jestem, tym ufam, że to przejęzyczenie
(właśnie w ferworze pisania „Dwu
legend o zamku w Olsztynie”).

Od autora

Tak, rzeczywiście pomyliłem się. Miasto
Olsztyn leży na Warmii.

Jacek Komuda

Komisja ds. prześladowania operatorów
kaszul VAT-owskich za rządów PiS...



C E Z D T Y Ł T Y J Z T O R S



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Korona wolności

Ciekawe, że prawicowi, tak antyniemieccy »patrioci« świętują akt koronacji Bolesława Chrobrego z rąk Ottona III, cesarza Cesarstwa Rzymskiego narodu niemieckiego nadający mu tytuł »brata i współpracownika« (Frater et Cooperator Imperii) Cesarstwa”. Tak z uczestników marszu 12 kwietnia w Warszawie zakpił Jakub Bierzyński, platformerski zagończyk internetowy. Internauta Zygfryd Czaban odpowiedział: „Po pierwsze, w chwili koronacji Bolesława Chrobrego Otton III nie żył od 23 lat. Po drugie, w chwili koronacji Chrobrego nie panował żaden cesarz – Henryk II zmarł w 1024 r., Konrad II został koronowany na cesarza w 1027. Po trzecie, koronacja Chrobrego nastąpiła wbrew woli Niemców i wzbudziła ich żywiołowy sprzeciw. Po czwarte, żaden król Polski nigdy nie został koronowany przez cesarza. Koronatorem był arcybiskup gnieźnieński”.

Cała ta polemika doskonale pokazuje, jak mało znany jest w Polsce fakt, że koronacja Chrobrego była jednocześnie demonstracją

odrzucenia zwierzchnictwa niemieckiego cesarstwa nad Polską. Nasi pradziadowie trzymali się tradycji chrobrowej koronacji jako wywyższenia Polski do statusu państwa równego Niemcom. I choć jeszcze parę razy poszczególni polscy władcy potwierdzali zależność od cesarstwa, to jednak Polska po rozbiciu dzielnicowym już nigdy nie zgodziła się na bycie wasalem cesarzy.

Nie był to zresztą wyłącznie przypadek Polski. Takie kraje jak Węgry w połowie XI w. czy Dania od połowy XII w. okresowo uznawały zwierzchność cesarstwa. Jednak Francji zawsze udawało się jej unikać. Także Anglicy, poczynawszy od XIII w., konsekwentnie odmawiają uznania cesarza niemieckiego za zwierzchnika wszystkich europejskich władców. Zupełnie inny los był naszych braci Czechów, których książęta złożyli hołd lenny cesarstwu i nigdy się z tych więzów nie wyzwolili aż do 1918 r. Nawet później, gdy w 1939 r. Hitler najechał Pragę i ogłosił powstanie Protektoratu Czech i Moraw, hitlerowska prasa przypominała, jak to

w 950 r. król niemiecki Otton I najechał Czechy i wymógł na księciu Brzetysławie I hołd lenny.

Dziś oczywiście nową dekoracją dla niemieckich planów dominacji jest kostium Unii Europejskiej. I kwaśne uwagi w niemieckiej prasie na temat marszu 12 maja wynikają oczywiście z trafnej intuicji, że świętowanie koronacji Chrobrego to dziś dla nas wskazówka, by opierać się starym tendencjom w pseudonowoczesnej formie.

Jeśli przyjąć, że koronacja Bolesława odbyła się w Niedzielę Wielkanocną, to potraktujmy to święto religijne jednocześnie jako dzień osobistej refleksji nad tym, czy jesteśmy godni odwagi i determinacji naszych pradziadów, którzy znaleźli w sobie siłę, by obdarzyć polskiego władcę królewską koroną. Koroną, którą potem Prusacy ukradli po III rozbiorze Polski i w ramach spóźnionej zemsty przetopili. Ta pamiętliwość władców Prus, którzy czuli się spadkobiercami niemieckich cesarzy z wczesnego średniowiecza, przypomina, jak pewne tendencje trwają wiekami. I nie mijają. ©

INFLACJA ZNÓW PRZYSPIESZYŁA

Tempo wzrostu cen w Polsce jest już niemal najwyższe wśród wszystkich krajów Unii Europejskiej. Inflacja liczona według standardu Eurostatu wyniosła w marcu 2025 r. aż 4,4 proc. i była wyższa niż w lutym (w przeciwieństwie do GUS unijni statystycy nie dokonali korekty koszyka inflacyjnego, zbijającej wysokość inflacji). Gorzej niż u nas jest tylko w dwóch krajach: w Rumunii (5,1 proc.) oraz na Węgrzech (4,8 proc.). W całej UE tempo wzrostu cen spadło do 2,5 proc. ©



Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

ALEKSANDER BRÜCKNER: „MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA I POLSKA”, WITOLD BUNIKIEWICZ: „ŻYWOTY DIABLÓW POLSKICH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

497,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 1031 zł

~~1528 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e81998b0f8



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zemsta Sakiewicza

Politologowie mówią, że w polskim systemie największym wrogiem kandydata nie jest przeciwnik z innej partii, tylko kolega z własnej. Wydawałoby się, że ta zasada nie dotyczy wyborów prezydenckich – a jednak. Największym wrogiem Rafała Trzaskowskiego okazuje się w tej kampanii nie Karol Nawrocki, nie Sławomir Mentzen ani żaden inny konkurent, ale jego własny sztab. Nie starczyłoby kilku takich felietonów na wyliczenie kolejnych kampanijnych wtop: od dziwacznych „pompek”, przez przysposobienie wojskowe na „cichociemnego” (fantastycznie skuteczne, skoro nikt Trzaskowskiego na kursie nie zauważył, a certyfikat zdobył), aż do wy-

wiadu rzeki, z którego bekę kręci nawet felietonista „Newsweeka”.

Ale debata w Końskich to już była – jak by powiedział nieboszczyk Saddam Husajn – „matka wszystkich kompromitacji”. Wszyscy zdążyli już o tym powiedzieć wszystko, pozostało dorzucić tylko jedno: jej przyczyną była małpia złośliwość wobec Telewizji Republika i próba wykluczenia „prawicowych” mediów z transmitowania zaplanowanego „inwentu”, który miał być wielkim triumfem salonowego Iwa Trzaskowskiego nad prostackiem Nawrockim. Wpuszczono na salę wraz z TVN i Polsatem nie mogłyby „prawicowe” media nijak sytuacji zmienić. Co innego, gdy ich nie wpuszczono – zrobili własną debatę, ściągnęli na nią

innych kandydatów, a wtedy, skoro ci już byli w Końskich, Trzaskowski spękał i musiał ich w ostatniej chwili zaprosić. A potem pozostało już tylko zacytować Moliera: „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało!”.

Na usprawiedliwienie sztabu Trzaskowskiego powiedzmy jednak, że to on sam nie wie, czy bardziej chce wygrać wybory czy dokuczyć „prawicowym szczujniom”; innymi słowy, czy chce się podobać ogółowi wyborców czy sekcje „Wyborczej” i Giertycha. „Dostajemy sprzeczne polecenia, no to musimy je sprzecznie wykonywać” – mogą się w sztabie tłumaczyć cytatem z „Kariery Nikodema Dyzmy”. I tak największym wygranym wyborów została na ten moment Republika. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Pluralizm walczący

Minister Cezary Tomczyk dosadnie wytłumaczył dezerę z debaty w TV Republika swego kolegi, współprzewodniczącego PO, Rafała Trzaskowskiego: „Nie wolno legitymizować szczujni”. Innymi słowy – skoro nas systematycznie krytykują, to nie będziemy do nich chodzić. Zwiążłość, a szczególnie kategoryczna dyspozycja „nie wolno” nadając tej formule rangę doktryny o trudnej do przecenienia teoretycznej nowości.

Realna demokracja polegała bowiem od dziesiątków lat na czymś zupełnie innym. Gdy rodziła się w wywłaszczonym społeczeństwie po 1989 r., my, ludzie prawi-

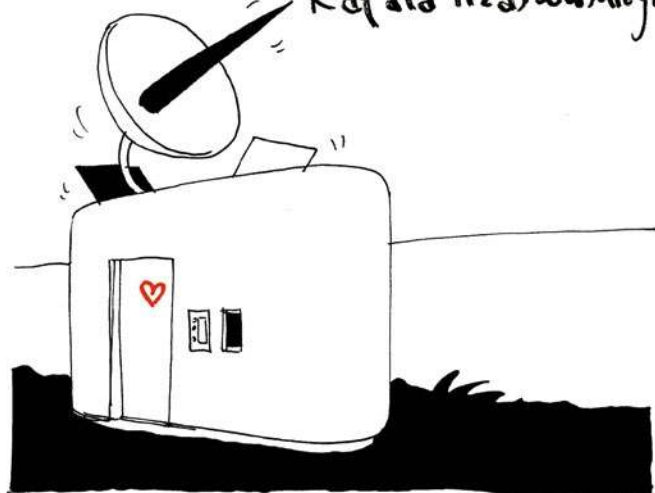
po – jak to określa minister Tomczyk – „szczujniach”. A gdy jeden z moich kolegów z ZChN, później-szy minister, Maciej Srebro, zapowiedział, że przygotowujemy Czarną Księgę, dokumentującą charakter zorkiestrowanego szczucia na Kościół, prawię czy krytyków UE, podniosło się w mediach (czyli w owej tomczykowskiej „szczujni”) larum, że cenzura nadciąga! Ten nietykalny stan rzeczy nazywano wówczas „pluralizmem”, bo w osobiwy sposób gwarantował prawa obu stron. Media mogły (pozostaną przy języku ministra Tomczyka) szczuć, a szczuci mogli po szczujniach chodzić i się tłumaczyć. Całe pokolenie polityków z generacji Cezarego Tomczyka

zostało przez swych liderów wychowane w przekonaniu, że tak właśnie należy traktować prawię, tak ma być.

„Poparcie dla ulubionej partii w programach TVN i TV Republika – analiza porównawcza i historyczna” to świetny temat na doktorat dla młodego socjologa, ciekawego życia narodu. Badacz, który by się tego podjął, powinien opisać problem w całej rozciągłości, uwzględniając czas działania stacji, ich status prawny (począwszy od koncesji TVN), dostęp do odbiorców. Dopiero to pokazałoby, ile „demokracja walcząca” zawdzięcza TVN i innym... Minister Tomczyk najlepiej wie, jak je należy nazywać. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Wszyscy myśleli, że to kibel w parku,
a to Centralny Port Telekomunikacyjny
Rafała Trzaskowskiego



cezary krysztopa & daniel stypuła rys i



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O świętym oburzeniu

W Albanii zaczęły funkcjonować włoskie ośrodki dla migrantów. Włochy stały się pierwszym krajem Unii Europejskiej, który otworzył takie struktury poza jej granicami. Co najmniej 15 krajów unijnych obserwuje precedens z najwyższą uwagą, bo chce pójść w ślady Italii.

Sprawa szła jak po grudzie. Władze włoskie trzykrotnie próbowały umieścić tam migrantów, ale włoskie sądy z różnych powodów po kilku dniach wydawały nakaz przewiezienia ich do Włoch. Pochodzili z krajów, które włoskie MSZ uznaje za bezpieczne (m.in. Egipt i Bangladesz), ale sąd był innego zdania. Poza tym sędziowie mieli wątpliwości, czy otworenie włoskich obozów dla migrantów w Albanii jest zgod-

ne z unijnym prawem. Można żywić podejrzenia, że te decyzje miały mniej wspólnego z prawem, a więcej z kultem św. Migranta i z otwartą wojną, którą funkcjonariusze włoskiej Temidy toczą z rządem na tle planowanej reformy sądownictwa.

Teraz rząd wziął się na sposób. Zdecydował, że obozy w Albanii będą ośrodkami dla migrantów, którzy mają być repatriowani, bo otrzymali nakaz opuszczenia Włoch albo przebywali na terenie Italii nielegalnie. Rzecznik Komisji Europejskiej nie wyraził zastrzeżeń. Dlatego z Włoch 11 kwietnia przybyło do obozu w Albanii 40 migrantów.

Wszystkie włoskie telewizje pokazały obrazki z albańskieg portu Shëngjin. Można było

zobaczyć, że wszyscy migranci wyprowadzeni zostali z jednostki włoskiej marynarki wojennej do autobusów w kajdankach. Rozpętało się piekło. Zdaniem święcie oburzonej opozycji było to barbarzyństwo niegodne rodzaju ludzkiego i sadyzm okrywający Italię hańbą na zawsze. Łzy rzęsiście wylewały postępowe media. Dwie włoskie parlamentarzystki odwiedziły biedaków w albańskim obozie, by dodać im otuchy.

Jak wyjaśnił szef włoskiego MSW, wśród 40 migrantów było pięciu gwałcicieli, jeden zabójca, trzech bandytów, kilku winnych brutalnych pobić, posiadacze nielegalnej broni, a niemal cała reszta żyła z kradzieży. Niebezpieczni i „dobrze znani włoskiej policji”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

AKCEPTU BRAK

Influencerska fitpara – Marita „Deynn” Majewska i Daniel Majewski – doczekała się pierwszego dziecka (gratulacje, o obywatela więcej!). Oczekiwanie i poród relacjonowali niezwykle szczegółowo na Instagramie. Głodni newsów z życia celebrytów fani na bieżąco śledzą pierwsze dni z maluchem. Okazuje się, że nie jest łatwo. Jeden z psów Majewskich nie akceptuje nowego członka rodziny. Succza Didi doprowadziła Maritę do łez. Przyszła, że ma za sobą nieprzespaną i przepłakaną noc. „Dowodem” jest zdjęcie zapłakanej twarzy. „Tutaj wstępna reakcja Didi, jak jeszcze nie zobaczyła, że to dzi-ziuś” – napisała Deynn pod nagraniem ujadającego w kierunku dziecka psa. „Później było tylko gorzej. Brak akceptu na

Natomiast zapomnieliśmy o jednym. Oczekiwaliśmy od psa, że oczekuje w sposób dojrzały na najtrudniejszą rzecz, jaka istnieje dla psa, czyli powitanie nowego członka rodziny. A zapomnieliśmy, że nie mamy ogarniętych 300 podstawowych rzeczy. Bo było wiele aspektów, w których Didi zachowywała się tragicznie – opowiadał obserwatorom. – Ona jest trudnym psem i miała trudne zachowania. Pomijając zazdrość. Nie możemy odkurzać przy niej albo suszyć włosów. Dostaje amoku, jakby zjadła sześć MDMA. Wielki ból nam sprawia to, że musieliśmy znaleźć sposób, żeby Didusię odizolować. A wiecie, jakiego mamy bzik na ich [psów – przyp. red.] punkcie. Mieliśmy najgorsze scenariusze – wskazał Majewski. Na szczęście udało się znaleźć rozwiązanie. – Zadzwońmy do behawiorysty, żeby rzucił wszystko i wyciągnął do nas pomocną dłoń. Znaleźliśmy rozwiązanie, że Didi pojedzie do babci na miesiąc. Od soboty będzie miała trzy razy w tygodniu zajęcia z behawiorystą. To nie pomoże w kwestii dziecka, ale w tych kwestiach podstawowych, które zaniedbaliśmy, jak zabawka, dawanie pokarmu, wskakiwanie na stół, te jej amoki. Prosto od babci wejdziemy razem z Didi i behawiorystą. Pomoże nam przystosować ją do nowej sytuacji, okiełzna ją – podsumował fitinstagramer. Co będzie dalej? Spokojnie, wszystkiego dowiemy się z Instagrama.

GESSLER DO ODCINKI

Ech, ci Polacy, nic się nie znają. Najpierw proszą, błagają wręcz o pomoc, a gdy już „niekwestionowany autorytet kulinarny” przyjdzie do ich marnego lokalu, to niewdzięcznicy za nic mają cenne rady. W ubiegłym roku Magda Gessler wraz ze swoim show „Kuchenne rewolucje” przyjechała do konińskiej restauracji Czarny Domek. W ramach „rewolucji” w restauracyjnym menu pojawiły się specjalne takie jak m.in. kucinia faszzerowana gzikami po włosku, a lokal zmienił nazwę na Bar De Żur. Dodatkowo zmieniono kolorystykę z ciemnej na kolorową, a Gessler nie kryła dumy. – Jestem zachwycona. Są błędy, ale to, że wyście to udźwignęły, nie ma kucharza, po prostu marzyłam,

żeby tak było, i tak jest. Wielkie brawa – tak zachwalała przemianę i kucharki. Niedawno jednak okazało się, że kurs zaproponowany przez gwiazdę TVN nie zdał egzaminu. Na profilu lokalu pojawiła się informacja – lokal od pewnego czasu działa pod nową nazwą, nie ma już też wystroju wprowadzonego przez Gessler. „A co się stało z DeŻurem? Odcinamy się od tych »Kuchennych rewolucji« i już nie chcemy gotować dań MG. Mamy cały nowy zespół kucharzy, nowe pomysły i zupełnie inną koncepcję prowadzenia restauracji. Mieliśmy już dosyć gotowania dań MG. Mamy swoje świeże pomysły, nowy zespół kucharzy i chcemy stworzyć całkowicie nową restaurację. Czeka nas dużo nowości” – zapowiedziano. Cóż za niewdzięczność!

EDWARD UBŁAGAŁ

Tancerka Edyta Herbuś wystąpi w programie „Twoja twarz brzmi znajomo”. Premiera jesienią tego roku, ale portale plotkarskie już się grzeją. Herbuś w rozmowie z Plejadą opowiedziała o atmosferze, która panuje na planie. – Zgadzałam się ze stwierdzeniem, że to jest najtrudniejszy program na naszym rynku. Tempo, w którym musisz wykreować postać wokalisty, barwowo, fizycznie i aktorsko w krótkim czasie, to jest jakieś szaleństwo. Jak kreuję rolę w teatrze, to mam co najmniej miesiąc na to, tu mam zazwyczaj tydzień albo i mniej, więc to jest przyspieszone tempo w każdym aspekcie, ale to jest stymulacja do twórczego działania, do rozwoju, do nauki. Mamy świetnych fachowców do dyspozycji – nagrania, które są totalną mobilizacją, nieważne, ile spisz, nieważne, jak się czujesz, wychodzisz na scenę i po prostu dajesz z siebie wszystko. To jest bardzo mobilizujące i masz dużą satysfakcję, jak to zrobisz – podkreśla gwiazda. Tancerka przyznała skromnie, że wcale nie tak prosto było ją ściągnąć do show. Dyrektor programowy Polsatu Edward Miszczak musiał się postarać, bo wielokrotnie odmawiała udziału. – Bardzo mi miło, że stacji tak zależało na moim udziale i też wzięłam to jako jeden z argumentów, iż czasami życie cię prowadzi – stwierdziła. ©



FOT. DAWID KLAMKA/EAST NEWS

nowego członka rodziny. Od godz. 17 do dziś do 10 rano cały czas wyła, piszczła, rzucała się na młodego, gryzła wszystko. Tragedia. Niestety, na chwilę obecną Didi z nami nie ma. Zamiast cieszyć się wejściem młodego do domu, dziś od 5 rano beczalam z bezradności i strachu. Okropne uczucie” – przyznała influencerka. Głos w sprawie zabrał też świeżo upieczony tata. – Jest tragedia. Takiej reakcji się nie spodziewaliśmy. Zrobiliśmy wszystkie rzeczy, które się zalecało, żeby zrobić.



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteście, jak wielu z Was, po trudnych doświadczeniach oglądania tzw. debat kandydatów na osobę prezydencką. Of kors zwycięzcą każdej z debat był Rafał Trzaskowski (oficjalnie udzielamy swojego poparcia), natomiast uważamy, iż w takich proponowanych ramach nie mają one żadnego sensu.

Chętniej byśmy obejrżeli debatę w postaci roastu albo serii stand-upów. Na przykład taki roast Nawrockiego – siedzi w fotelu, a inni mu cisną od Batyrów, pisowców, prawaków i fashystów. Albo taki Jakubiak – słucha, jak inni mają bekę z jego wąsów (to chyba jedyny wąsaty kandydat, coś się zmienia na lepsze). W fotelu do roastowania mógłby też usiąść Rafał Trzaskowski, ale to byłoby bezcelowe, iż w jego przypadku nie ma się z czego śmiać.

Albo taki stand-up. Bardzo podobały nam się osoby kandydackie Senyszyn i Stanowskiego, widzieliśmy, iż jest tam chemia i dobrze się rozumieją, chętnie byśmy obejrżeli jakiś program z ich udziałem.

Rzeczywistość jest taka, iż spośród tych kilkunastu osób tylko jedna może zostać prezydentem, a więc pozostałe będą musiały poszukać jakiegoś sposobu na siebie – może wspólna trasa kabaretowa nie byłaby takim najgorszym rozwiązaniem? Nawet biorąc pod uwagę

poziom współczesnych tenkrajowych kabaretów.

Jako iż jesteście specjalistami bardziej od myśli politycznej niż prawa konstytucyjnego, mamy pewne wątpliwości nie tylko wokół debat, lecz także wokół tego, co osoby kandydackie obiecują. Iż z jednej strony chcielibyśmy mieć dużo pieniędzy, elektryczne samochody i sprawiedliwe podatki progresywne, ale z drugiej strony coś nam świta, iż osoba

robić, iż nam wystarczy rozpieszczanie na poziomie deklaracji. Może więc nie ma potrzeby, iżby się tak bardzo przejmować wykonalnością, a delektować się tylko wizją tego, iż coś się może wydarzyć? Chyba po prostu polecimy na obietnice, jak zawsze xD.

Natomiast to, co nas niezmiernie martwi, to ta szeroka koalicja przeciwko wprowadzeniu Zielonego Ładu. Mamy takie wrażenie, iż prawac-

two nie dość, iż chce mieć samochody z kopczącym silnikiem Diesla, to jeszcze nie chce czystego powietrza, nie chce zdrowej energii, stref czystego transportu, zdrowia i bezpieczeństwa.

Cóż, jest to smutne, iż polska prawica nie musi walczyć o fajnego wyborcę, który może ma poglądy dość konserwatywne, ale „nie słucha wszystkiego, co mówi Kościół” i „sam aborcji bym sobie nie zrobił, ale nie będę zabraniać innym”, tylko wciąż jest zakładnikiem

typowego wąsatego janusza z małego ośrodka, dla którego sednem życiowych interesów jest odpalenie grilla na działce i niedzielna wycieczka starym golfem na mszę, a rower służy mu do tego, żeby mieć o co oprzeć widły. Którymi to najchętniej przegoniłby ze wsi to całe gender. Siara w... ©©



prezydencka nie jest w stanie tego samodzielnie ogarnąć.

Jak więc wspominaliśmy – na poziomie idei większość obietnic nam się podoba i jesteście jak najbardziej za. Z drugiej strony nasz wewnętrzny mały politolog szepcze do ucha: No ale tak się kurde nie da xD.

No i co teraz? Nieraz mówiliśmy, iż lubimy, jak nam się coś porządnie obieca, w sumie nie trzeba nawet potem tego

PODSŁUCHANE

Usta-usta

Rafał, musisz jedną rzecz poprawić koniecznie w swoich wystąpieniach.

Donek, super, że tylko jedną! Jaką?!

Nie drzyj się tak.

Nie drę się!!! Słuchaj, kampania jest, adrenalina, ogórki, prince polo, rozumiesz!

Ala ty nie rozumiesz:

nie drzyj się. Nie tylko teraz, ale w ogóle się nie drzyj. Bo zaczynają krążyć memy, że na jakichś prochach jesteś.

Jakich prochach?! No co ty!!!

Ludzie, tłum, adrenalina, ogórki!

Ty się dobrze czujesz? Usiądź może...

Żadnego siadania!!! Adrenalina jest, ogórki, jedzmy prince po...

No masz ci los. I co, ja mam mu teraz usta-usta robić? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] jest pomnikiem hejtu w przestrzeni publicznej”.

ROBERT KROPIWNIKI, polityk Koalicji Obywatelskiej, na platformie X o Telewizji Republika



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

W Polsce dzieją się dziwne, niewytłumaczalne rzeczy. Coś jak legendy miejskie o samozapłonach. Wiecie: „Gospodyni domowa wyszła z zakupów w supermarkecie i naraz samoistnie stanęła w płomieniach”. Tyle że na razie to jeszcze nie pożary, ale debaty. Debaty samoistnie się organizujące. Idzie sobie człowiek ulicą, a tu: bach! Znienacka sama z siebie zmateriałizowała się debata prezydencka! No bo jeśli debata w Końskich nie była ani debatą TVP, ani debatą sztabu Rafała Kazimierza, to pozostaje tylko Archiwum X.

Nie wszyscy wierzą, że wersję o samoistnym zaistnieniu debaty da się utrzymać. W nielegalnej TVP po debacie w Końskich panuje więc ciężka panika. Uzurpatorzy w postaci Syguta i Sajóra przeglądają kodeksy, zastanawiając się, ile im grozi. Podpowiadamy: minimum pięć, maksimum piętnaście. Raczej bez zawiasów. A mówimy tylko o jednym zarzucie. Ale naszym zdaniem na jednym zarzucie się nie skończy.

Trzy dni po dwuboju w Końskich odbyła się z kolei debata w studiu TV Republika, której ozdobą był kartonowy kandydat Rafał Kazimierz, przyniesiony przez kandydata Marka Bez Drugiego Imienia Jakubiaka. Kartonowy Rafał Kazimierz wypadł doskonale. Dzięki swej kartonowości mógł robić to, co wychodzi mu najlepiej: milczeć z wyższością. No i nikt nie zdołał go wyprowadzić z równowagi, psycholog więc nie był potrzebny.

Z okazji debat ukuliśmy o kandydacie Rafale Kazimierzu żarcik. Oto on. Czego potrzebuje przed debatą Trzaskowski? Psychologa. A czego potrzebuje po debacie? Dwóch psychologów.

Pozostając przy Rafale Kazimierzu. Nie rozumiemy, jak można hejtować jego słowa z debaty o tym, że w Warszawie mamy telekomunikację miejską. To przecież oczywiste: skoro w Polsce mamy teledemokrację, to i komunikacja jest tele.

dwaj panowie



Przy okazji: nie rozumiemy szydery z opowieści kandydata Rafała Kazimierza o nurkowaniu z rekinami. A wy myśleliście, że polityczne życie w Platformie to niby jak wygląda? Jedyne, co nas ciekawi, to kto jest wielkim węgorem, z którym walczyć musiał Rafał. Może Sikorski?

WKońskich objawił się na debatach niejaki Maciak, kandydat wyjątkowo podejrzany, od którego całkiem słusznie kandydat Krzysztof Jakub Stanowski chciał się dowiedzieć, kim właściwie jest (Maciak, nie Stanowski). Prorosyjskość Maciaka zdumiewa bowiem nawet tych, którzy na co dzień niespecjalnie śledzą wyczyny ruskich służb nad Wisłą. Chcieliśmy jednak zauważyć, że podczas trzeciej debaty, czyli w poniedziałek w studiu Republiki, już Maciaka nie było. Nawet wiemy dlaczego.

Zanim przejdziemy do wyjaśnienia, skok w bok, do komisji generała Jarosława „następny slajd proszę” Stróżyka. Nastąpiło tam kolejne przesunięcie daty publikacji raportu o wpływach rosyjskich w Polsce. Chłopcy i dziewczyny Stróżyka odkryli bowiem kolejny ruski ślad. Ten ślad to właśnie niejaki Maciak. Mamy złą wiadomość dla komisji – nie są pierwsi. Otóż Maciaka jako poputczika Wołodii Putina odpalił

już dawno temu nieoceniony znawca świata służb, nieżyjący już od kilku lat Jerzy Targalski. Generał Stróżyk i jego ludzie mają więc spore zaległości w lekturach.

Wracamy do debaty w studiu Republiki. Otóż niejaki Maciak zgłosił się i do niej, a jakże! W telewizji wolnych Polaków jednak Targalskiego czytano już dawno i bardzo uważnie. Maciaka pogonił więc osobiście Tomasz Sakiewicz. I słusznie.

Dość o debatach, porozmawiajmy teraz o ich skutkach. Rozmawianie przez telefon przy obcych to nie zawsze jest dobry pomysł. Jak wiadomo, nasze wiewiórki są wszędzie i jedna z nich podsłuchała, jak Grzegorz Schetyna deliberował przez komórkę o wewnętrznych badaniach opinii publicznej. Były to badania mówiące, że w drugiej turze Trzaskowski zbierze ciężki łomot od Nawrockiego. Panowie G. dysponują jedynie badaniami zewnętrznymi, ale wynika z nich to samo.

Paradoksalnie w sztabie PiS, to znaczący pobywalskiego kandydata Karola Ta-deusza Nawrockiego, nastroje są dość mieszane, choć sam kandydat wypadł nieźle. Wszystko dlatego, że po debatach co prawda spada Rafałowi Kazimierzowi,

ale rośnie Szymonowi Franciszkowi oraz Magdalenie Agnieszce Bieja, a nikt nie chciałby w drugiej turze mobilizacji wyborców na lewo od centrum. Ponadto rośnie Grzegorzowi Braunowi, który jest na najlepszej drodze, by stać się czarnym koniem wyścigu. Cóż, jesteśmy prorokami – nie dalej jak tydzień temu zapowiadaliśmy, że prezydentem zostanie ten, na kogo wskaże Braun.

Jeszcze o sztabowych rozterkach. Trump – pomaga czy szkodzi? Zdania są podzielone. Jeśli czytacie naszą rubrykę we wtorek 22 kwietnia, to znaczy, że agencje doniosły już o spotkaniu w USA, na które przybył walczący o prezydenturę w Rumunii kandydat prawicy George Simion. Który miał gadać osobiście z Trumpem. I może to być, jak to się mówi, gejmczendżer w jego kampanii. Proamerykańskość elektoratu rumuńskiego jest bowiem większa niż Radka Sikorskiego i takie spotkanie będzie miało swoje znaczenie. Słyszeliśmy, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński chciałby, aby z Trumpem spotkał się również Karol Tadeusz, ale nie wszyscy się z tą opinią zgadzają.

Tymczasem w Berlinie. Jesteśmy zdezorientowani. Internet, gdy zaczynasz wpisywać frazę „kamień pamięci”, dopowiada: „... dla psa”. Być może więc decyzja Niemiec, by ustawić w Berlinie „Kamień Pamięci dla Polski” ma drugie dno. Kamień ma „tymczasowo upamiętniać polskie ofiary wojny i niemieckiej okupacji 1939–1945” – donosi „Deutsche Welle”. Kiedyś w miejscu kamieni będzie pomnik. Podobno. Ale nie wiadomo kiedy. Kamień stoi bowiem tymczasowo.

Czekamy na inne przejawy niemieckiego szacunku do ofiar swoich mordów: papier i nożyce.

Apropos kamienia – w tym samym Berlinie stoi pomnik Pomordowanych Żydów Europy. Składa się on z 2711 kamieni. To znaczy oficjalnie te kamienie nazywają się stele, ale nie dość, że są kamienne, to jeszcze elegancko obrobione w regularne bloki różnej wielkości. Polski „Kamień Pamięci” jest jeden i nieobrobiony, tylko naturalnie głazasty. Wydaje nam się, że rozumiemy aluzję.

Życia rządu. „Rozserdywsia Tuhaj-bej, rozserdywsia duże”, to znaczy tftu, nie Tuhaj-bej, tylko Tusk-bej, i ogłosił koniec „ery naiwnej globalizacji”. Domyślamy się, że oznacza to początek ery cynicznej globalizacji albo coś w tym rodzaju. W każdym razie rozsierdzony Tusk szalał na konferencji EFNI i zapowiadał repolonizację gospodarki. Jak się domyślamy, wkrótce odkupimy od Amerykanów wafelki, a od Niemców – ogórki. Albo nie odkupimy. Znając Tuska – raczej nie odkupimy.

Jako że jesteśmy pomocni z natury, chcemy też pomóc premierowi, choć może nie tak bardzo jak Brzoska. I jako że Tusk zażądał „ściśłego raportowania” tego, „w jaki sposób realizowana jest polityka preferowania polskiego kapitału”, to my, żeby oszczędzić urzędnikom czasu, odpowiadamy od razu: w żaden.

Zły Donald z Sopotu ogłosił też, że kapitał ma narodowość, wbrew temu, co nam wmawiali liberałowie. Chwalił nacjonalizm gospodarczy.

My to w sumie rozumiemy. Lista dokonań Tuska na niwie gospodarki patriotycznej jest długa. Już tłumaczymy: otóż Zły Donald z Sopotu uważa, że ludzie Pełto to są polscy patrioci. No a jak sądzicie, do kogo płynie aktualnie strumień kasy? A jak kasa idzie do polskich patriotów, to znaczy, że mamy patriotyzm gospodarczy.

Tymczasem w Instytucie Felczaka. W przejętej przez reżim Tuska placówce zapanował już trzeci szef od lipca ubiegłego roku. Najwyraźniej odcinek węgierski jest wyjątkowo ciężki. Wiadomo, widać to nawet po języku: jak tu żyć, kiedy nawet zwykłe słowo „wybory” brzmi „választások”. Nowy szef nazywa się Jakub Jan Wiśniewski i wcześniej był przez kilkanaście miesięcy wicem w MSZ. Ma doskonałe kwalifikacje do pracy na odcinku węgierskim. W resorcie odpowiadał wszak za relacje z krajami Ameryki Łacińskiej, a tam – wiadomo – dyktatura na dyktaturze.

Do powrotu z Londynu zaczął się szykować dotychczasowy ambasador Piotr Wilczek. To jeden z ostatnich ambasadorów wciąż sprawujących funkcję jeszcze z nominacji prezydenta Andrzeja Sebastiana Dudy. Natomiast do wyjazdu zaczął się szykować niejaki Rafał Wiśniewski (nie mylić z tym z NCK), który ma Wilczka zastąpić. W gmachu MSZ przy Szucha nastroje są niejednoznaczne. Z jednej strony Wiśniewski to postać, za którą w resorcie nie przepadają. Gdyż jest to karbowy, tzn. wróć – kadrowy Radka Sikorskiego. Z drugiej strony są obawy, że nowym karbowym może zostać ktoś gorszy. ©

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA
MUZYKA



REKORDOWE OBCHODY 1000. ROCZNICY KORONACJI CHROBREGO

Ulicami Warszawy w sobotę 12 kwietnia przeszedł wielotysięczny marsz zorganizowany z okazji obchodów 1000. rocznicy koronacji księcia Bolesława Chrobrego na króla Polski oraz 500. rocznicy hołdu pruskiego! W wydarzeniu udział wzięły tłumy, a z lotu ptaka ulice Starego Miasta wyglądały niczym zalane morzem biało-czerwonych flag. Uczestnikom marszu udało się także pobić rekord Polski w tańcu poloneza – na Krakowskim Przedmieściu ten tradycyjny polski taniec dworski wykonało ponad 1,1 tys. par prowadzonych przez Zespół Tańca Historycznego CHOREA ANTIQUA.

Marsz poprzedziła Msza św. dziękczynna za tysiąc lat Królestwa Polskiego w kościele pw. Świętego Krzyża. Na zakończenie wydarzenia uczestnicy marszu wspólnie odśpiewali „Bogurodzicę”.

Wydarzenie odbyło się pod Patronatem Narodowym Prezydenta Andrzeja Dudy nad obchodami Milenium Koronacji Pierwszych Królów Polski, a w komitecie organizacyjnym marszu zasiadali m.in. prof. Andrzej Nowak, europoseł PiS Patryk Jaki oraz były marszałek Sejmu Marek Jurek.

(jap) © ©





Który to etap upadku?



Łukasz Warzecha

Problem z upadkiem państw, a nawet imperiów polega często na tym, że bywa niedostrzegany przez ludzi je zamieszkujących. Na którym etapie dzisiaj jesteśmy? Czy to jeszcze czasy Sobieskiego czy już czasy Sasów, czy może moment tuż przed rozpaczliwym, a nic nieznaczącym w sumie gestem Reytana?

Upadek Polski” – na te słowa wielu przychodzi do głowy obraz „Reytan. Upadek Polski” Jana Matejki z 1866 r. Krakowski gigant historycznego malarstwa miał w chwili premiery dzieła tylko 28 lat i chyba dość mocno przeżył krytykę obrazu, skoro pod jej wpływem namalował znacznie mniej znany, sarkastyczno-satyryczny małoformatowy obraz: „Wyrok na Matejkę” (dzisiaj w Muzeum Narodowym w Warszawie). Krytyka płynęła głównie z kręgów konserwatywnych, które poczuły się dotknięte bezlitosnym rozliczeniem z momentem, uznawanym za symboliczny dla tragiczne-

go losu Polski, a także przypomnieniem, jaką rolę odegrały wtedy rody, do których należało wielu przedstawicieli elity.

Jak to zwykle u Matejki, historia została tutaj nieco „podkreślona”, choć samo wydarzenie oczywiście było prawdziwe. W kwietniu 1773 r. został zwołany Sejm, który miał stworzyć pozory zgody polskich obywateli na pierwszy rozbiór kraju i formalnie ten akt zatwierdzić. Aby zapobiec wykorzystaniu nadużywanego od dawna liberum veto – tym razem, paradoksalnie, w zbożnym celu zapobieżenia rozpadowi kraju – trzeba było Sejm skonfederować, w takim bowiem

skonfederowanym Sejmie zasada jednomyślności nie obowiązywała. Tadeusz Reytan, aczkolwiek w wieku 31 lat posłem na Sejm był po raz pierwszy, postanowił do tego nie dopuścić. Rozpoczął okupację sali sejmowej, odmawiając jej opuszczenia, a żeby powstrzymać przed tym innych posłów, położył się na progu, gdzie został stratowany przez wychodzących. I ten właśnie moment odtworzył Matejko.

Dalszy los posła ziemi nowogrodzkiej był smutny. Jego czyn zwrócił co prawda uwagę publiki, ale – jak to z podobnymi demonstracjami bywa – niczego nie zmienił. Dokładnie tak jak spektakularne happeningi polityczne, realizowane we współczesnej Polsce przez niektórych polityków, którzy mogą się uznawać poniekąd – z zachowaniem proporcji – za spadkobierców Reytanowskiej metody. Rozbiór został zatwierdzony, a Reytan postradał zmysły i zmarł w 1780 r. w rodzinnej Hruszówce. Jak podaje w swojej skądinąd znakomitej książce „Reytan. Upadek Polski” Jarosław Marek Rymkiewicz – mogło się to stać po próbie samobójczej, polegającej na zjedzeniu potłuczonego szkła z okna budynku, w którym Reytan zamieszkiwał czy może



Dostojnicy państwowi podczas defilady z okazji Święta Wojska Polskiego, Warszawa, 15 sierpnia 2024 r.

FOT. OLEG MARUSIĆ/REPORTER

raczej był przetrzymywany, odizolowany od innych domowników.

PORYWCZY I NIEOBLICZALNI

Wśród protestujących przeciwko Matejkowskiemu ujęciu tematu był Józef Ignacy Kraszewski, który pisał: „Ale bodaj mu to arcydzieło nie było wyrzutem sumienia na całe życie, bo jest to może piękny obraz, a zły uczynek. Policzkować trupa matki się nie godzi... Cóż to jest, jak nie policzek Polsce dany? Mówią, że ktoś ze łzami prawie wychodząc z wystawy, zawołał, kto to kupi... chyba Moskal”. Sprzeciw Kraszewskiego wpisuje się w obecny i dzisiaj na umownej prawicy nurt sprzeciwu wobec jakichkolwiek rozliczeń z własną przeszłością. Należą do niego ci publicyści czy komentatorzy, którzy gloryfikują choćby powstanie warszawskie albo odmawiają zagłębienia się w powody klęski – trudno to przecież inaczej nazwać – II RP w 1939 r. Ta frakcja twierdzi, że naszym nieszczęściom zawsze winni byli ci źli z zewnątrz, my zaś nie mamy się sami przed sobą z czego tłumaczyć.

Matejko poczynił sobie z materia historyczną swobodnie, zestawiając ze

sobą postaci, które nie mogły znaleźć się w przedstawianym miejscu i czasie jednocześnie albo w ogóle. Objasnienie do obrazu, które potem cieszyło się dużą popularnością, napisał wybitny krakowski historyk, konserwatysta, członek grupy stańczyków, Józef Szujski. Dzisiaj bez trudu podobne komentarze znajdziemy w każdym internetowym opisie obrazu Matejki. Na przykład ambasadorem Cesarstwa Rosyjskiego w Warszawie w tamtym momencie nie był Nikołaj Repnin, namalowany przez Matejkę w łożu („Tuż obok łoża, gdzie wśród dam zająłem miejsce...” – jak śpiewał Jacek Kaczmarski w „Rapocie ambasadora”), ale Otto von Stackelberg. Namalowany niemal w centrum starszy magnat to Franciszek Salezy Potocki, który nie żył już od dwóch lat. Stanisława Szczęsnego Potockiego, który stoi po prawej stronie arcyzdrajcy Adama Ponińskiego (to ten z uniesioną ręką, wskazującą na drzwi, za którymi tkwią rosyjscy żołnierze), w Sejmie nie było. Miał w tamtym momencie 21 lat. Zmarł w 1801 r., a w życiorysie ma niezbyt chlubne wątki, w tym przynależność do stronnictwa rosyjskiego i sprzeciw wobec Konstytucji 3 maja.

Tylko czy to wszystko miało jeszcze w ogóle w tamtym momencie znaczenie? Skoro wspomniałem Jarosława Marka Rymkiewicza, to warto tutaj przypomnieć jego tyradę właśnie z książki poświęconej Reytanowi i Ponińskiemu, skierowaną przeciwko krakowskim stańczykom.

Pisał Rymkiewicz tak: „Galicijscy konserwatyści, choć byli wśród nich świetni historycy, znawcy polskich dziejów i polskiej literatury, nie bardzo rozumieli, co te dzieje do nich mówią, i w konserwatywnej swojej naiwności (można to sformułować ostrzej – w konserwatywnym swoim zaślepieniu – oślepieni przez swoją konserwatywną pychę) nie zdawali sobie sprawy, że namawiając Polaków do spokoju, rozwagi i rozsądku – namawiają ich do tego, żeby przestali być Polakami i wymienili swoją narodowość na jakąś inną, taką, która niekoniecznie potrzebuje wolności; która bez wolności potrafi się obejść”.

Dalej pisarz wywodził: „Krakowskich intelektualistów z »Przeglądu Polskiego« tłumaczy po trosze to, że nie wiedzieli (i nigdy się nie dowiedzieli, bo wszyscy umarli), jaki będzie ciąg dalszy ich rozmyślań. To znaczy: kto się tymi rozmyśla-

niami i tymi ich naukami posłuży – kto weźmie ten spadek – kto, jak niegdyś oni, będzie namawiał Polaków do spokoju, rozwagi, rozsądku i wstrzemięźliwości. Szlachetne ich umysły – choć odziane były w togi i gronostaje – nie przewidziały, w namyśle swoim dziejowym nad dziejami Polaków, że minie sto, minie sto pięćdziesiąt lat i do spokoju, rozwagi, rozsądku będą namawiać Polaków ludzie działający w interesie północnego imperium. Tak zwani teraz tutejsi wewnętrzni Moskale”.

Jak wiadomo, Rymkiewicz był zwolennikiem tezy, że Polacy mogą być Polakami, jedynie zachowując się porywczo, szaleńczo, nieobliczalnie i że w tym tkwi nasza siła, kto zaś tej tezy nie akceptował, dostawał łatkę „wewnętrznego Moskala”. W „Wieszaniu” stawiał nawet tezę, że za mało się tak zachowywaliśmy i że być może Polska nie przestałaby istnieć w XIX w., gdybyśmy zamordowali choć jednego króla, jak to zrobili Anglicy podczas rewolucji Cromwella czy Francuzi w czasie jacobinińskiego szaleństwa.

Zwolennikowi krakowskiej szkoły historycznej, realizmu politycznego i krytycznego podejścia do polskich dziejów trudno jest się z Rymkiewiczem zgodzić. Jeśli przyczyny naszych nieszczęść w czymś szukać, to raczej w tym, co zdaniem pisarza z Milanówka jest istotą polskości. Choć może miał rację Przemysław Gintrowski, śpiewając słowami Jerzego Czecha o Aleksandrze Wielopolskim:

*Pan narodu, margrabio, nie zmienisz,
Tu rozsądku rzadko się używa.
A jedno, co naprawdę umiemy,
To – najpiękniej na świecie przegrywać!*

TE SAME WADY

Refleksje Rymkiewicza wpisują się w debatę o tym, co było powodem upadku I Rzeczypospolitej i co może się stać – nie daj Boże – powodem upadku III RP. Ba, nie straciły nic na aktualności, jeśli przyjrzeć się dzisiaj trwającej dyskusji. Mamy stronnictwo rymkiewiczowe – przy Ukrainie stać do końca, a Trump jest zły, bo rozmawia z Putinem. Paradoks – którego zmarły w 2022 r. Rymkiewicz obserwował już nie może, bo umarł (całkiem jak krakowscy konserwatyści, o których tak zgryźliwie pisał) – polega na tym, że przyjęcie jego optyki funkcjonalnie oznacza dzisiaj podciepienie się pod tę frakcję, z którą pisarz był przez lata w ostrym konflikcie: ■

brukselską. Mamy też stronnictwo współczesnych stańczyków z – powiedzmy nieskromnie – „Do Rzeczy” jako aktualną emanacją „Przeglądu Polskiego”.

Szukając odpowiedzi na pytanie o powody upadku polskiego państwa oraz o lekcje na dzisiaj, zamiast podziwiać emocjonalny odruch Tadeusza Reytana i tropić „wewnętrznych Moskali”, warto zerknąć do Prawa o sejmikach – ustawy uzupełniającej Konstytucję 3 maja i będącej jej aktem wykonawczym. Ta regulacja jest bardzo rzadko przywoływana w kontekście rocznicy 3 maja – i nic dziwnego, bo z punktu widzenia dzisiejszej demokracji nie jest zbyt wygodna. Zakładała ona bowiem pozbawienie czynnego prawa wyborczego na sejmikach – czyli zgromadzeniach, gdzie szlachta wybierała swoich przedstawicieli na Sejm – nieposesjonatów. Prawo głosu zachowywała szlachta, mająca jakąkolwiek dziedziczną własność ziemską, z której opłacałaby jakikolwiek podatek; synowie właścicieli niewydzienieni majątkowo za życia rodziców oraz bracia rodzeni, mający po ojcu wspólne dziedzictwo; szlachta użytkująca nieruchomości tytułem zastawu, jeśli płaciła z niej co najmniej podatek dziesiętny; wreszcie szlachta posiadająca nieruchomości dożywotnio, o ile opłacała z niej takiż podatek. Kto nie miał nic, a tym samym był najłatwiejszy do przekupienia przez magnatów albo siły zewnętrzne – ten tracił prawo głosu.

Na tę ważną – choć oczywiście o dzieściolecia spóźnioną – regulację politycy, odwołujący się do dziedzictwa Konstytucji 3 maja, nie zwracają dzisiaj uwagi, bo współczesna polska demokracja ma dokładnie tę samą wadę co demokracja szlachecka w okresie swojego kryzysu: daje taki sam głos wszystkim. Zarówno tym, którzy są żywotnie zainteresowani w zabezpieczeniu swej własności i stabilności przez dobrze zorganizowane państwo, jak i tym, którzy tym zainteresowani nie są, ponieważ nie mają nic do stracenia. Ci ostatni są znacznie bardziej podatni na przekupstwo wyborcze. Trudno oczywiście wyobrazić sobie dzisiaj, że zostaje wprowadzony jakiś rodzaj cenzusu majątkowego; byłoby to zresztą sprzeczne z konstytucją (tą z 1997 r.). Jednak udawanie, że nie jest to problem, to ignorowanie ważnego czynnika, który przyczynił się do upadku I RP.

Nie jest też niczym nowym mentalne uzależnienie od obcych. Warto przyglą-

dać się, jak porażającą drogę przeszła polska elita – od imponowania elitom innych krajów Europy znakomitą znajomością łaciny i wielu innych języków oraz takimi niesamowitymi przedsięwzięciami dyplomatycznymi jak słynny wjazd do Rzymu kanclerza Jerzego Ossolińskiego w 1633 r. w celu złożenia hołdu nowo wybranemu papieżowi Urbanowi VIII, aż do wieszania się u kłamki ościennych dworów.

*Ten Prusom gardłuje, ten Wiednia partyzant,
Ów ruskiej się chwytą sukienki.*

*A troską każdego szczęśliwa ojczyzna,
Stąd modły, przekleństwa i jęki*

– śpiewał w „Elekcji” Kaczmariski.

Ta skłonność istnieje i dzisiaj, z tą może różnicą, że nie opiera się na płynących wprost z kieszeni do kieszeni pieniądzech, ale na korzyściach innego rodzaju: stypendiach, stanowiskach w międzynarodowych strukturach, obietnicach wywierania nacisków z zagranicy. Kiedyś mieliśmy w Polsce stronnictwa habsburskie czy francuskie, dzisiaj mamy brukselskie i waszyngtońskie. Kierunki się zmieniły, istota problemu – nie.

Jest też trend, który jawi się jako niewiązanie do konfederacji barskiej (1768), aktu z punktu widzenia polskiego interesu szkodliwego – w szczególności taka była próba uprowadzenia Stanisława Augusta, na dodatek nieudana, w roku 1771. Konfederacja, skierowana przeciwko Rosjanom i promowanemu przez nich powrotowi do równouprawnienia innowierców, w niczym nam nie pomogła, za to została podjęta ochoczo przez zagraniczną propagandę jako argument za tym, że zacofanym Polakom potrzebna jest zewnętrzna kuratela. Legendę konfederacji wzmocnił Juliusz Słowacki, pisząc „Księża Marka” – opowieść o rzekomym konfederackim proroku ks. Marku Jandołowiczu, który jednak – wbrew tekstowi Słowackiego – nie zginął w Barze, ale został najpierw uwięziony, a po sześciu latach uwolniony na mocy osobistej decyzji carycy Katarzyny i dożył sędziwego wieku 86 lat.

Bliskie konfederackiej poetyce są te głosy, które starają się Polaków i Polskę idealizować oraz stawiać innym za wzór – co w gruncie rzeczy jest także świadectwem kompleksów. Symboliczna dla tego trendu była wypowiedź jednego z polityków dawnego rządu PiS o tym, że to Polacy nauczyli Francuzów jeść widelcem. Przy czym historycznym faktem jest, że przybywając

do Polski w 1573 r., Henryk Walezjusz był zadziwiony wysokim poziomem higieny i obyciem polskiej elity, na ogół wyraźnie przewyższającym standardy francuskie w tamtym czasie.

Problem z upadkiem państw – a nawet imperiów – polega często na tym, że bywa niedostrzegany przez ludzi je zamieszkujących. O tym w powieści „Aecjusz – ostatni Rzymianin” pisał Teodor Parnicki. Profesor Jacek Kowalski, który na temat konfederacji barskiej nagrał znakomitą płytę „Konfederacja barska po kowalsku”, mówił mi w wywiadzie dla dziennika „Życie” w 2001 r.:

„Walkę partyzancką w Poznańskim zaczął niejaki Jakub Ulejski, zwany Hekto-rem Wielkopolskim. To był bardzo biedny szlachcic, który widząc, co się wokół dzieje, postanowił wystąpić przeciwko Rosjanom, dochowując jednak wierności królowi. Zebrał więc kilkunastu kolegów ziemian, pojechali do miasta i spisali dokument, bardzo kwiecisty, że oni protestują przeciwko temu, co się dzieje, że będą walczyć i tak dalej, po czym oblatowali go, czyli zarejestrowali w urzędzie. Na drugi dzień Moskale zrobili oczywiście zajazd na dom Ulejskiego, który zdołał uciec – nie miał praktycznie żadnych sił. Zabili mu córkę, żonę skatowali, spalili budynki. A on dopiero wtedy poszedł do lasu i zorganizował własny oddział. Zwracam uwagę na kolejność działań. To wynikało z przekonania konfederatów, że są wolnymi obywatelami, działają w wolnym kraju, w ramach od dawna istniejących struktur”.

Państwo w gruncie rzeczy prawie już nie istniało, ale konfederacji przywódca nadal uważał, że akt skonfederowania należy oblatować w urzędzie. Ba, gdy doszło do rozbioru i od Polski odpadły rejony na wschodzie, w rozdeptanej do absurdu tytularze zachowano wciąż urzędy, odnoszące się do leżących już poza naszymi granicami województw – co pojawia się choćby w „Pamiętkach Soplicy” Henryka Rzewuskiego. Była to gra szkodliwych pozorów, a także efekt wyparcia.

GDZIE DZIŚ JESTEŚMY?

Pozostaje pytanie, na którym etapie dzisiaj jesteśmy. Czy to jeszcze czasy Sobieskiego czy już czasy Sasów, czy może moment tuż przed rozpaczliwym, a nic nieznaczącym w sumie gestem Reytana?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Głęboka przyczyna, dla której Polacy już dwukrotnie stracili swoje państwo (trzykrotnie, jeśli cofnąć się w przeszłość bardzo głęboko i uwzględnić upadek królestwa Bolesława Chrobrego i Mieszka II), jest zawsze ta sama. Nie są nią, jak chętnie wmawiali nam wszyscy nasi zaborcy, brak ucywilizowania i polityczne zdziczenie, nie są nią także, jak zwykle przyjmowali rodzimi reformatorzy, nadmiar wolności i deficyt posłuchu, symbolizowany przez „liberum veto”. Każdy z przejawów rzekomej „polskiej anarchii”, każda z tych instytucji ustrojowych dawnej Rzeczypospolitej, które podawano i do dziś podaje się jako przyczynę jej zguby, miały swoje odpowiedniki w innych czasach i innych krajach – bez tak tragicznych następstw jak u nas.

Żeby jednak wskazać właściwą przyczynę, trzeba przyjąć do wiadomości coś, czego ani Polacy, ani obcokrajowcy, nawet ci nam życzliwi, bardzo przyjąć do wiadomości nie chcą: że choć decyzja Mieszka I o przyjęciu chrztu z Rzymu, a nie Konstantynopola, uczyniła nas częścią cywilizacji Zachodu, to nasza historia jest zupełnie inna niż innych jej krajów. Nie stanowimy więc „niedorobionej” wersji Niemiec, Francji czy Anglii, choć mamy z nimi wiele wspólnego, nie jesteśmy „tacy sami, tylko zapóźnieni” – jesteśmy inni. Stworzyliśmy kiedyś własną, oryginalną cywilizację, republikańską i opartą na wolnościach obywatelskich; dziedzictwo tej cywilizacji wciąż w nas tkwi i określa nasze postępowanie. W związku z tym m.in. musimy wypracować własny model modernizacji, bo mechaniczne „implemmentowanie” wzorców narzucanych nam z wymienionych krajów – „modernizacja przez kserokopiarkę” – nie prowadzi do niczego, jest tylko wytwarzaniem chaosu. Ostatnie zdanie wyjaśnia, dlaczego w dobie „pogłębionej integracji” ta oczywistość jest tak usilnie wypierana ze zbiorowej świadomości.

KOOPTACJA KLAS

Cywilizacja sarmacka, dawna Rzeczypospolita, w której na równych prawach żyło wiele etnosów i religii, miała dużo cech, z których mamy pełne prawo być dumni. W XVII-wiecznej Rzeczypospolitej więcej było uprawnionych do udziału w procedurach demokratycznych niż

Kiedy Polacy tracą Polskę



Rafał A. Ziemkiewicz

Przywykło się fatalny dla Polski podział nazywać „wojną plemion”. W istocie jest to tłąca się od dziesięcioleci wojna chłopska, ludowy bunt, który nigdy w Polsce nie wybuchł, więc jego nierozładowane emocje infekują kolejne pokolenia Polaków i wszystkie sprawy państwowe czynią mniej istotnymi niż palący, najważniejszy problem – kto jest panem, a kto chamek i kto ma przed kim czapkować

w Anglii czy Ameryce jeszcze w XIX w., obieralny król musiał zaprzysięgać posłuszeństwo prawom królestwa i straciłby prawo do korony, gdyby przysięgę tę złamał, wolności, które mieszkańcy Zachodu wywalczyli sobie dopiero w XIX w., gwarantowały u nas przywileje jeszcze z wieku XV, nie podbijaliśmy i nie wyzyskiwaliśmy kolonii, nie prześladowaliśmy za odmienności seksualne, nie paliliśmy czarownic, kobiety odgrywały od zawsze w naszym społeczeństwie rolę bardziej znaczącą niż gdziekolwiek indziej, a gdy tam szykowano noc św. Bartłomieja, u nas sejm inicjował i przyjmował konfederację warszawską, prawo gwarantujące wszystkim religiom tolerancję.

Zapomnieliśmy o tym, bo nasza cywilizacja upadła – uwierzyliśmy więc, że była gorsza od tych, które ją podbiły. Nie była. Ale wśród jej odmienności była jedna, która zadecydowała o nieszczęściu. W Rzeczypospolitej nie było – użyjmy tego określenia – walki klas. Wiele czynników sprawiało, że krzywdy doznawane przez gorzej urodzonych, które gdzie indziej skutkowały buntami chłopskimi i rewolucjami, u nas znajdowały łatwe rozładowanie. Państwo zarazem rozległe

i pozbawione jakiegokolwiek biurokracji – bo szlachta Rzeczypospolitej wręcz obsesyjnie niszczyła wszystkie instytucje, w którym dostrzegała potencjalne zagrożenie dla wolności obywatelskich – pozwalało niezadowolonemu plebejuszowi łatwo uciec przed prześladowaniem, a nawet „wkręcić się” w szeregi warstwy wyższej. Masom, które gdzie indziej doprowadzane do desperacji musiały upominać się o swoje prawa siłą, u nas wystarczał bierny opór, a potencjalni przywódcy, zamiast organizować bunt przeciwko szlachcie, sami z powodzeniem wnikały w jej szeregi, jak o tym upewnia sławna „Liber Chamorum”.

Nie pojawiła się więc społeczna energia, która ograniczyłaby egoizm szlachty oraz wymusiła na niej dopuszczenie klas niższych do części swoich praw. Do samego końca Rzeczypospolita pozostała państwem, w którym „szlachta uzyskiwała niepodzielną władzę” i „użyła jej do całkowitego zniszczenia” (czy też – marginalizacji) mieszczań i chłopstwa. Zachodni plebejusz nauczył „lepiej urodzonych” respektu wobec ludu, niekiedy za pomocą gilotyn, niekiedy mniej brutalnymi środkami. Polski nigdy tego nie zrobił, więc też nigdy nie nauczył się szanować

■ siebie sam. Co gorsza, w stuleciach XVIII i XIX, gdy w zachodniej części kontynentu rodziła się ze społecznych antagonizmów świadomość, że „góra” z „dołem” musi się jakoś ułożyć i współpracować dla wspólnego dobra, a tym samym powstawały nowoczesne, kapitalistyczne społeczeństwa, w Polsce pojawił się proces do „walki klas” odwrótny, który można by nazwać „kooptacją klas”. Pod zaborem, w walce z wrogiem odbierającym Polakom tak im drogą wolność, klasy niższe otrzymały ofertę symbolicznego „uszlachcenia”, przez dołączenie do tej walki u boku i pod kierownictwem szlachty – wzorem sławnego kosyniera naczelnika Kościuszki, Bartosza Głowy, za okazane męstwo w walce z Moskałem uczynionego Bartoszem Głowackim. Pod koniec XIX w. endecy i ludowcy, pracujący nad pozyskaniem „mas włościańskich” dla idei niepodległej Polski, temu właśnie Głowackiemu stawiali pomniki bądź honorowali go na inne sposoby w każdej omalże wsi, czyniąc go historycznym wzorcem społecznego awansu poprzez włączenie się w walkę o wyzwolenie narodu.

„Szlachta polska była zupełnie odmiennym tworem społecznym od szlachty innych narodów” – pisał cytowany już przed chwilą Roman Dmowski w wspomnianych „Myślach nowoczesnego Polaka” (warto tu przypomnieć, że dopiero on, którego aktywność przypadła na początek wieku XX, był pierwszym szerzej uznawanym polskim liderem politycznym niewodzącym się ze szlachty). Uzyskawszy „niepodzielną władzę”, „społeczeństwo szlacheckie znakomicie izolowało się od reszty narodu i w niezwalczanym przez nikogo przywileju wytworzyło sobie warunki egzystencji wręcz cieplarnianej, bez współzawodnictwa, bez walki, bez wyężdżania energii [...]. Los przeciętnego szlachcica nie zależał zupełnie od jego zdolności i właściwości charakteru: mógł on być geniuszem i kretyńcem, człowiekiem chrystusowej moralności i nikczemnikiem, wcieleniem energii i niedołęgą – zawsze mógł według normy szlacheckiej zachować swe moralne stanowisko wśród braci-szlachty, bo przez to, że był szlachcicem, był członkiem rodziny”.

Mówiąc innymi słowy, „naród polityczny” dawnej Rzeczypospolitej nie poznał fundamentalnej dla rozwoju społecznego zasady nazwanej przez Vilfreda Pareta



„krążeniem elit”, nie nagradzał zdolności i pożyteczności dla ogółu awansem, a nieudolności degradacją. „Droga cnoty przykra, nagroda zasług niepewna, a gdy występki nie karzą, grzeszyłby, kto by dobrze czynił” – ujął to zatroskany sarmacki poeta z wieku XVII Wespazjan Kochowski. Ten właśnie społeczny zastój uczynił potężną Rzeczpospolitą bezbronnym bawołem pomiędzy pełnymi energii wilkami, absolutyzmami niemieckimi i rosyjskim, i sprawił, że państwa biedniejsze, ale agresywne i sprawnie zarządzane, w końcu ją rozszarpały.

POLSKI MENTAL

A wspomniany wyżej mechanizm „kooptacji klas” sprawił, że to, co zwykliśmy niezbyt trafnie nazywać „charakterem narodowym”, ukształtowane zostało w całości według wzorca szlacheckiego. Nie wzbogaciły go żadne z cnót typowo plebejskich, bo plebejusz, którego bardziej niż zostanie poległym powstańcem kusiło zostanie polskim Buddenbrokiem, po prostu nie miał przed sobą innych wzorców niż zaborcze – tym samym

wypadał ze wspólnoty narodowej, a jego zniemczone, względnie zruszczone potomstwo umacniało żywioły obce. Inteligencja, która płynnie zastąpiła ziemiaństwo w roli przewodzącej „ludowi” szlachty, przeniosła w nowoczesność wszystkie jej krytykowane przez Dmowskiego wady i z tej racji Polacy do dziś nie potrafią myśleć inaczej niż w sposób naiwno-romantyczny, co przynosi fatalne skutki szczególnie w polityce zagranicznej.

Fakt, że w polskim postszlacheckim mentalu zabrakło komponentu plebejskiego, zdroworozsądkowego (ba – wszelka praktyczność, „kupczykostwo”, otoczona została pogardą), nie wyczerpuje fatalnych skutków wielowiekowego zatrzymania „krążenia elit” i awansu społecznego przez naśladowanie klas wyższych zamiast ich kontestowania. Najgorsze jest to, że – jak już zostało tu wspomniane – Polacy nigdy nie ułożyli się ze sobą jako społeczeństwo, nie nauczyli się, w przeciwieństwie do społeczeństw Zachodu, kooperować dla wspólnego dobra. Jedynym sposobem



Szlachcic pilnuje chłopów podczas pracy.
Rycina z XVII-wiecznego traktatu Jakuba
Kazimierza Haura. FOT. DOMENA PUBLICZNA

społecznego funkcjonowania, który znamy, jest wzorzec: jaśnie państwo – chamstwo. Przy czym, jak celnie rozkminia to Gombrowicz z „Ferdydurke”, „chamstwo jest sensem istnienia państwa”, bo tylko mając chamstwo, przed którym może „puszyć się” – jak to obrazowo ujął Witkacy – i nad którym dominuje, może „państwo” realizować swą pańską.

W sytuacji zaboru czy okupacji jeszcze jakoś to funkcjonuje, bo sprawy wspólne zarządzane są przez kolonizatora, a Polacy albo z nim kolaborują, albo stawiają mu bohaterski, beznadziejny opór. Tragedia zaczyna się w momencie odzyskania niepodległości. Bo w latach zaboru przestało być jasne, kto jest panem, a kto chamem i kto ma przed kim zdejmować czapkę.

Cała polityka i życie publiczne Polski międzywojennej i tej odzyskanej po roku 1989 jest ustalaniem tego centralnego dla Polaka problemu: kto ma komu „czapkować”. Świetnie opisał to Melchior Wańkowicz, analizując, już po jej upadku, Polskę sanacyjną – sanacja („przewodnia siła narodu” – to piśsudzczy, nie komuniści,

stworzyli tę frazę) nie była programem politycznym ani ideą, nawet ideą tak prymitywną jak wodzostwo: była poczuciem wyższości, zbrojną szlachtą, która uważała, że to ona wywalczyła wolną Polskę i ona wywalczy jej mocarstwo – a jeśli nie, to ma ona nie tylko prawo, lecz także obowiązek wobec historii posłuch wymusić. Do samego swego końca nawet uwięzieni w Rumunii piśsudzczy stanowczo odmawiali jakiegokolwiek „posunięcia się” i podzielenia władzą. Tu tkwiło źródło ich tromtadrackiej polityki, służącej głównie imponowaniu urojoną „mocarstwowością” własnym poddanym, która sprawiła, że do wojny weszliśmy w najgorszy możliwy sposób i z najgorszym skutkiem; tu także była przyczyna, dla której tak łatwo zostaliśmy wyrolowani przez aliantów i poniósłszy gigantyczne straty, walcząc heroicznie po stronie antyhitlerowskiej koalicji, zostaliśmy w traktacie pokojowym potraktowani tak samo, jak sprzymierzeńcy III Rzeszy.

To samo, co o sanacji – że nie była ona żadnym programem, tylko sitwą spojną poczuciem wyższości i przekonaniem o wyłącznej predestynacji do rządu, zarówno „rządu dusz”, jak i dosłownego – powiedzieć można o Unii Demokratycznej i jej kolejnych mutacjach, umownie zwanych „elitami III RP”. Każdy, kto pamięta ten wybuch inteligenckiej pogardy dla „chamstwa”, którym była „wojna na górze”, i tę godną bohaterów „Liber Chamorum” łatwość, z którą najbardziej nienawidzeni i wyszydzani przywódcy „chamstwa” mogli być nobilitowani, jeśli tylko – jak Wałęsa, Niesiołowski czy Giertycho – zblatawali się z sitwą, nie może mieć co do tego wątpliwości.

BUNT, KTÓRY NIE WYBUCHŁ

Przywykło się ten fatalny dla Polski podział nazywać „wojną plemion”. W istocie jest to tłąca się od dziesięcioleci wojna chłopska, ten ludowy bunt, który nigdy w Polsce nie wybuchł, więc jego nierozłożone emocje infekują kolejne pokolenia Polaków i wszystkie sprawy państwowe czynią mniej istotnymi niż pałacy, najważniejszy problem – kto jest panem, a kto chamem i kto ma przed kim czapkować. Problem nierozwiązywalny, ponieważ „państwo” i „chamstwo” zmieszało się ze sobą w procesie, który

Melchior Wańkowicz nazwał bezlitośnie „kundlizmem”. Wbrew powszechnemu przekonaniu jego esej pod tym tytułem nie mówi o tym, że Polacy „gryzą się między sobą”, bo „szewc zazdrości awansu prałatowi”, ale o tym, że Polak pozabiorczy stał się „kundlem” właśnie, mieszańcem szlachciury z chamem, na domiar złego biorącym z obu źródeł cechy najgorsze: po szlachcie dziedziczy „puszenie się”, warcholstwo i nieliczenie się z realiami, ale np. honoru – nie; analogicznie po chłopstwie nie wziął pracowitości czy gospodarności, ale pazerność, cwaniactwo, donosicielstwo oraz behavior płaszczenia się przed silniejszym i naskakiwania z butami na słabszych. Po obu zaś – dominujący nad wszystkim instynkt stadnej pogardy dla „hołoty”.

W tak skundlonym społeczeństwie – jeśli w ogóle skłóconą zbiorowość można nazwać społeczeństwem – nie realizo-

Nie ma takiego zagrożenia dla Polski i takiej wyrządzonej jej szkody, których część Polaków nie przyjęłaby z satysfakcją czy wręcz otwartą radością, na złość tym drugim Polakom

wany instynkt klasowy bierze górę nad państwowym. Nie ma takiego zagrożenia dla Polski i takiej wyrządzonej jej szkody, których część Polaków nie przyjęłaby z satysfakcją czy wręcz otwartą radością, na złość tym drugim Polakom. Nie ma takiej kolaboracji, takiego wieszania się u obcych klamek, takiej targowicy, której jakaś część Polaków nie podjęłaby się ochotczo, szukając u obcych pomocy przeciwko drugiej, wrogiej Polsce („tej Polsce zawistnej, zakompleksionej, z którą nie chcę mieć nic wspólnego”, jak to publicznie deklarował polski oscarowy reżyser). Odwieczny spór o „czapkowanie”, mówiąc krótko, generuje i stawia ponad wszystkim wszystkie te zachowania, przez które straciliśmy Rzeczpospolitą Obojga Narodów, straciliśmy Polskę międzywojenną i jesteśmy obecnie mocno na kursie do kolejnej utraty państwowej suwerenności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W historiografii polskiej wieków XIX i XX, a więc i w naszej współczesnej świadomości, dominuje obraz, w którym upadkowi I Rzeczypospolitej winna była słabość państwa. Była to zatem anarchiczna republika szlachecka, ze słabą władzą króla, z rozbuchanymi przywilejami szlachty znanymi jako „złota wolność”. Dlatego Polska przegrała z lepiej zarządzanymi monarchiami absolutystycznymi. Już pod koniec XVII w. zaczęła odstawać od sąsiednich krajów, a słabość militarna sprawiła, że wymuszali na niej rezygnację z jakichkolwiek reform, aby nie stała się graczem na geopolitycznej szachownicy. W XVIII stuleciu była już tak osłabiona, że gdy mimo wszystko próbowała się zreformować i powołać silną armię, została zniszczona – aby w przyszłości nie zagrażała Rosji, Prusom i Austrii.

Ten dawny obraz upadku Rzeczypospolitej ma jednak niewiele wspólnego z rzeczywistością, gdyż w ostatnich dziejach jest mocno weryfikowany przez współczesne przemiany polityczne w Polsce i Europie, które stanowią w jakimś sensie powtórkę z dawnych procesów historycznych pogrążających nasz kraj w upadku. A zatem co przyczyniło się do upadku naszej pierwszej republiki i jak można było zapobiec klęsce?

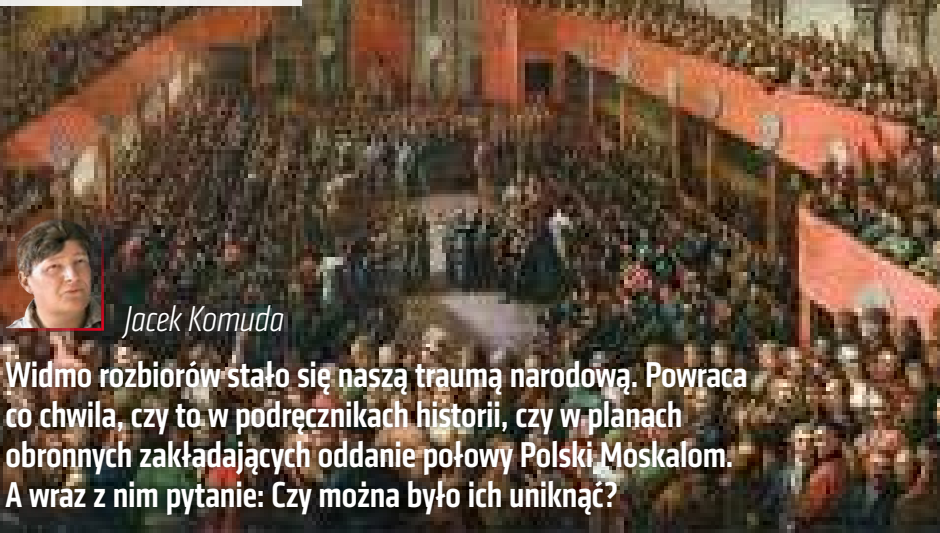
MIT JEDYNEJ REPUBLIKI

Przywykliśmy sądzić, że w XVI w., kiedy Rzeczpospolita była potężnym państwem, była zarazem jedynym wolnym państwem w Europie, wyjątkową republiką, w której jeden z trzech stanów miał takie same prawa polityczne jak my wszyscy dzisiaj. Nie jest to prawdą, bo podobnych organizmów było co najmniej kilka. Fakt, że Rzeczpospolita była zapewne największym z nich. Jednak drugą demokracją była Republika Siedmiu Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich, państwo o wiele potężniejsze gospodarczo niż Polska i Litwa, posiadające własne imperium kolonialne. Trzecią była Republika Wenecka, czwartą Konfederacja Szwajcarska. Oprócz tego prawie wszystkie państwa europejskie posiadały do połowy XVII w. mniej lub bardziej ograniczone przedstawicielstwa stanów, tworząc monarchie stanowe. Anglia od 1649 r. stała się republiką bez króla, od 1689 r. zaś – parlamentarną, nie

Dlaczego upadła I Rzeczpospolita

Kazimierz Wojniakowski, „Uchwalenie Konstytucji 3 maja”, 1806 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Jacek Komuda

Widmo rozbiorów stało się naszą traumą narodową. Powraca co chwila, czy to w podręcznikach historii, czy w planach obronnych zakładających oddanie połowy Polski Moskalom. A wraz z nim pytanie: Czy można było ich uniknąć?

tak znowu odmienną od Rzeczypospolitej. Francja z kolei została przekształcona przez króla Ludwika XIV w monarchię absolutystyczną, z której niestety dla nas brały wzór sąsiednie państwa i wrogowie: Prusy, a z tych ostatnich – Moskwa za Piotra I.

Pod względem tego, jak wielka władza przekazana była w ręce przedstawicielstwa stanów, kosztem siły panującego władcy, Rzeczpospolita nie znajdowała się wcale na czele ówczesnych republik europejskich. Pierwsza pod tym względem była Republika Zjednoczonych Prowincji i zapewne Anglia pomiędzy latami 1649 i 1660. Rzeczpospolita przypominała nieco Republikę Wenecką – najdłużej istniejące państwo o charakterze republikańskim w historii świata. Korona i Litwa z królem, jego prerogatywami, wolną elekcją i aż do początków XVIII w. dużym poszanowaniem dla władzy monarchy sytuowała się gdzieś na trzecim miejscu na tej liście.

Znamienne jest to, że los tych wszystkich republik na przestrzeni dziejów był bardzo podobny. Wszystkie ulegały osłabieniu w XVIII stuleciu, pojawiały się w ich ustroju patologie, które sprawiały, że zamiast rozwijać się i reformować, traciły siły w przeciwieństwie do otaczających ich monarchii absolutystycznych. Republika Siedmiu Prowincji została w 1795 r. zajęta przez wojska rewolucyjnej Francji, co oznaczało, że miała więcej szczęścia niż Rzeczpospolita. Natomiast Republika Wenecka została zajęta przez wojska Napoleona Bonapartego, ale w 1797 r. oddana Austrii.

W porównaniu jednak z tymi organizmami państwowymi dawna Rzeczpospolita miała pewną cechę, która świadczyła o jej wyjątkowości. Były to liczne i prawie nigdzie w Europie niespotykane przywileje stanu szlacheckiego, zwane „złotą wolnością”, która jednak oznaczała podobne swobody obywatelskie, którymi cieszymy się dzisiaj i które są – przynajmniej w teo-

rii – fundamentem założycielskim Unii Europejskiej.

Szlachcic polski czy litewski był pod ich względem odpowiednikiem mieszkańca współczesnej Polski. Kłopot w tym, że dziś, otumanieni medialnym przekazem i propagandą mediów, łatwo wyrzekamy się wolności, która była podstawową wartością nawet dla uboższego zaściankowego szlachetki. Sprawiało to, że ustroj Rzeczypospolitej już w XVI w. był w pewnym sensie prekursorem zmian społecznych, które miały dopiero nadejść – powstania nowoczesnych republik w postaci Stanów Zjednoczonych czy Francji czasu rewolucji. W tym sensie Rzeczpospolita była unikalnym tworem i jako taki wymagała unikalnego traktowania.

SEJM PADA POD CIĘŻAREM WŁADZY

Analizując jej historię polityczną, widzimy, że największym problemem stała się w pewnym momencie ogromna koncentracja władzy w sejmie zwoływanym co dwa lata. Przez całe stulecia szlachta odbierała królom ich prawa, przyznając je właśnie parlamentowi i obdarzając go ogromną władzą, jakiej nie posiada nawet nasze współczesne zgromadzenie narodowe. W dawnej Polsce sejm decydował o wszystkim – o wojnie i pokoju, zbieraniu (albo nie) podatków, o najważniejszych sprawach państwowych. Nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie fakt, że po ok. 150 latach stan szlachecki w Rzeczypospolitej zaczął ulegać przemianom, które są nieodłączną częścią rozwoju ludzkości. Stał się po prostu społeczeństwem; więc pojawiły się bogata i wpływowa magnateria, średnia szlachta – odpowiednik dzisiejszej klasy średniej – a także rzesze biednej szlachty zaściankowej oraz gołoty nieposiadającej niczego poza herbem i szablą. Zarysowały się też pierwsze stronnictwa polityczne, załazek współczesnych partii politycznych. Jednak wszystkie spory i walki zaczęły toczyć się właśnie na sejmie – najwyższym organie władzy państwowej.

I tutaj pojawiła się pierwsza przyczyna osłabienia Rzeczypospolitej, bo zasady funkcjonowania zgromadzenia sformułowane na początku XVI stulecia nie pasowały do nowej sytuacji politycznej i społecznej w połowie następnego wieku. Sejm mający ogromną władzę nie

był w stanie jej skutecznie sprawować. Przyczyną tego były precedensy – jednomyślność przy podejmowaniu uchwał i liberum veto – pomyślane jako swoisty wentyl bezpieczeństwa stały się one narzędziem paraliżowania państwa. Po prostu po 1652 r. posłowie – działający najpierw w imię partykularnych interesów, a potem z rozkazu magnatów – zaczęli paraliżować państwo w celu wymuszenia korzystnych decyzji politycznych.

Wszystko to w sytuacji, gdy zerwanie sejmu lub nieuchwalenie konstytucji oznaczało, że państwo nie realizuje swoich podstawowych zobowiązań – nie zatwierdza umów z innymi władcami, nie zbiera podatków, aby utrzymać wojsko. Paraliż sejmu stał się przyczyną ruiny i paraliżu całej Rzeczypospolitej.

WETO URUCHAMIA LAWINĘ KATASTROFI!

Na tej zasadzie zerwanie sejmu w 1652 r. przez Sicińskiego uruchomiło cały łańcuch konsekwencji, które doprowadziły do największej klęski politycznej i militarnej w historii Rzeczypospolitej. Najpierw zerwany sejm nie zatwierdził ugody białocerkiewskiej z Kozakami – a byliśmy przecież w trakcie powstania Bohdana Chmielnickiego. Kozacki przywódca uznał to za kontynuację wojny i zaatakował hetmana Marcina Kalinowskiego. Sejm jednak nie uchwalił podatków, więc armia koronna nie otrzymała żołdu. Wyniszczone i pozbawione środków utrzymania chorągwie jazdy koronnej zamiast walczyć, zbuntowały się przeciwko hetmanowi. Wykorzystał to Chmielnicki, który pobił armię koronną pod Batochem i wymordował prawie wszystkich jeńców. Klęska rozeszła się echem po Europie i pokazała wrogom, że Rzeczpospolita jest słaba i można ją pokonać. Konsekwencją były kolejne potopy – moskiewski i szwedzki, wreszcie siedmiogrodzki.

Ten pierwszy groźny kryzys systemu politycznego I Rzeczypospolitej wymagał naprawy państwa. Jakie jednak reformy należało zastosować? Biorąc pod uwagę siłę, liczebność i przywiązanie do wolności stanu szlacheckiego, podstawową reformą, którą należało podjąć, było usprawnienie obrad sejmowych – ograniczenie liberum veto i wprowadzenie głosowania większością. Nie były to mrzonki – nie tylko szlachta, lecz także

magnaci i dostojnicy wielokrotnie postulowali wprowadzenie takich zmian. Już w 1596 r. prymas Stanisław Karnkowski proponował, aby projekty ustaw przedstawiać mógł tylko król. W tym czasie biskup płocki Albert Baranowski postulował podejmowanie decyzji większością głosów. Podobną propozycję przedstawili w 1646 r. Stanisław Szczucki i rok później Stanisław Jabłonowski. W czasie potopu chęć zreformowania sejmów wyrażali prymas Andrzej Leszczyński i liczne grono senatorów. Na konwokacji senatorskiej w 1658 r. kanclerz kanclerz Stefan Koryciński, marszałek Łukasz Opaliński, wojewoda poznański Jan Leszczyński i podkanclerzy bp Andrzej Trzebicki zaproponowali podejmowanie decyzji i uchwalanie ustaw na sejmach większością dwóch trzecich głosów. Reformę tę popierał nawet późniejszy prymas Polski Mikołaj Prażmowski.

Idąc za tymi propozycjami, reformy ustrojowe Rzeczypospolitej powinny być unikalne, dostosowane do realiów państwa, które skoro wprowadziło system demokratyczny, to powinno iść w stronę nowoczesnej republiki. Historia przyznaje rację moim słowom; tak właśnie zrobiono pod koniec XVIII w., uchwalając Konstytucję 3 maja, wprowadzając wiele istotnych instytucji i zmieniając oblicze Rzeczypospolitej. Jednak za późno! Za późno!

FATALNE ZDERZENIE REFORM

Jak bowiem w rzeczywistości próbowano reformować system parlamentarny Rzeczypospolitej? Cóż, najpierw spojrzmy na ugrupowania, które mogły i chciały (lub nie chciały) dokonać zmian. W drugiej połowie XVII w. scena polityczna sejmu podzielona była na stronnictwa związane z określonymi kręgami władzy. Król miał oparcie we własnym otoczeniu – w przypadku Jana III Sobieskiego było to stronnictwo dworskie związane z dworem nadaniami urzędów i włości – królewskimi, a często powiązane z hetmanem i wodzem braterstwem broni we wspólnych wyprawach wojennych. Kolejną siłą były stronnictwa magnackie – skupione wokół dygnitarzy państwowych będących jednocześnie ogromnymi posiadaczami ziemskimi, dysponujących własną siłą zbrojną. Pierwszym z nich historycznie byli malkontenci, dawni poplecznicy króla Jana Kazimierza, a pod

koniec wieku klienci Sapiehów, którzy terroryzowali Litwę i zniweczyli plany polityczne Jana III Sobieskiego.

W tych czasach magnackie „partie” były już popierane i finansowane przez ambasadorów obcych mocarstw – na razie Francji i Austrii, a z czasem Stolicy Apostolskiej. Później miały się pojawić bardziej złowrogi wpływy – pruskie i moskiewskie, osłabnąć zaś francuskie. W XVIII w. wyrosły z tego ogromne stronnictwa Familii Czartoryskich i Potockich, kamaryla Mniszcha i wreszcie promoskiewskie stronnictwo hetmańskie złożone z największych zdrajców i targowiczian.

Trzecią siłą, ogromną, lecz bezwładną, były masy szlachty – nieorganizowanej w żadne partie. W niektórych latach, jak za panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego, ogół panów braci popierał króla, występując przeciwko malkontentom. Podobnie bywało za czasów Sobieskiego, o ile król prowadził politykę zgodną z oczekiwaniami szlachty. W innych wypadkach ruch szlachecki rozbijał się na różne frakcje i formował stronnictwa wokół magnatów. Pojawiali się też jego przywódcy – wywodzący się z magnaterii, lecz przypominający trybunów ludowych – jak Jerzy Sebastian Lubomirski czy bp Andrzej Olszowski.

Królowie widzieli potrzebę reform i podejmowali kroki w stronę wzmocnienia władzy państwowej. Podobnie wśród szlachty pojawiały się propozycje reform, co sprawiało, że obie ze wspomnianych sił zainteresowane były zmianami systemu. Przeciwna jakimkolwiek reformom była magnateria, gdyż godziłoby to w jej władzę, którą pokazywała na sejmach poprzez ich zrywanie, niwecząc wysiłki władców w celu wprowadzenia jakichkolwiek zmian. A przy okazji niszcząc wszelkie próby reform wychodzące od szlachty.

Wydawać by się mogło, że sytuacja taka spowodować powinna sojusz króla ze szlachtą, z której powinien stworzyć wierne stronnictwo sejmowe. Niestety, tak się nie stało! Królowie – jak Jan Kazimierz i August II Sas, a także Jan III Sobieski – mieli zupełnie inną wizję reform Rzeczypospolitej. A co gorsza – cudzoziemcy pogardzali szlachtą, która nie była dla nich partnerem politycznym. Zamiast zmieniać sejm, próbowali przenieść na grunt Rzeczypospolitej reformy, które wprowadzali władcy na Zachodzie

Europy. A zatem zaprowadzić oświecony absolutyzm za wszelką cenę, nawet zrujnowania państwa. Idąc śladem Ludwika XIV, ograniczyć uprawnienia parlamentów. Bo po co sejm, skoro król Francji swojego nie zwołuje? Pozbawić armii i twierdz arystokrację, stworzyć nowoczesną biurokrację, skarb i wojsko, aby wzmocnić władzę kosztem wolności poddanych.

I był w tym tylko jeden, wielki problem. W kraju takim jak Rzeczpospolita, gdzie żyło milion wolnych ludzi, żaden król nie ma szansy takiej reformy wprowadzić! Żaden nie był w stanie odebrać szlachcie swobód!

Pierwszym był Jan Kazimierz – próbujący narzucić szlacheckim masom elekcję vivente rege, to jest wybór następcy za życia poprzedniego króla, i forsując kandydaturę Francuza. Wywołało to sprzeciw armii, która poparła wielkiego przeciwnika dworu – Jerzego Sebastiana Lubomirskiego – a kiedy król próbował go zniszczyć, część szlachty wywołała rokosz i wojnę domową, którą król przegrał.

Dlaczego jednak Jan Kazimierz nie skupił się najpierw na reformowaniu sejmku? Wszak pozbywając się liberum veto i mając własne stronnictwo, mógłby wprowadzić elekcję vivente rege drogą legalną – poddając projekt pod głosowanie, ale w zreformowanym parlamencie, nie zaś narzucając je siłą masom szlachty, których nie był w stanie pokonać.

Podobnie było z reformami Jana III Sobieskiego – król próbował przeformować wybór syna Jakuba za życia ojca, ale jego plany zostały przekreślone na sejmach przez opozycję Sapiehów. Od jego panowania zaczął się upadek demokracji, zrywanie sejmów stało się powszechne, a państwo sparaliżowane. Kolejny król – August II Sas – wciągnął nieprzygotowaną Rzeczpospolitą w wojnę ze Szwecją – chcąc w zamian za odzyskanie Inflant skłonić szlachtę do reform i zagwarantowania tronu dla jego syna. Skończyło się to ruiną kraju, a kiedy król usiłował wprowadzić do Rzeczypospolitej wojska saskie, aby wzorem Ludwika XIV siłą wymusić na szlachcie reformy, ta zawiązała konfederację tarnogrodzką, będącą de facto pierwszym powstaniem narodowym. Król nie był w stanie jej pokonać – musiał przyjąć



JACEK KOMUDA
„UPADEK. JAK
STRACILIŚMY
PIERWSZĄ
RZECZPOSPOLITĄ”
FABRYKA SŁÓW
2025

mediację moskiewską, co oznaczało, że car zaczął się mieszać do spraw Rzeczypospolitej.

Takie właśnie uporczywie powtarzane próby wprowadzenia bezmyślnie skopiowanych z krajów zachodu reform absolutystycznych, niemożliwych do realizacji w warunkach polskich, stały jedną z głównych przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Absolutyzmu zwyciężajnie nie dało się wprowadzić w kraju z tak liczną, wolną szlachtą broniącą przywilejów. Co więcej, doprowadziło

to do skostnienia archaicznego systemu demokracji, gdzie szlachetnie urodzeni za wszelką cenę bronili swojej wolności – traktując króla jako głównego wroga, a magnatów jako sprzymierzeńców.

CO NALEŻAŁO ZROBIĆ?

Prawda jest taka, że reformy I Rzeczypospolitej powinny być dostosowane do jej odmienności społecznych i politycznych, a nie bezmyślnie przeniesione z Francji czy Prus. Po uzdrowieniu sejmku zreformowany parlament mógłby podjąć dzieło dalszych reform, tworząc nowoczesną administrację, wojsko, stałe podatki. A przede wszystkim systemy chroniące demokrację przed absolutyzmem, a w realiach dawnej Rzeczypospolitej – przed wpływami obcych ambasadorów. Wszystko to osiągnięto pod koniec XVIII w. Jednym ze sprawców tych zmian okazał się król Stanisław August Poniatowski, który poprzez Szkołę Rycerską i Komisję Edukacji Narodowej wychował nowe pokolenia obywateli Rzeczypospolitej, zmienił jej oblicze. Byłby jednym z najwybitniejszych władców Polski... Właśnie! – byłby – gdyby miał wystarczająco dużo siły, aby do końca bronić swoich własnych reform i konstytucji. Tymczasem zdradzając naród ze strachu przed Rosją i jej carycą, upodlił się ostatecznie. Może dlatego, że skoro wzbił się pod przestworza na wszystkich swoich dziełach, to tym boleśniejszy był jego upadek – koniec tchórza i zdrajcy. Nie wiedział bowiem Staś, że reformy i konstytucja, które pomógł stworzyć, nie należą już do niego, ale do całego narodu I Rzeczypospolitej. A odrzucając je, gubi ich wszystkich. Ale to już inna historia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nie musisz być znany, żeby być wybitny-
wystarczy, że jesteś tam, gdzie spotykają
się liderzy świata Polonii.

WYBITNE UMYSŁY POLONII ŚWIATA

MIĘDZYNARODOWA INTEGRACJA KRAKÓW

Centrum Fabryczna • Muzeum Lotnictwa • Gala

24-28 KWIETNIA 2025



Na wydarzenie zaprasza Agnieszka Maćkówka, prezes Polsko-Polonijnej Izby Gospodarczej, od lat zaangażowana w integrację i wsparcie Polonii na całym świecie. Aktywnie buduje mosty między Polakami mieszkającymi za granicą a krajem, promując solidarność, lojalność i współpracę.

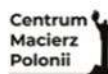
Polsko-Polonijna Izba Gospodarcza to międzynarodowa organizacja wspierająca polskich przedsiębiorców i liderów Polonii. Łączy środowiska biznesowe, kulturalne i naukowe z różnych krajów. Organizuje prestiżowe wydarzenia i tworzy globalną sieć kontaktów. Działa aktywnie w Europie i USA.

Jeśli szukasz nowych rozwiązań biznesowych, partnerów lub inwestorów — zapraszamy do nas! To doskonała przestrzeń do nawiązywania wartościowych relacji i rozwoju Twojego biznesu na skalę międzynarodową.

Dowiedz się więcej:



Partnerzy



Więcej informacji:



<https://konferencjappig.wixsite.com/ppig2025>

Donald Tusk obiecywał rozliczenia polityków PiS. Po półtora roku osiągnięcia władzy są – eufemistycznie mówiąc – dość skromne

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

ROZLICZENIA POPRIEDNIEGO RZĄDU

149

ZAWIADOMIEŃ
DO PROKURATURY

ZARZUTY WOBEC

62 OSÓB

Patrząc na dotychczasowe rozliczenia PiS, trzeba przyznać, że na tle niedawnych zapowiedzi osiągnięcia władzy są – eufemistycznie mówiąc – dość skromne. W ciągu półtora roku udało się bowiem postawić zarzuty Mariuszowi Błaszczakowi (odtajnienie dokumentów), Janowi Krzysztofowi Ardanowskiemu (niedopełnienie obowiązków), Piotrowi Wawrzykowi (tzw. afery wizowa), Marcina Romanowskiego, ponadto wystosowano akty oskarżenia wobec Adama G. (zarzut korupcyjny dotyczący przyjęcia pieniędzy na kampanię), Adama Niedzielskiego (ujawnienie danych lekarza) i Ryszarda Czarneckiego (kilometrówki), a w końcu udało się też zatrzymać posła Dariusza Mateckiego. Co do realnych wyroków, to na razie skazano jedynie trzeciorzędne postaci. Do więzienia trafił były poseł PiS Piotr B. (na 16 miesięcy) oraz Jerzy G., były dyrektor dolnośląskiego PCK (na trzy lata). Ciężko jednak aferę wokół ubrań z PCK, kilometrówek czy sprawy ujawnienia danych lekarza traktować jako szczególnie sukces władzy w zakresie rozliczeń.

Kulawy przemysł rozliczeń



Jan Fiedorczuk

Rozliczenie PiS było najważniejszą (i być może jedyną prawdziwą) obietnicą wyboczą Donalda Tuska. Jednak od przejęcia władzy przez koalicję centrolewu minęło już półtora roku i widać wyraźnie, że proces rozliczeń nie tylko nie idzie zgodnie z planem, lecz także staje się dla rządzących kulą u nogi



– Rządzimy już ponad rok: Gdzie są akty oskarżenia? Chciałbym, żeby przynajmniej wobec pięciu czy trzech osób, a nawet tylko jednej był poważny akt oskarżenia i żeby sąd już rozpatrywał sprawę – mówił pod koniec ubiegłego roku Marek Sawicki z PSL.

Jego głos nie jest odosobniony. Coraz częściej można się bowiem spotkać z poglądem, że kierowanie resortem sprawiedliwości po prostu przerasta Adama Bodnara. Miałby być chleb i igrzyska, ale zarówno z jednym, jak i z drugim rząd sobie nie radzi. Pod sąd mieli trafić prezes Kaczyński, prezydent Duda, premier Szydło, premier Morawiecki, ministrowie, sędziowie, a tymczasem proces rozliczeń sprowadza się do tego, że zatrzymano posła Marcina Romanowskiego i ucięto mu pensję. Killkumiesięczny areszt wydobywczy dla ks. Michała Olszewskiego oraz dwóch urzędników pracujących w resorcie sprawiedliwości również trudno postrzegać jako wielki sukces (szczególnie uwzględniając skandaliczne okoliczności ich przetrzymywania). Nic dziwnego zatem, że nawet najwięk-

Coraz częściej można się spotkać z poglądem, że kierowanie resortem sprawiedliwości po prostu przerasta Adama Bodnara

si zwolennicy obecnej władzy zaczynają tracić cierpliwość.

„Rozliczanie PiS postępuje wolniej, bo nie wszyscy w koalicji zrozumieli, że bez rozliczeń nie będzie naprawy Rzeczypospolitej” – stwierdził w grudniu 2024 r. Donald Tusk, co jednak trudno traktować w innych kategoriach niż jako kolejna odsłona spektaklu pt. „Premier się wściekł”. Za swych pierwszych rządów Donald Tusk również obiecywał rozliczać PiS. Prokuratura prowadziła kilkadziesiąt śledztw, w Sejmie działały dwie komisje śledcze, proplatformerscy dziennikarze przebierali nogami – i nic. Wielki plan rozliczenia formacji Jarosława Kaczyńskiego za nadużywanie władzy w latach 2005–2007 spełził na niczym. Do rangi

symbolu urosła już próba postawienia przed Trybunałem Stanu Zbigniewa Ziobry w 2015 r., gdy ówczesnej większości sejmowej zabrakło pięciu głosów.

PEGASUS, CZYLI NIEWYPAŁ

Te sceny sprzed lat stają przed oczami, gdy śledzimy obecną epopeję związaną z byłym ministrem sprawiedliwości. Idąc do władzy, Donald Tusk budował quasi-mityczną wizję walki dobra ze złem i nawet już po powołaniu rządu w swym exposé rysował swego rodzaju paralelę między PO, uosabiającą etos Solidarności, a siłami PiS, odpowiedzialnymi za zło świata. W swym exposé Tusk nawiązał m.in. do samobójczej śmierci Piotra Szczęsnego („szarego człowieka”), niedwuznacznie sugerując, że PiS jest winien tej tragedii. Naczelnym schwarzcharakterem w tej skrupulatnie budowanej opowieści o upadku demokracji i wolności był Zbigniew Ziobro. „Dorwanie” byłego ministra sprawiedliwości stało się zatem naczelną obietnicą nowej władzy. Widać, że z realizacją tej obietnicy idzie rządowi mniej więcej tak jak z resztą „100 konkretów”.

Do historii przejdzie już zapewne styczniowe posiedzenie komisji do spraw Pegasus, gdy w obawie przed przybyciem Ziobry na przesłuchanie w pośpiechu zakończono obrady. Do sieci trafiły nagrania, na których widać, jak Joanna Kluzik-Rostkowska daje „kuksańca” posłowi Sławomirowi Ćwikowi, który chciał zabrać głos przed zamknięciem posiedzenia. „Szybciej, zaraz tu wejdzie” – mieli się poganiać politycy koalicji podczas głosowania. Wydarzenie urosło do rangi symbolu, gdyż w dziejach III RP działały się różne historie na komisjach śledczych, jednak nigdy nie doszło do sytuacji, by członkowie organu bali się świadka, którego sami wezwali.

Pod koniec marca Sąd Okręgowy w Warszawie odrzucił wniosek komisji, która domagała się 30-dniowego aresztu dla Zbigniewa Ziobry. Komisja zapowiadała początkowo odwołanie od tej decyzji, by po kilku dniach... zmienić zdanie. Przewodnicząca Magdalena Sroka oznajmiła triumfalnie, że tą decyzją „sąd potwierdził legalność komisji”. Czyli po ponad roku największym sukcesem zespołu Sroki jest to, że sąd okręgowy (wbrew wcześniejszemu orzeczeniu

Trybunału Konstytucyjnego) uznał, że komisja w ogóle jest legalna. Przypomnijmy, że miesięczny koszt działania komisji to ponad 40 tys. zł.

Sama kwestia Pegasusa to zresztą ciekawy przyczynek do zobrazowania, jak mocno nadmuchiwało balonik, obiecując zemstę i budując coraz większy apetyt wyborców oraz jak bardzo te zapowiedzi nie przystają do rzeczywistości. Oto po miesiącach spekulacji, gróźb i podbijania bębna ustalono, że podśledczy prowadzone za pomocą Pegasusa, które badała komisja, były prowadzone pod nadzorem i za zgodą sądów. Zgody na użycie systemu wydawał m.in. antypisowski sędzia Igor Tuleya.

Obecnie wygląda na to, że sprawa Pegasusa utknęła w martwym punkcie. Oprócz komisji działa co prawda zespół prokuratorski powołany przez Bodnara, jednak – jak informowała niedawno „Rzeczpospolita” – może on się już niedługo „rozsypanąć”. Na razie z członkostwa w nim zrezygnował prokurator Grzegorz Talarek, ale kolejni prokuratorzy nie kryją wątpliwości związanych z dotychczasowymi pracami i nie chcą brać na siebie odpowiedzialności za stawianie wątpliwej jakości zarzutów byłym ministrom i urzędnikom.

ŁAPAĆ ŻŁODZIEJA

Na początku kwietnia Adam Bodnar z wielką pompą poinformował o odtajnieniu dokumentów dotyczących zakupu systemu Pegasus. W wyniku tego kroku opinia publiczna dowiedziała się m.in., że zakupu dokonano w związku z umową Ministerstwa Sprawiedliwości z CBA, że zakup był legalny, dowiedziono również już ponad wszelką wątpliwość, że szefem resortu, który odpowiadał za zakup, był jednak Zbigniew Ziobro. Dwadzieścia pięć milionów złotych pochodziło z Funduszu Sprawiedliwości, a podstawą prawną był paragraf, który pozwalał ministrowi „uznaniowo przyznawać pieniądze z Funduszu”.

Sam Fundusz Sprawiedliwości stał się swoistym „oczkiem w głowie” rządzącej koalicji. Donald Tusk mówił, że jeżeli zeznania Tomasza Mraza w tej sprawie są wiarygodne, to „mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą”, a było to jedno z subtelniejszych określeń, którymi posługiwali się politycy koalicji.

Łącznie w sprawie analizowanych jest 1,2 tys. tomów akt, przesłuchano ponad 200 osób, przeanalizowano 50 zawartych umów, a 24 osoby usłyszały zarzuty. Sprawa Funduszu to miał być „gol do pustej bramki”, jednak po półtora roku nadal nie udowodniono żadnemu politykowi PiS, że faktycznie kradł publiczne środki. Aby wyładować frustrację, Bodnarowi pozostaje jedynie domagać się od beneficjentów Funduszu zwracania otrzymanych środków, co jest, rzecz jasna, bezprawne. Poszczególne decyzje byłego ministra sprawiedliwości mogą być oczywiście krytykowane, jednak żaden sąd nie podważał umów, które resort sprawiedliwości podpisywał za poprzedniej władzy.

Każda władza powinna być rozliczana za swoje działania. Jednak obecnie rozliczenia przypominają medialną ustawkę przygotowaną dla radykalnego elektoratu, a nie realną próbę wymierzenia sprawiedliwości

Emblematyczna była tutaj wspomniana na samym początku tekstu sprawa ks. Michała Olszewskiego, prezesa fundacji Profeto, która otrzymała z Funduszu Sprawiedliwości 66 mln zł. Duchowny przez ponad pół roku przebywał w areszcie wydobywczym, a gdy w końcu wyszedł na wolność, fundacja została zamknięta, gdyż organy ścigania zajęły jej konta bankowe. Bez dowiedzenia jakiegokolwiek winy organizacja została zniszczona metodą faktów dokonanych.

Gdy po zeznaniach Pawła S. w sprawie RARS pojawiła się kwestia Anny W., byłej dyrektorki Biura Prezesa Rady Ministrów, oskarżonej o przyjęcie 3,5 mln zł łapówki, wydawało się, że rozliczeniowa maszyna Bodnara w końcu odnotuje sukces, ale i tutaj doszło do spektakularnej klapy. Na kobiecie najprawdopodobniej próbowano wymusić zeznania obciążające Mateusza Morawieckiego, a Roman Giertych sugerował, że gdyby Anna W. była „tak mądra jak dyrektor Tomasz Mraz”, to przemysł rozliczeń ruszyłby do przodu, a ona sama

już dawno „zajmowałaby się synem”. Chodzi o 13-letniego chłopca w spektrum autyzmu, który przez tygodnie był pozbawiony kontaktu z matką. Do mediów dotarła informacja, że chłopiec próbował popełnić samobójstwo. Co więcej, pojawiły się też przecieki, że prokuratura złożyła wniosek o wydanie zarządzenia opiekuńczego, co mogło skutkować nawet odebraniem chłopca spod opieki ojca. Ostatecznie do tego nie doszło, ale nie da się tego traktować inaczej niż jak próbę złamania osadzonej kobiety.

Sama Anna W. na przesłuchanie była prowadzona skuta kajdankami na rękach i nogach, niczym najgroźniejszy przestępca z filmów akcji. Gdy Bodnar był jeszcze rzecznikiem praw obywatelskich, sprzeciwiał się takim praktykom, stając na straży praw m.in. Jakuba A., człowieka, który zgwałcił i zamordował 10-letnią dziewczynkę, a którego policjanci skuli kajdankami zespolonymi. Potraktowanie Anny W. niczym groźnego mordercy dowodzi narastającej frustracji w obozie władzy. Nawet przyjmując, że kobieta jest winna zarzucanych jej czynów, to przecież mowa o przestępstwie gospodarczym. Nie mogąc złamać podejrzanej, by ta obciążyla przełożonych, pozostaje jedynie wyżywanie się na oskarżonej. Nie jest to też pierwszy raz, ponieważ podobny mechanizm stosowano wobec ks. Olszewskiego czy urzędniczek z resortu sprawiedliwości.

NARASTA FRUSTRACJA

A przecież apetyty dotyczące rozliczenia „żłodzi” z PiS były olbrzymie. Jeszcze w sierpniu zeszłego roku przedstawiciele rządu mówili o 100 mld zł, które były wydawane w wątpliwy sposób za rządów Zjednoczonej Prawicy. Kwota robiła olbrzymie wrażenie i szybko obieğa media. Nastroje jednak studził minister finansów Andrzej Domański, który zaledwie cztery dni po tym, jak sam podpisał porozumienie z szefami MSWiA oraz resortu sprawiedliwości w sprawie rzeczonych 100 mld zł, wystąpił z twierdzeniem, że realna kwota to... 5 mld zł. Jeżeli te 5 mld zostało zdefraudowanych, to oczywiście nadal byłby to skandal, jednak skala wyolbrzymienia dobrze oddaje nastroje panujące w koalicji oraz oczekiwania, które wytworzyła władza w związku z rozliczeniem „żłodzi z PiS”.

Dociskany przez premiera i czujący na plecach oddech Romana Giertycha minister sprawiedliwości coraz częściej przyryka oko na skandaliczne procedury wymierzone w opozycję czy wręcz w nich uczestniczy. Rzecznik Praw Obywatelskich już przy zatrzymaniu ks. Olszewskiego oraz urzędniczek z resortu sprawiedliwości wskazywał, że byli oni traktowani niehumanitarnie – bez wody, bez dostępu do toalety, budzeni co dwie godziny itd. Oskarżona o przyjęcie łapówki Anna W. była traktowana jak najgroźniejszy morderca gotowy rzucić się na eskortujących ją policjantów. Ale pójdźmy dalej – w marcu zeszłego roku służby de facto włamały się do domów Zbigniewa Ziobry (wówczas nadal walczącego z chorobą nowotworową), Michała Wosia, Marcina Romanowskiego i Dariusza Mateckiego, naruszając tym samym immunitety posłów. Z kolei całkiem niedawno głośne śledztwo w sprawie „dwóch wież” otrzymała radykalnie antypisowska prokurator Ewa Wrzosek, od której dystansują się nawet politycy rządzącej koalicji. Fakt, że podczas feralnego przesłuchania Barbary Skrzypek nie było przerwy, nie było pełnomocnika, nie było kamer – to wszystko dowodzi radykalizacji władzy i po prostu rosnącej frustracji. Sam minister Bodnar, który jeszcze jako RPO mógł stawać w obronie praw mordercy i gwałciiciela 10-latk, teraz nie czuje się zobowiązany wyciągnąć żadnych konsekwencji czy to w sprawie Ewy Wrzosek, czy tego, jak traktowano Annę W., ks. Olszewskiego czy zatrzymane z nim urzędniczki. Miały być rozliczenia, a mamy festiwal przesładowań.

WŁADZA BIERZE SIĘ ZA MISIA WOJTKA

Podsumujmy zatem dotychczasowe „sukcesy” rządu. Nominatom władzy udało się włamać do Pałacu Prezydenckiego i uprowadzić dwóch polityków PiS – Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika. Ten pierwszy, w związku z podjętym protestem głodowym, był przymusowo dokarmiany, co zapewne w „uśmiechniętej koalicji” zostało zaliczone na poczet realizacji wyborczych obietnic. Radość nie trwała jednak długo, gdyż obaj politycy zostali ułaskawieni przez prezydenta Dudę, a następnie w wyborach euro-

pejskich zdobyli mandaty europosłów. Polskę opuścił również, aczkolwiek już w zdecydowanie innych okolicznościach, poseł Marcin Romanowski, uzyskując azyl polityczny na Węgrzech. To zapewne jedna z większych kompromitacji obozu władzy – człowiek, którego zatrzymanie miało być symbolem rozliczeń, został przez sojusznicze państwo (członka UE i NATO) potraktowany jako polityczny uchodźca, którego prawa obywatelskie są zagrożone. W ramach odwetu zdecydowano o pozbawieniu posła wynagrodzenia. Nie jego jednego. Od lutego wynagrodzeń pozbawieni są bowiem również sędziowie Trybunału Konstytucyjnego. Być może uznano, że skoro Trybunału nie da się „zdemokratyzować”, jak to zrobiono choćby z Prokuraturą Krajową, to „zdemokratyzowane” zostaną przynajmniej kieszenie sędziów.

To jednak nie koniec. Rząd w próbach rozliczania poprzedniej władzy działa wielotorowo, czego przykładem niedawny audyt Ministerstwa Kultury w Instytucie Pileckiego. W raporcie, do którego dotarła „Rzeczpospolita”, szefostwo resortu zakwestionowało dotychczasowe wydatki Instytutu m.in. na kursy dla dzieci o historii Polski, w tym o Januszu Korczaku, polskim godle czy słynnym misiu Wojtku z Armii Andersa. Skoro nie udało się dorwać Kaczyńskiego, to pozostaje pościg za misiem Wojtkiem.

Odkładając żarty na bok, oczywiste jest, że każda władza powinna być rozliczana za swoje działania – to normalna cecha demokratycznego państwa. Jednak obecnie rozliczenia przypominają medialną ustawę przygotowaną dla radykalnego elektoratu, a nie realną próbę wymierzenia sprawiedliwości. Dla przykładu: w ostatnich tygodniach szef MSWiA Tomasz Siemoniak oraz minister sprawiedliwości Adam Bodnar zdecydowali o powołaniu jeszcze jednej komisji – tym razem do spraw „wyjaśnienia mechanizmów represji wobec organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015–2023”. Jej szefową ma być mecenas Sylwia Gregorczyk-Abram, adwokat inicjatywy Wolne Sądy, a w składzie będzie zasiadać m.in. jedna z liderek strajku kobiet Klementyna Suchanow. Nie będzie to jednak komisja śledcza, tylko organ, który ma przygoto-

wać trzy raporty, a zatem ustalenia tejszej komisji de facto nie będą miały żadnej mocy prawnej. Jest to po prostu kolejny pusty ruch dublujący pracę prokuratury, obliczony na medialną wrzawę i przesłonięcie dotychczasowych niepowodzeń Bodnara.

Paradoksalnie obecna koalicja dość ostrożnie sobie poczyną, gdyż można by spokojnie pokusić się o przyznanie się co najmniej kilku innym kontrowersyjnym działaniom władzy z lat 2015–2023. Cenzurowanie prawicowych mediów, restrykcje covidowe, ograniczanie polskiej suwerenności – to wszystko sprawy wielkiego kalibru, którymi jednak nikt w resorcie sprawiedliwości się nie interesuje. Raz, że obecnej władzy ideologicznie jest nie po drodze z takimi tematami; dwa, że łatwiej budować poparcie na sprawie Funduszu Sprawiedliwości czy Pegasusa. A tylko o to przecież chodzi.

OSPALA MASZYNA

Komentując rozliczenia związane z Funduszem Sprawiedliwości, Donald Tusk opublikował w lutym nagranie, w którym cytował wiersz Tuwima „Lokomotywa”. – Najpierw powoli, jak żółw ociężałe ruszyła maszyna po szynach ospale. Szarpnęła wagony i ciągnęła z mozołem. I kręci się, kręci się koło za kołem. I biegu przyspiesza i gna coraz prędzej... – czytał premier, podczas gdy w tle przewijały się nagłówki portali z doniesieniami na temat rozliczeń. Na koniec zaś premier w wymownym geście puszcza oko do kamery. I to krótkie nagranie jest bodaj najlepszym podsumowaniem całego przemysłu rozliczeń, który wydaje się jedną wielką ustawką dla mediów i radykałów spod znaku Silnych Razem i ośmogwiazdkowców. Dla nich liczy się sam fakt zemsty, a że przy okazji łamane są prawa ściganych urzędników, polityków czy osób zupełnie apolitycznych – to już nie ma znaczenia.

Warto jednak odnotować, że maszyna premiera, pod której koła wpadają zazwyczaj osoby zupełnie postronne, w gruncie rzeczy wymaga ciągłych napraw i reform. Lokomotywa rozliczeń, którą Tusk przed dojściem do władzy tak szumnie zapowiadał, nieustannie się zacina, ospale posuwając się w bliżej nieokreślonym kierunku.

Likwidacja albo ekshumacja. Ocalmy grób legendarnego Ernesta Wilimowskiego” – taki tekst ukazał się 2 kwietnia na portalu kibiców Ruchu Chorzów – Niebiescy.pl. I dalej: „Grób Wilimowskiego znajduje się na cmentarzu w Karlsruhe (Niemcy), jednakże władze miasta postanowiły przeznaczyć ten fragment nekropolii na inne cele. Nie możemy dopuścić do likwidacji grobu jednego z najwybitniejszych piłkarzy polskiej piłki, legendy Ruchu Chorzów”.

W sprawę natychmiast zaangażował się eurodeputowany Łukasz Kohut, nieformalny polityczny patron autonomistów śląskich. Na X napisał: „Nie można pozwolić, by [Wilimowski] nie miał miejsca godnego pochówku. Dzisiaj odwiedziłem cmentarz w Karlsruhe, gdzie spoczywa, i spotkałem się z przedstawicielami ratusza w tej sprawie [...]. Interweniowałem także w Polskim Związku Piłki Nożnej i Deutsche Fussball Bund, bo zbiórka [kibiców – przyp. P.S.] swoje, ale ten moment warto wykorzystać, aby tak polski, jak i niemiecki związek piłki nożnej stanęli na wysokości zadania i sygneli groszem na ekshumację i godne upamiętnienie Legendy Karlsruhe, gdzie zmarł w 1997 roku”. Kohut dodał, że Wilimowski to „najlepszy piłkarz w historii Śląska, najpewniej najlepszy napastnik w historii reprezentacji Polski, celowo zapomniany i wygumkowany, bo po 1939 roku grał dla Niemiec”.

Wpis Kohuta dobrze więc przedstawia jego plan działania. Europoseł PO pragnie, aby Wilimowski stał się wspólnym polsko-niemieckim bohaterem, tak by na jego ekshumację złożyły się PZPN i niemiecka DFB. Czy jednak losy Wilimowskiego nadają się do takiej operacji historycznej?

KIM BYŁ WILIMOWSKI

Bohater tego sporu urodził się 23 czerwca 1916 r. w Katowicach jako Ernst Otto Pradella. Nazwisko pochodziło od jego matki Pauline Florentine Pradella (1895–1981), która urodziła chłopca jako panna. Najprawdopodobniej ojciec Ernsta zginął jako żołnierz na froncie wschodnim podczas pierwszej wojny światowej. W 1922 r. ta część Górnego Śląska, w której mieszkała matka z nieślubnym synem, została przyłączona do Polski i tym samym oboje otrzymali polskie obywatelstwo. W 1929 r. Pauline Pradella wyszła za mąż za polskiego urzędnika i byłego powstańca

Bohater ze swastyką na piersi



Piotr Semka

Łukasz Kohut, eurodeputowany Koalicji Obywatelskiej, organizuje akcję na rzecz ocalenia grobu Ernesta Wilimowskiego. Był to jeden z najlepszych futbolowych reprezentantów Polski przed 1939 r. Jest tylko jeden problem. Po pokonaniu Polski przez hitlerowców przeszedł do reprezentacji III Rzeszy. Na Górnym Śląsku trwa wokół postaci Wilimowskiego ostry spór



Ernest Wilimowski FOT. ULLSTEIN/BEGW

śląskiego, Romana Wilimowskiego, który usynowił 13-letniego Ernsta, nadając mu swoje nazwisko.

Młody Ernest ukończył gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Katowicach. Jak piszą autorzy jego biografii – w domu w przeważającej części mówił w gwarze śląskiej, w szkole i publicznie używał języka polskiego, a czasami niemieckiego, lecz tylko ze względu na niemieckie poczucie narodowe matki oraz jej rodziny. Karierę sportową młody Ernest rozpoczął w Klubie

Mniejszości Niemieckiej w Katowicach 1.FC Katowice. W 1933 r. działacze klubu Ruch Hajduki Wielkie (przyszły Ruch Chorzów) zauważyli Wilimowskiego i ściągnęli go do siebie. Tutaj rozpoczęła się jego wielka kariera, która zakończyła się powołaniem piłkarza do reprezentacji Polski. Po wybuchu drugiej wojny światowej i zajęciu Górnego Śląska do Wilimowskiego zwrócili się przedstawiciele Związku Piłkarskiego III Rzeszy. Podpisał niemiecką volkslistę. W 1940 r. wyjechał w głąb III Rzeszy i został piłkarzem policyjnego klubu PSV Chemnitz.

Wokół tej decyzji istnieje bardzo dużo interpretacji. Jedni twierdzą, że musiał przyjąć propozycję klubu z Chemnitz, gdyż dzięki temu formalnie został policjantem i uniknął służby w Wehrmachcie. To ważna okoliczność. Gdyby wybrał służbę w Wehrmachcie, budziłby znacznie mniej kontrowersji. Dzieliłby los dziesiątków innych mieszkańców przedwojennej polskiej części Górnego Śląska i nikt by mu nie robił z tego powodu wyrzutów.

Krążą jeszcze dwie trudne do zweryfikowania opinie. Pierwsza, że zmuszony został do podjęcia kariery w niemieckich klubach groźbą, iż matka w razie jego odmowy trafi do obozu koncentracyjnego. Druga, pochlebna dla Wilimowskiego wersja, którą rozpowszechniają jego obrońcy, głosi, że do wyjazdu do Niemiec namawiał go miał Józef Kałuża, przedwojenny

selekcjoner reprezentacji Polski. W obu wypadkach niezwykle trudno potwierdzić tę wersję. Józef Kałuża mieszkał w trakcie okupacji na terenie Generalnego Gubernatorstwa i zmarł w Krakowie w 1944 r. Z kolei matka po wojnie mieszkała w Niemczech i zmarła w 1981 r.

Jak się wydaje, najprostszym wyjaśnieniem decyzji Wilimowskiego jest to, że był piłkarzem u szczytu swojej kariery i w naturalny sposób oferta niemiecka była dla niego atrakcyjna, a przy okazji chroniła go przed wysłaniem na front. A miejsce w reprezentacji III Rzeszy wiązało się z popularnością, wysokimi honorariami, a także przykładaniem się do propagandowego prestiżu państwa Hitlera. Te wszystkie korzyści skończyły się w 1943 r., gdy zawieszono niemiecką ligę i Wilimowski trafić miał na front wschodni, gdzie został ranny. Nic dziwnego, że po wojnie w świecie polskiej piłki nożnej uznany został za zdrajcę, tym bardziej że wielu jego kolegów z przedwojennej kadry poddano hitlerowskim represjom.

Wilimowski do Polski nie wracał i w latach 1946–1959 grał w kolejnych, coraz słabszych klubach. Zamieszkał w Karlsruhe, gdzie pracował jako urzędnik, ale łączył swoją pracę z aktywnością trenerską w lokalnych klubach niższych klas. W 1995 r. część działaczy Ruchu Chorzów zaprosiła go na uroczystości 75-lecia klubu, ale za protestował przeciwko temu znany dziennikarz sportowy Bohdan Tomaszewski. Jak podaje Wikipedia, publicznie nazwał go zdrajcą i stwierdził, że nie powinien przyjeżdżać do Polski. W rezultacie dawny zawodnik Ruchu zrezygnował z przyjazdu.

I także od połowy lat 90. środowiska ślązackowskie i ruchy autonomistów śląskich prowadzą kampanię na rzecz przywrócenia chwały Wilimowskiego. W 2021 r. w Radzie Miasta Katowic toczyła się dyskusja, czy odsłonić tablicę pamiątkową na jego przedwojennym domu. Ostatecznie magistrat katowicki nie zdecydował się na ten krok. Teraz informacje o możliwości likwidacji grobu piłkarza stały się dobrą okazją dla autonomistów do podjęcia kwestii rehabilitacji Wilimowskiego na nowo.

JAK UNIKNĄĆ SŁOWA „ZDRADA”

Zwraca uwagę to, jak łatwo się manipuluje losami Wilimowskiego. Wspomniany już tweet Łukasza Kohuta broniący jego

czci głosi, że piłkarz został „celowo zapomniany i wygumkowany, bo po 1939 roku grał dla Niemiec”. Słowa Kohuta próbują ubrać protesty przeciwko rehabilitowaniu Wilimowskiego w kostium obsesji antyniemieckiej. Tymczasem nie chodziło o normalny transfer z polskich klubów do niemieckich, tylko o wybór środowiska piłkarskiego hitlerowskiej III Rzeszy tuż po podbiciu Polski przez nazistów. Wilimowski przed wojną w wywiadach podkreślał, że uważa się za polskiego piłkarza. Być może mówił to koniunkturalnie, tak samo jak po wrześniu ’39 koniunkturalnie przeszedł na stronę Niemców. Jego górnoszlasy obrońcy wskazują, że nie był ukształtowany etnicznie ani jako Polak, ani jako Niemiec i był po prostu Górnoszlazakiem. Czy zwalniało go to jednak od lojalności wobec państwa polskiego, które obdarzyło go zaszczytem startu w reprezentacji państwowej?

Tak samo można podejść do prób obrońcy Wilimowskiego jako osoby poddanej presji. I to można próbować zrozumieć. Tyle że wtedy uznać by go wypadało za postać tragiczną. A od tego do wykreowywania go ponownie na bohatera jest jeszcze długa droga.

W ciągu ostatnich trzech dekad obrońcy Wilimowskiego lansują trzy, niekiedy nakładające się na siebie podejścia do losów Wilimowskiego. Po pierwsze – głosi się, że nikt nie ma prawa oceniać wyborów piłkarza, gdyż nikt spoza Górnego Śląska nie wie, jakie były tu realia. Po drugie – uznaje się, że Wilimowski był po prostu dobrym piłkarzem, a wszelkie dywagacje na temat jego decyzji po wrześniu 1939 r. to polityka, której nie należy mieszać do sportu. I wreszcie po trzecie – część kibiców Ruchu Chorzów chce mieć w Wilimowskim piłkarską legendę i wszelkie dywagowanie na temat jego zdrady wywołuje irytację jako atak na niepokalaną chwałę klubu.

Co charakterystyczne, silna pozycja wszystkich tych trzech usprawiedliwień wpływa na ugruntowanie moralnej amnestii dla Wilimowskiego. Ulega tej tendencji nawet część polityków, którzy teoretycznie powinni być wyczuleni na odstępstwo piłkarza. Ślązakowcy z ogromną satysfakcją przyjęli obronę Wilimowskiego, z którą wystąpił Dawid Malcherek, były radny ze Świętochłowic, jednocześnie członek Rady Politycznej Ruchu Narodowego. Malcherek o Wilimowskim pisał tak: „Postać tra-

giczna. Na podstawie jego losów mógłby powstać dobry film lub książka. Historia Wilimowskiego doskonale pokazuje, z czym zmagali się mieszkańcy Górnego Śląska podczas wojny – masowe wpisywania na volkslistę (do której podpisywania pragmatycznie namawiały polski rząd na uchodźctwie i Kościół katolicki) oraz wcielenia do Wehrmachtu. Epizod Wilimowskiego w kadrze III Rzeszy kładzie się cieniem na jego wybitnej karierze piłkarskiej, ale znając realia panujące w tamtym czasie na Górnym Śląsku i z perspektywy dzisiejszego czasu, nie powinno się oceniać tej decyzji”.

Członek Rady Politycznej Ruchu Narodowego, który uchyla się od oceny wyboru lukratywnej kariery w sporcie III Rzeszy? To dobry przykład, jak narracja ślązakowska staje się na tyle powszechna, że nawet narodowcy na Śląsku zaczynają przyjmować jej logikę.

Głównym promotorem akcji zbiórki na rzecz ratowania grobu Wilimowskiego stał się „Dziennik Zachodni”. Jego dziennikarze zwrócili się do Polskiego Związku Piłki Nożnej. Redaktor naczelny „DZ”, Marcin Zasada, napisał: „Prezesowi PZPN wystarczyłby jeden telefon do prezesa DFB. Przenosimy grób, załatwiamy formalności, dzielimy się kosztami, które dla żadnej z obu organizacji nie są znaczącym wydatkiem. Wspólna uroczystość, przypomnienie nie tylko talentów, ale i losów Wilimowskiego, tym bardziej że takich życiorysów Ślązaków było więcej”.

8 kwietnia rzecznik PZPN, Tomasz Kozłowski, odpowiedział na apel Marcina Zasady. „W tym tygodniu do PZPN dotarł oficjalny dokument dotyczący inicjatywy ekshumacji zwłok Ernesta Wilimowskiego. Zdajemy sobie sprawę, że ta inicjatywa wywołuje duże emocje wśród opinii publicznej. Władze federacji podejmą decyzje w tej sprawie po przeprowadzeniu konsultacji, zarówno wewnątrz organizacji, jak i z niezależnymi ekspertami”.

Jaką decyzję podejmie PZPN i z którymi niezależnymi ekspertami będzie się konsultować? Czy ogólnopolski związek da sobie narzucić interpretację ślązakowców czy też zwycięży opinia, że Wilimowskiemu można współczuć wyborów z lat wojny, pamiętając jednocześnie, iż wybrał źle? Sam kunszt piłkarski nie wystarczy, by wpisywać go na listę bohaterów polskiego futbolu.



Z Barbarą Nowak,
laureatką nagrody specjalnej
„Kochać i chronić” tygodnika „Do Rzeczy”
za działalność na rzecz dzieci i młodzieży,
byłą małopolską kurator oświaty
rozmawia Ryszard Gromadzki

Kochać i chronić

RYSZARD GROMADZKI: W trakcie niedawnego Forum Edukacji Niezależnej minister edukacji Barbara Nowacka powiedziała, że polska szkoła „nie potrzebuje rewolucyjnych zmian, ale realnego dialogu”. Praktyka jest zupełnie inna. Realnego dialogu z organizacjami rodziców, przedstawicielami ruchów społecznych czy Kościołem katolickim, np. w sprawie ograniczania wymiaru lekcji religii, nie ma. Jest za to rewolucyjna zaciekleść w budowie radykalnie lewicowego modelu szkoły.

BARBARA NOWAK: Tu nie chodzi tylko o lekcje religii. Pani ministra – akurat do niej ten tytuł świetnie pasuje – Nowacka konsekwentnie realizuje precyzyjny plan lewackiej rewolucji. Uprawia klasyczną goebbelsowską propagandę. Głosi populistyczne hasła, z którymi na pierwszy rzut oka trudno się nie zgodzić. Z perfidią nierzadko czarownica z pięknym, ale zatrutym jabłkiem w bajce o Królewnie Śnieżce kłamie, że za tymi hasłami nie kryją się żadne ideologie ani działania, które miałyby mieć katastrofalne skutki dla dzieci i młodzieży.

Modelowa jest tu sprawa tzw. edukacji zdrowotnej młodzieży. Bo jeśli postawić pytanie, czy jest ona potrzebna, to trudno odpowiedzieć przecząco. Później przychodzą szok, płacz i zgrzytanie zębami, kiedy okazuje się, że całe zło, przed którym ostrzegaliśmy, właśnie się realizuje. Podczas licznych spotkań z rodzicami, które odbywam w całej Polsce, odbieram coraz więcej sygnałów o spustoszeniach wychowawczych, które dokonują się w naszych szkołach. Jedna z mam opowiadała mi o pretensjach ze strony nastoletniego syna, który miał do rodziców żal, że nadali mu męskie imię, kiedy on jeszcze nie wie, kim jest. Inna, pochodząca z dużego miasta matka mówiła o swojej 10-letniej córce, która po przyjeździe ze szkoły oświadczyła jej, że jest lesbijką. Dziewczynka opowiedziała, że chodzi, trzymając się za rękę ze swoją koleżanką. Nauczycielka wytłumaczyła jej, że skoro tak lubi koleżankę, to musi być lesbijką.

To szaleństwo...

Dla mnie to niewyobrażalne. Przecież najważniejszym powołaniem nauczyciela jest nie szkodzić dzieciom.

To wszystko się już dzieje, choć formalnie przedmiot o nazwie edukacja zdrowotna nie obowiązuje.

Ale model został przećwiczony w szkołach w formie pilotażu w Warszawie, co było bezpośrednim efektem deklaracji LGBT+ podpisanej w 2019 r. przez prezydenta stolicy Trzaskowskiego. On to firmował, wprowadzał do szkół, w oparciu o tzw. latarników. Teraz zastąpili ich „oficerowie równości”.

Brzmi prawie jak oficerowie prowadzący.

Ta zbieżność nie jest przypadkowa. Oni mają te same zadania. Ich celem jest sianie zamętu, doprowadzenie do sytuacji, w której część społeczeństwa nie będzie zdolna do działania, do podjęcia decyzji w istotnych sprawach.



FOT. MARCIN KAPRON

obowiązków. Nie muszą przy tym kierować się żadną wiedzą, bo tej nie będą zresztą otrzymywać, a swoje zdanie mogą wyrażać, kierując się swoimi odczuciami, emocjami czy wyobrażeniami bez świadomości konsekwencji. Nie powinni ich krępować wiedza i doświadczenie przekazywane przez starsze pokolenie czy podręczniki. Pokazuje się młodym ludziom domek z pierników, mówiąc, że teraz idzie nowe. Będzie ono takie, jak sobie wymyślicie. Jeśli ktoś mówi ci, że nie masz do tego prawa, to reakcją jest ordynarne słowo, wpisane w tę logikę „Emanacji siebie”. Poprzez ten ordynarny język pani Nowacka nadaje etykietę nieskrępowanej kreacji. Bardzo pożądaną i nobilitującą cechy. Idąc do źródeł niczym Marks i Engels, Nowacka pisze nowy „Manifest komunistyczny” dla nowej klasy ludzi, którzy nawet nie muszą się buntować, bo to ona dyktuje im reguły rebelii.

Wartości cywilizacyjne wypracowane przez wieki przez chrześcijańską cywilizację według pani Nowackiej są złe, jako źródło opresji, spod której trzeba się uwolnić. Triumfalnie ogłasza się koniec z wytyczaniem granic, z ograniczeniami, z hamowaniem popędów. No i liczeniem się z drugim człowiekiem, czyli całkowicie sprzecznie z nauką chrześcijańską. Stąd taka nienawiść do religii, wiary ze strony lewactwa i rugowanie wszystkiego, co według lewackiej rewolucji ma chrześcijańskie korzenie? Będą niszczyć jak Stalin wszystko, co stoi na przeszkodzie.

To prosta droga do społecznej katastrofy.

Oczywiście. Oni mówią: Rodzice cię ograniczają? To znaczy, że są przemocowi. I podaje się dzieciom numer telefonu, w ramach tzw. standardów bezpieczeństwa, które obecnie obowiązują w każdej organizacji czy instytucji, gdzie mamy do czynienia z nieletnimi. Ten numer telefonu należy do lewackiej organizacji i tam jest już prosta droga do mieszania młodym ludziom w głowy różnymi ideologicznymi bzdurami.

Przypomina to niesławna postać Pawki Morozowa, bohatera sowieckiej pedagogiki, który zadenuncjował swoich rodziców.

Organizacja, której numer jest podany w standardach bezpieczeństwa, może

dużo więcej niż Pawka Morozow. Pomoże dziecku nawet zmienić płeć. Dzieci usłyszą tam, że nikt, nawet rodzice, nie ma prawa ograniczać ich wolności. Oczywiście wolności rozumianej po lewacku, bo w rzeczywistości chodzi o ukształtowanie w młodych ludziach ogromnego egoizmu. Lekcje religii, etyki czy systemy moralne przeszkadzają w uczeniu dzieci, że nie powinny budzić swojego sumienia. Nie mają się zastanawiać, po co żyją. Ich dewizą ma być Owsiakowy slogan: „Róbta, co chceta”.

Skutki tego rodzaju pedagogiki są przewidywalne. Doczekamy się pokaleczonego społeczeństwa, które nie będzie w stanie zbudować żadnej prawdziwej wspólnoty.

Porażające jest to, że pomimo tego, iż świetnie wiemy, jak wygląda choćby sytuacja na Zachodzie, jakie są skutki permissywnej edukacji seksualnej, powtarzamy ich błędy. Kiedy zestawia się dane z Polski i krajów zachodnich, widać wyraźnie, że liczba chorób wenerycznych wśród młodzieży jest u nas zdecydowanie niższa, inicjacja seksualna jest w Polsce późniejsza niż w państwach Zachodu, a w związku z tym odsetek tzw. niechcianych ciąży jest u nas wyraźnie mniejszy. Te dane dodatkowo są zafałszowywane. Celowo zaniża się liczbę ciąży nieletnich na Zachodzie, nie wliczając tych aborowanych. W tym kontekście uderza perfidia, z którą zła wróżka ministra Nowacka siłowo wprowadza swoje szkodliwe pomysły do polskich szkół.

Gdzie są rodzice? Czy można mówić o jakimś zorganizowanym oporze wobec polityki realizowanej przez resort edukacji? Przecież rady rodziców mają prerogatywy, które pozwalają im się przeciwstawić destrukcyjnym tendencjom.

Mają wręcz obowiązek, żeby to robić, ale różnie z tym bywa. Jestem praktykiem, wiem, jak wygląda szkoła od środka. Wiem też, jak funkcjonuje dzisiejsze społeczeństwo, jak bardzo zabiegani są rodzice, jak ciężko pracują, co przekłada się na jakość kontaktów z dziećmi. Szkoły też nie zawsze przekazują informacje, które są dla nich istotne. Dodajmy do tego element manipulacji. Ideolodzy przenikają do naszych szkół od dawna, rodzice nie mają wiedzy, jak są oszukiwani. W swoim czasie jedna ze stacji telewizyjnych pokazała reportaż,

Myślę, że chodzi też o wprowadzenie jak najgłębszego rozdziewku między rodzicami a ich dziećmi. To klasyczny instrument rewolucji kulturowej.

Niewielu Polaków ma świadomość, jak dużo działań zostało już zrealizowanych, a wiele innych jest zaplanowanych w ramach edukacji i wychowania młodych ludzi, oczywiście pod płaszczykiem dobra. Nieprzypadkowo w bajkach występują podstępne postaci, które zwodzą, np. Baba-Jaga i jej piernikowe słodkości dla Jasia i Małgosi. Wychowawcze bajki mają to do siebie, że kończą się szczęśliwie. W realnym życiu często jest inaczej. Ministra Nowacka przybiera postać dobrej wróżki, która przychodzi do młodych Polaków i mydli im oczy atrakcyjnie brzmiącymi dla młodych hasłami i propozycjami.

Że nie muszą odrabiać zadań domowych...

Dokładnie nic nie muszą, bo przede wszystkim przysługują im prawa bez

■ w którym dwie dziennikarki, podając się za edukatorki wolontariuszki, dotarły do jednej z organizacji, która zajmowała się propagowaniem permissywnej edukacji seksualnej w szkołach. Usłyszały tam od instruktorek, żeby mówiły dzieciom, aby nie opowiadały o tym, co usłyszały podczas spotkania z nimi rodzicom, bo ci są zacofani i tego nie rozumieją. Wracając do pana pytania, to, że przedmiot fałszywie nazywany „edukacja zdrowotna” nie wchodzi do szkół jako obowiązkowy, świadczy jednak o skuteczności oporu ze strony rodziców. Za tymi działaniami stał cały sztab specjalistów, lekarzy, seksuologów, psychologów. Ale najważniejsze było to społeczne poruszenie, które trwa do dziś. Uczestnicząc w spotkaniach z rodzicami w całym kraju, gromadząc one bardzo wiele osób szczerze zainteresowanych o przyszłość swoich dzieci. O tym trzeba cały czas mówić. W tej chwili już ponad 80 stowarzyszeń tworzy Koalicję na rzecz Obrony Polskiej Szkoły, która realnie działa. Forsowaniu przez resort edukacji pseudoedukacji zdrowotnej w szkołach towarzyszył – jak mówiłam – sprzeciw zarówno ze strony samych rodziców, jak i specjalistów różnych dziedzin. Ministerstwo ma obowiązek w ciągu 60 dni ogłosić raport z tych społecznych konsultacji. Co wymowne, taki raport dotychczas w tej sprawie nie powstał. Próżno szukać go na stronach resortu edukacji. Dodam, że w nagłówkach oficjalnych pism i druków resortu nie używa się już nazwy Ministerstwo Edukacji Narodowej, lecz tylko Ministerstwo Edukacji. Spontaniczny ruch społeczny, który powstał przeciw niszczeniu polskiej szkoły, jest bezprecedensowy. Jestem przekonana, że to najsilniejszy oddolny ruch społeczny w Polsce od czasów Solidarności.

Nie sądzi pani, że temat związany z zamachem na tożsamość polskiej szkoły za słabo wybrzmie w kampanii prezydenckiej?

Oczywiście, że tak. Moim zdaniem sprawa, o której rozmawiamy, ma kluczowe znaczenie. Walka o Polskę przecacza się również przez polską szkołę. Tak jak wychowamy młode pokolenie, taką będziemy mieć Polskę. Proszę zwrócić uwagę, że pani Nowacka i formacja, którą ona reprezentuje, realizuje tzw. marsz przez instytucje, o którym

mówił komunistyczny ideolog Gramsci. Obowiązkiem polityków, którzy chcą rządzić Polską, jest zobowiązanie wobec rodziców, którzy powinni od nich usłyszeć, że będą bronić i dbać o ich największe skarby. To, co robi Koalicja na rzecz Obrony Polskiej Szkoły, powinno być wzmocnione przekazem kandydata na prezydenta, pana Nawrockiego. Dla mnie to rzecz oczywista.

Skoro resort edukacji niszczy polską szkołę, zatruwając ją ideologią, to może trzeba się go pozbyć. W USA prezydent Trump zlikwidował opanowany przez radykalną lewicę Departament Edukacji i świat się nie zawalił. Wiem, że Polska to nie Ameryka, ale stawką jest przyszłość polskich dzieci.

Dziś wszystkie oczy skierowane są na Stany Zjednoczone. To dobrze, bo dzięki zmianom politycznym i społecznym, które tam zachodzą, my w Polsce, a także wielu ludzi w Europie, możemy mieć nadzieję na powrót normalności. Ale porównywanie wprost USA do Polski jest według mnie błędne. Amerykanie nie przeżyli komunizmu, od pokoleń żyją w innym systemie. Coś, co tam świetnie się sprawdzi, u nas już niekoniecznie. Jestem państwowcem, uważam, że zadaniem aparatu państwa jest kształtowanie najmłodszej części społeczeństwa, czyli przekazywanie odpowiednio dobranych treści edukacyjnych i wychowawczych. Takich, które budzą dumę w młodych Polakach, obligują i motywują do podejmowania pracy i obowiązków wobec społeczeństwa, narodu i państwa. Uważam, że przez osiem lat rządów PiS ta misja była realizowana. Dziś koalicja pod rządami Tuska, która Polskę pogardza, powoduje, że ministerstwo już tylko edukacji staje czynnikiem rujnującym szkołę z jej cywilizacyjnym paradygmatem przekazywania wiedzy i wychowania w wartościach prawdy, dobra i piękna. Ratunkiem staje się dziś nauczanie domowe, coraz bardziej popularne w Polsce. Ale takimi oddolnymi inicjatywami nie da się zastąpić systemu szkolnego. Dlatego uważam, że nie możemy zrezygnować z ministerstwa edukacji jednak narodowej. Jeśli myślimy poważnie, że Polska ma trwać, że mamy wychowywać Polaków do ciągłości naszego państwa, do jego niepodległości i dobrobytu, to

takie zadanie powinno funkcjonować jako zadanie państwowe.

Dlaczego minister Nowackiej tak bardzo przeszkadza religia w szkołach?

Mówiąc lapidarnie, bo to konieczny krok do zniszczenia społeczeństwa.

Drzewo trzeba wyciąć z korzeniami...

Dokładnie tak. Religia to nie tylko nauczanie o Bogu, lecz także przekazywanie zasad miłości chrześcijańskiej, szacunku dla życia, kształtowanie człowieka jako istoty bogatej duchowo. Religia uczy o istocie sensu życia. To wszystko mocno przeszkadza ludziom, którzy dziś trzymają stery polskiej szkoły. Podstawą religii chrześcijańskiej jest Dekalog, na którym oparte są prawo i etyka. Dla lewicy priorytetami są aborcja, eutanazja, kult seksualności i egoizmu. Tych dwóch żywiołów nie da się pogodzić, dlatego według nich dla religii w szkole nie powinno być miejsca. Tymczasem upublicznione ostatnio dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dają zupełnie inny obraz, jeśli chodzi o nauczanie religii w Polsce, od zafałszowanych stereotypów rozpowszechnianych w mediach. Doszło do tego, że tym stereotypom ulegają nawet ludzie prawicy. Z danych, na które się powołałam, wynika natomiast, że na lekcje religii uczęszcza w Polsce średnio ponad 78 proc. dzieci. W diecezji przemyskiej na religię nie chodzi zaledwie 4 proc. dzieci. Nawet w jednej z diecezji warszawskich, gdzie frekwencja na lekcjach religii jest najmniejsza w Polsce, to wciąż 58,3 proc. Jestem przekonana, że pani Nowacka zna te dane, dlatego z taką zaciekleścią walczy z religią w szkole.

Czy w polskiej szkole szarpanej przez kulturową rewolucję jest jeszcze miejsce na maksymę „kochać i chronić”, od której nazwę wzięła nagroda przyznawana przez nasz tygodnik?

Bardzo przeżyłam to zaszczytne wyróżnienie z państwa strony. Gratuluję redakcji „Do Rzeczy” wspaniałej inicjatywy. Dzięki niej pierwszy raz zostali docenieni ludzie, którzy naprawdę dbają o dobro dzieci. Oby tak było, że hasło „kochać i chronić” przyjmie się w całej Polsce, tak żebyśmy potrafili dobrze chronić tych, których kochamy. Nasze skarby – polskie dzieci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Czas na nagrody za walkę z PiS



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Krytykowali rządy PiS, bojkotowali media publiczne lub byli z nich zwalniani. Dziś wracają do TVP w blasku i chwale

Barbara Kurdej-Szatan nie będzie już więcej premierowo występować w TVP – poinformowała w listopadzie 2021 r. ówczesny prezes stacji. „Obrona polskiej granicy pokazuje, jak cenna jest praca polskich służb i wojska. W Telewizji Polskiej nie może być miejsca dla osób, które szkalując i wyzywając obrońców naszych granic, same postawiły się poza wspólnotą aksjologiczną Polaków” – dodał Jacek Kurski. Była to reakcja na wpisy aktorki dotyczące sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. „Maszyny ślepo wykonujące rozkazy [...], mordercy” – tak Barbara Kurdej-Szatan określiła funkcjonariuszy Straży Granicznej. W innym grzmiała emocjonalnie: „K...a!!! Co tam się dzieje!!!”.

Aktorka tłumaczyła się później, wskazując, że jako matka dwojga małych dzieci „nie jest w stanie patrzeć na cierpienie, dzieci w szczególności”. „Nie akceptuję takiego świata i nie zaakceptuję nigdy. Moje emocje, gdy oglądałam to nagranie, nie zmieniają się... ale przepraszam za nie stosowny język i przekleństwa” – przekazała. W maju 2022 r. celebrytka usłyszała prokuratorski zarzut zniesławienia Straży Granicznej i jej funkcjonariuszy. Niecały rok później Sąd Okręgowy w Warszawie umorzył sprawę, ale ówczesny

minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro zastosował tzw. skargę nadzwyczajną, aby na nowo rozpocząć proces sądowy. W marcu tego roku Kurdej-Szatan poinformowała, że zakończyła batalię sądową – ponowne umorzenie.

Tak jak za poprzedniej władzy utraciła posadę w TVP, a organy państwa chciały pociągnąć aktorkę do odpowiedzialności, tak po wygranych wyborach parlamentarnych przez koalicję Donalda Tuska zła passa się odwróciła. Od września 2024 r. Barbara Kurdej-Szatan prowadzi nowy program TVP „Cudowne lata”, w marcu ruszyła druga edycja. Celebrytka pojawiła się też w jednym z odcinków satyryczno-publicystycznego programu „Kwiatki polskie” w TVP Info. Zmierzyła się w „pojedynku” na recytację tekstu, wcielając się w rolę „czarnego łabędzia”. Nagle na ekranie pojawili się nieżyjący już prof. Jan Szyszko, minister środowiska w rządzie PiS, i jego wypowiedź dotycząca ptasiej grypy. Kurdej-Szatan i Anna Powierza walczyły o to, która lepiej – a de facto bardziej prześmiewczo – wyrecytuje wypowiedź prof. Szyszki.

O swoim powrocie do TVP gwiazda mówiła tak: – Czułam się w sumie rozbawiona tą sytuacją. Mimo że jest to miejsce, w którym przez parę lat byłam regularnie obrażana, to teraz już się nie mówię o mnie anty-Polka itd. w głównych wiadomościach i w serwisach informacyjnych. Więc jakoś tak znalazłam w sobie siłę i weszłam i było OK. – I dodała: – Jak się przeżyje jakieś takie sytuacje i taki ogrom nienawiści, to coś tam zostaje w tobie na całe życie pewnie, ale idziemy dalej, idziemy do przodu. Jesteśmy tutaj teraz, jest dobrze, są nowe emocje, nowe wyzwania i tyle. Przyznała,

że ponowna możliwość pracy w stacji to jak spotkanie z dawno niewidzianym przyjacielem. – Trochę to porównuję do takich relacji przyjacielskich. Jak się nie widzisz z kimś długo, kto jest twoim przyjacielem, i nagle się z nim spotykasz, to czujesz, jakby ten czas nie minął. I trochę tak miałam z prowadzeniem – oceniła.

SWOI NA SWOIM

Jednak nie tylko Barbara Kurdej-Szatan wróciła do TVP jak „do siebie”. Polityczna zmiana w Polsce „zrehabilitowała” Jerzego Owsiaka, który dla wielu stał się politycznym celebrytą. W tym roku na wizję wrócił finał WOŚP, relacjonowany niezwykle obszernie. Prezenterzy dumnie pokazywali charakterystyczne czerwone serca przyklejone do marynarek. Widzowie telewizji publicznej mogli na żywo śledzić aktualizację zbiorów i oglądać relację ze sztabu. Dodatkowo TVP wsparła WOŚP, wystawiając na licytację dzień na planie „Teleexpressu”, zwiędzanie studia TVP Info i „19.30” oraz podwójny „Złoty Bilet” na 62. Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu. – Jestem szczęśliwy i dumny, że jako Telewizja Polska znowu wspieramy największą orkiestrę świata, ponownie pomagając najbardziej potrzebującym i jednocząc się z milionami dobrych ludzi w kraju i za granicą. Nasza działalność wpływa prosto z serca i wznosi się ponad wszelkie podziały – podkreślał Tomasz Sygut, dyrektor generalny TVP.

Jerzy Owsiak w marcu udzielił stacji obszernego wywiadu. – Dobry wieczór, Jurku. 289 mln zł – tyle zebrano na Orkiestrę w tym roku, kolejny rekord. Dobro zwyciężyło z nienawiścią? – Takim pytaniem rozpoczęła rozmowę Justyna ■

■ Dobrosz-Oracz. – Dobro zwycięża od 33 lat. Dziewięć lat minęło, od kiedy przekroczyłem próg Telewizji Polskiej, jestem tutaj. Bardzo mile mnie przywitał pan na bramie, przybiliśmy piątkę. Witam też ludzi, których widziałem kiedyś. Bardzo się cieszę, że z tego miejsca mogę powiedzieć, że to się tutaj zaczęło – odparł. – Musiało to być bardzo dla ciebie trudne. Wiemy, jaka tu odbywała się nagonka na ciebie za czasów telewizji Kurskiego, musiałeś się jakoś przełamać – kontynuowała prowadząca. – Naprawdę staram się każdego dnia o tym zapominać, by nie wracać. Tak się to odbyło. My często mówimy, że nie będziemy kopać się z koniem, robimy swoje. To jest takie ważne hasło do wszystkich Polaków, żeby iść do przodu, żeby się nie cofać [...]. Jeżeli o to pytasz, to pewnie, że to boli, że było szkoda, że 25-lecia WOŚP nie mogliśmy tutaj obchodzić. Że to się stało tak nijak – ktoś położył list na recepcji, że nie gramy już razem, a przez 24 lata był to związek niezwykle serdeczny i miły – powiedział Jerzy Owsiak. Dodał, że „nie ma miejsca na gest Kozakiewicza”.

Ekscytacja z powodu powrotu do TVP skłoniła też szefa WOŚP do nadzwyczajnej szczerości – Owsiak przyznał to, o czym od początku mówili politycy PiS, że zaangażował się w kampanię przed wyborami parlamentarnymi w roku 2023. Chodziło o słynne plakaty z napisem „Polacy! Pokonajmy to zło! Wygramy z sepsą”. Przy czym słowa „z sepsą” były dodane malutkim druczkiem na dole. Bannery pojawiły się na ulicach polskich miast mniej więcej dwa tygodnie przed głosowaniem. Jerzy Owsiak brał udział w zwołanym przez Donalda Tuska marszu miliona serc i przemawiał podczas niego, również tuż przed wyborami.

NIECHĘĆ DO POLSKOŚCI

„Wielki symbol odzyskania TVP przez PO i michnikowszczyznę: Krystyna Janda w Teatrze Telewizji obrzyga Polaków jako antysemitów. A za rządów PiS pokazywali tam sztuki o Pileckim, »mordzie założycielskim« PPR, »aferze mięsnej« i Mikołajczyk» – tak skomentował na platformie X publicysta „Do Rzeczy” Rafał A. Ziemkiewicz powrót na łono stacji znanej z politycznego zaangażowania reżyser i aktorki. W maju 2024 r. Janda wystąpiła w monodramie reżyserowanym

Po tym, jak Barbara Kurdej-Szatan nazwała funkcjonariuszy Straży Granicznej mordercami, prezes TVP Jacek Kurski poinformował, że nie będzie pojawiać się premierowo na antenie telewizji publicznej. Po zmianie władzy wróciła do TVP FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Krystyna Janda zasłynęła z wyjątkowo emocjonalnego stosunku do rządów Zjednoczonej Prawicy

przez Magdę Umer „Zapiski z wygnania”. „Sztuka powstała na podstawie niezwykle osobistych wspomnień Sabiny Baral, które ukazały się w postaci książki pod tym samym tytułem. Autorka jako 20-letnia wrocławianka w 1968 r. musiała wyemigrować razem z rodzicami z Polski po niesławnej kampanii marcowej. Przypomnienie tych dramatycznych wydarzeń staje się równocześnie przestrogą dla kolejnych pokoleń przed wszelkimi rodzajami nienawiści, ksenofobią i antysemityzmem. Historia Sabiny Baral to uniwersalna opowieść o każdym wygnanym Żydzie, a dzięki znakomitej kreacji Krystyny Jandy staje się ona również historią każdego wygnanego człowieka” – czytamy w opisie spektaklu.

Skoro to powrót „gwiazdy wyklętej” do TVP, to nie mogło zabraknąć odniesień do bieżących wydarzeń. „To, co zrobiła Krystyna Janda, budzi w Polakach płacz i wstyd [...]. Przypomina o sprawdzianie z człowieczeństwa, oblewany przez pokolenia” – zachwycał się recenzent z portalu Onet. „Świetnie zainscenizowane przedstawienie (dobry pomysł z umieszczeniem Jandy za delikatną zasłoną, jako symbol pozostawania między różnymi czasami) sięga po to, co społecznie drażliwe i ciągle aktualne. Janda i Umer wykorzystują fragmenty nagrań z pochodów ONR-u, kończąc spektakl obrazem demolowanej Warszawy. Jeśli wysłać dziś szkoły na obowiązkowe spektakle, to na takie. By dowiedziały się, że niszczone 11 listopada stolica, kukła Żyda palona na wrocławskim Rynku i osoby uchodźcze porównywane z roznoszącymi zarazę szkodnikami to tworzące się tu i teraz zapiski wygnańców” – wskazał Dawid Dudko.

Krystyna Janda zasłynęła z wyjątkowo emocjonalnego stosunku do rządów Zjednoczonej Prawicy. – Ja się czuję, jakby ktoś



mnie opluł w tej chwili. Ja nic nie ukradłam, ja kocham ten kraj, pracuję w nim od urodzenia. Zawsze się przyjaźnię ze światem, jestem nie tylko polską aktorką, ale gram i za granicą. Czuję się, jakby ktoś na mnie s...ł cały czas! – to wypowiedź z 2017 r., w której aktorka odniosła się do wystąpienia Jarosława Kaczyńskiego podczas miesięcznicy smoleńskiej.

Motywowana politycznie niechęć Jandy do polskości pogłębiała się wraz z upływem czasu. W maju 2019 r. stwierdziła, że ma „poczucie żalu, straconej szansy, zmarnowanej pracy, zawiedzionych nadziei”. – Myślałam, że wszystko dalej będzie się rozwijało w fantastyczny, otwarty kraj inteligentnych ludzi, nowoczesnie i odważnie myślącą młodzież. A mamy państwo, które staje się anachroniczne i absurdałne, nagrażda ludzi za to, że się nie uczą, nie pracują, nie rozwijają się – wskazała.

Reżyser miała pretensje do współobywateli, którzy wybrali prawicowy rząd. – Jestem zawiedziona. Cóż można zrobić? Jeżeli tak wielu ludzi w tym kraju w ogóle nie interesuje, co będzie dalej,

co z przyszłością starych ludzi i dzieci? Czuję się tak, jak wielu mnie podobnych – upokorzona i upokarzana każdego dnia – wyznała gorzko.

TECZA POWRACA

Do TVP po przejęciu władzy przez koalicję wróciła cała grupa wokalistów i aktorów. W 2017 r. władze TVP nie zezwoliły na występ Kayah podczas jubileuszu Maryli Rodowicz na festiwalu w Opolu, co wywołało falę bojkotu ze strony innych gwiazd. W 2024 r. Kayah wróciła do TVP. Była pierwszą gwiazdą show „Muzyka na

Andrzej Piaseczny przestał pojawiać się w programach TVP po tym, jak do sieci wyciekło nagranie z urodzin wokalisty. Piaseczny krzychał na nim: „J...ć biedę, j...ć PiS i Konfederację, i wszystkich, k...a”

dobry wieczór”. – Po ośmiu latach wasza Supermenka is back! Tęskniłam za wami – tak powitała widzów.

Wielki comeback zaliczył też wokalista Michał Szpak, w przeszłości juror w muzycznym show „The Voice of Poland”. – Pod koniec mojej obecności w programie wycięto mnie z ramówki, bo na nagraniu miałem w marynarce przypinkę z tęczą. Później doświadczyłem czegoś w rodzaju mobbingu, kiedy ludzie z TVP przed nagrywaniem podchodzili do mnie i sprawdzali, czy na marynarce, podeszwie czy gdziekolwiek indziej nie mam żadnego rodzaju symboliki LGBT+. W końcu stwierdziłem, że to wszystko poszło za daleko i że nie ma sensu tego dalej ciągnąć – opowiadał. – Mentalnie mi tego bardzo brakuje. Ale sytuacja w tamtym okresie była bardzo niewygodna i zupełnie przeciwna moim przekonaniom. Musiałem się wycofać z tego formatu. Nie mogłbym uczestniczyć w czymś, co przestało być w jakiś sposób programem rozrywkowym, a stało się batalią polityczną – dodał piosenkarz. Tymczasem latem ubiegłego roku na Instagramowym profilu „The Voice of Poland” poinformowano, że w fotelu jurorskim w 15. edycji talent show obok Lanberry, Barona, Tomsona oraz Kuby Badacha (prywatnie żonę Aleksandra Kwaśniewskiego) zasiądzie również Michał Szpak.

Ze stacji zniknął też Andrzej Piaseczny. Przestał pojawiać się w programach TVP po tym, jak do sieci wyciekło nagranie z urodzin wokalisty. Piaseczny krzychał na nim: „J...ć biedę, j...ć PiS i Konfederację, i wszystkich, k...a”. „Piasek” pożalił się „Gazecie Wyborczej”. „Występowałem tylko w programie muzycznym. I płaciła mi nie partia, ale podatnicy. Jednocześnie przez ostatnie lata nie chowałem się po kątach, otwarcie krytykowałem rząd [...]”. Dodam tylko, że w ciągu mojej 30-letniej kariery TVP miała kilkunastu prezesów z najróżniejszych opcji, a ja zawsze jakoś się w niej mieściłem” – opowiadał rozgoryczony. „Podobno do telewizji zadzwonił sam »towarzysz Winnicki«, jak żartobliwie nazywamy ze znajomymi prezesa Kaczyńskiego – rzecz wzięta z kultowego serialu »Alternatywy 4«, pasuje idealnie – powiedział, żeby mnie zdjęli ze wszystkich anten TVP” – opowiadał. Po zmianie władzy Andrzej Piaseczny wrócił do telewizji, gdzie pojawił się w programie „Jaka to melodia”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Łosie, dziki, sarny czy lisy – zwierzęta, które możemy spotkać podczas spaceru w lesie, coraz częściej składają rewizytę na bydgoskich osiedlach”. „Dziki biegały po miejskiej plaży. »Zrobiło się niebezpiecznie«”. „Walczył z wilkiem przed domem. Użył sposobu, aby uratować życie”. „Niedźwiedź w ogrodzie. »Jesteśmy uwięzieni. Boimy się«”. „Hajnówka. Takie rzeczy tylko na Podlasiu. Do spacerującego po mieście żubra podjechał radiowóz”.

Do takich nagłówków w lokalnych i ogólnopolskich mediach zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Podobnie jak mieszkańcy niektórych miast i mniejszych miejscowości przywykli już do obecności pewnych gatunków dzikich zwierząt. Gorzej, że zwierzęta także przyzwyczajają się do człowieka i robią się coraz śmielsze. Także drapieżniki. – Liczebność zwierząt wzrasta ponad miarę. W związku z tym przybywa ich również w tych miejscach, w których wcześniej ich nie było, np. na naszych osiedlach – mówi prof. dr hab. Dariusz J. Gwiazdowicz z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu. – Niektóre wzbudzają naszą sympatię, podobają się nam, ale pamiętajmy, że dzikie zwierzęta to zawsze dzikie zwierzęta. Mogą być niebezpieczne dla naszego zdrowia i życia.

DZIKIE PLAŻE

Łatwo o tym zapomnieć, gdy zwierzęta aklimatyzują się w mieście i zaczynają sprawiać wrażenie oswojonych. Widać to na przykładzie dzika, którego obecność w miastach postrzegana jest jako coraz poważniejszy problem. Badania nad zachowaniem tego zwierzęcia pokazują, że dążenie do zdobywania pokarmu jest u niego silniejsze niż unikanie zagrożenia. Dlatego potrafi być zdeterminowane i skłonne do podejmowania ryzyka. Proces habituacji w kontaktach z cywilizacją postępuje szybko. Dzikie przestają się bać kontaktu z ludźmi, miejskiego zgiełku, hałasu, ruchu drogowego.

Niektóre osobniki nie tylko przestają unikać ludzi, lecz także dążą do kontaktu z człowiekiem. Takie sytuacje nie są rzadkością np. w Gdyni. Na jednym z popularnych w Internecie nagrań z tego miasta widać dziki spokojnie spacerujące po chodniku w pobliżu dość ruchliwej ulicy. Zwierzęta podchodzą do ludzi,

Niedźwiedź zagląda do okna domu w Cisnej

FOT. NADLEŚNICTWO CISNA LASY PAŃSTWOWE

Dzicy goście



Radosław Wojtas

Łatwiej dziś spotkać dzika w centrach niektórych miast niż w lesie. Sarny, jelenie, łosie i żubry to także coraz częstszy widok nie tylko na leśnych polanach. Liczebność niektórych gatunków zwierząt jest w Polsce rekordowa, a sytuacje konfliktowe z człowiekiem coraz częstsze. Także z niebezpiecznymi drapieżnikami – niedźwiedziami i wilkami

przeganiają ich z ławeczek, próbują delikatnie podgryzać. Na innym filmie dzik podchodzi do pary siedzącej na ławeczce, wspina się na dwóch kończynach i zaczyna ryc w torbie. Na kolejnym nagraniu wataha dzików przebiega przez plażę pełną wypoczywających ludzi.

– Ataki dzika na człowieka nie są zbyt częste, ale jeśli ludzie je dokarmiają, to one szybko się do tego przyzwyczajają. I potem potrafią się dopominać o jedzenie. A zatem mogą zaatakować człowieka po to, by ten je nakarmił, bo takiego zachowania je nauczyliśmy. Szable, czyli wystające dolne kły dzika, są mniej więcej na wysokości tętnicy udowej dorosłego człowieka. Gdyby dzik uderzył tak niefortunnie, że przecięłby tę tętnicę, to człowiek wykrwawiłby się w ciągu kilku minut – mówi prof. Gwiazdowicz.

Do podobnego wypadku w Gdyni już doszło. Dzik zaatakował kobietę wracającą z pracy i rozciął jej tętnicę udową. Pięćdziesięcioletnia straciła dużo krwi, ale zdołała wejść do sklepu, gdzie udzielono jej pierwszej pomocy i wezwano karetę. Długo przebywała na intensywnej terapii. Na szczęście udało się ją uratować. Znacznie powszechniejszym problemem są szkody dokonywane przez te zwierzęta, m.in. niszczone śmietniki, pobuchowane trawniki itd. – Dzikie mogą też być rezerwuarem różnych chorób, nie tylko ASF – zaznacza prof. Gwiazdowicz.

Samorządy próbują sobie radzić z obecnością dzików w różny sposób. Jeśli chodzi o odstrzał, to ze względu na obowiązujące przepisy zwierzęta te są bezpieczniejsze w miastach niż w lasach. Odławianie i wypuszczanie dzików z dala od aglomeracji komplikują ograniczenia prawne związane z afrykańskim pomorem świń. Dodatkowo każde zdecydowane działanie samorządowców wiąże się z ryzykiem protestów ekologicznych aktywistów. Tak było w Gdyni, gdzie w ubiegłym roku protestowano przeciwko decyzji powiatowego lekarza weterynarii o odłowieniu z terenu miasta i uśpieniu 80 dzików. Było to już po opisywanym wyżej groźnym ataku dzika na 55-letnią kobietę i po wykryciu ASF u martwych warchlaków znalezionych na gdyńskich Karwinach.

Rocznik statystyczny leśnictwa z 2024 r. szacuje populację dzików w Polsce na 55,8 tys. osobników. To dużo

mniej w porównaniu z latami sprzed zmniejszenia populacji z powodu ASF (np. w 2015 r. w Polsce żyło 264,8 tys. dzików), ale sporo, bo o prawie 3 tys. osobników więcej niż w roku 2023.

– W Polsce mamy prawie 2 mln ha upraw kukurydzy. Pola kukurydzy to najlepsza baza żerowa dla dzików. Mają tam bardzo dobrą osłonę, czują się bezpiecznie, kukurydza jest wysokobiałkowym pożywieniem. Do tego nie ma srogich zim, mrozów, nie ma zatem śmiertelności naturalnej – wylicza prof. Dariusz J. Gwiazdowicz.

Przybywa nie tylko dzików. – Jeśli weźmiemy pod uwagę duże ssaki, takie jak łos, jeleni, daniel czy sarna, to mamy rekordowe liczebności. Nigdy w historii nie było tych zwierząt tyle co teraz. Skoro jest ich coraz więcej w lesie, to siłą rzeczy będzie ich coraz więcej wszędzie, także w miastach – mówi prof. Gwiazdowicz.

Zaglądamy raz jeszcze do rocznika statystycznego leśnictwa. Porównajmy rok 2024 do roku 2015:

łosie: 18 573 szt. (2015), 40 773 szt. (2024);
daniele: 28 324 szt. (2015), 36 113 szt. (2024);
jelenie: 214,4 tys. szt. (2015), 288 tys. szt. (2024);
sarny: 870,6 tys. szt. (2015), 890,3 tys. szt. (2024);
lisy: 202,4 tys. szt. (2015), 229,3 tys. szt. (2024);
zajęce: 709,6 tys. szt. (2015), 923,4 tys. szt. (2024).

WILK CZŁOWIEKOWI WILKIEM

Ile w Polsce żyje wilków i niedźwiedzi – dokładnie nie wiadomo. Te gatunki nie są porządnie zinwentaryzowane. Z przedstawionych w ubiegłym roku przez resort rolnictwa danych wynika, że w latach 2014–2022 populacja wilków w Polsce wzrosła trzykrotnie, obecnie GUS szacuje, że jest ich ok. 5 tys. W wypadku liczebności niedźwiedzi padają różne liczby. Zdaniem samorządowców z Bieszczadów w Polsce jest więcej wilków i niedźwiedzi, niż szacujemy. – Trzeba zacząć od podstaw. Od dawna zabiegamy o to, żeby została przeprowadzona inwentaryzacja genetyczna wilków i niedźwiedzi – mówi Dariusz Wethacz, wójt gminy Cisna. – Leśnicy z Nadleśnictwa Cisna policzyli, że na terenie naszej gminy jest ponad 70 niedźwiedzi. Tylko w naszej gminie! A wszystkie szacunki podają, że w całych Bieszczadach jest ok. 300 niedźwiedzi. Te dane są bardzo rozbieżne. Podejrzewam, że skala problemu jest

dwa razy większa. W Polsce może żyć 500–600 niedźwiedzi – dodaje.

I wilki, i niedźwiedzie są objęte ścisłą ochroną i z roku na rok ich liczebność rośnie. W Bieszczadach stanowią już poważny problem. Wczesną wiosną (gdy wygłodniałe miśki się budzą) oraz późną jesienią (gdy szykują się do snu) i gdy w lasach jest mniej pożywienia, zwierzęta te zapuszczają się w pobliże gospodarstw i domów. Sytuacja ta w ostatnich trzech latach powtarza się regularnie. Na początku kwietnia niedźwiedzie (nie wiadomo, ile ich było, ale najpewniej więcej niż jeden) zaatakowały stado kóz w Bukowcu i zabiły 21 z nich. Kilka dni wcześniej niedźwiedź rzucił się na mężczyznę w okolicach Komańczy. Ofiarą był zbieracz poroża. Mężczyźnie udało się uciec, ale został dotkliwie pogryziony.

Niedźwiedzie zapuszczają się na podwórka, spacerują przez wioski, w 2023 r. w Bukowcu widziano je na terenie szkoły i przedszkola. – Jeśli chodzi o przedszkole w Bukowcu, to nie był pierwszy raz. Po raz pierwszy był rok temu, a wtedy dzieci były na placu zabaw, a on przechodził przez siatkę, która nie stanowiła dla niego żadnego problemu – mówił wówczas Adam Piątkowski, wójt gminy Solina.

Problem stanowią także wilki. W ubiegłym roku w gminie Ustrzyki Dolne wilki zagryzły 23 owce. Wataha pokonała dwumetrową siatkę, która miała zabezpieczyć stado. Zagroda nie znajdowała się gdzieś na uboczu pod lasem, ale w centrum wsi, przy głównej drodze. W 2023 r. mieszkaniec Daszówki (także gmina Ustrzyki Dolne) został zaatakowany przez wilka w biały dzień. Około godz. 17 przez otwarte drzwi wbiegł do domu wystraszony pies mężczyzny. Sześćdziesięcioletni wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić powód niepokoju zwierzęcia, i stanął oko w oko z wilkiem. Drapieżnik rzucił się na niego i dotkliwie pogryzł.

Podobnych historii jest coraz więcej. – W ostatnich pięciu latach liczba sytuacji konfliktowych się potroiła – mówi wójt gminy Cisna. I podaje liczby. Rok 2020: 33 incydenty z niedźwiedziami, 20 z wilkami, łącznie: 53. Rok 2021: niedźwiedzie: 16, wilki: 22, łącznie: 38. Rok 2022: niedźwiedzie: 41, wilki: 77, łącznie: 118. Rok 2023: niedźwiedzie: 99, wilki: 97, ▶



Dziki szukają pożywienia w śmieciach w Olsztynie FOT. ARTUR SZCZEPANSKI/REPORTER

łącznie: 196. A to tylko zgłoszone incydenty. Mieszkańcy coraz częściej rezygnują z przekazywania informacji do urzędu. Ile razy można zgłaszać, że niedźwiedź lub wilk był ponownie na posesji lub w jej pobliżu?

Ludzie nie tylko tracą inwentarz. To region turystyczny, a nasilający się problem z drapieżnikami może odstraszać turystów, których w ostatnich latach jest w Bieszczadach coraz więcej. – Każdy filmik w mediach społecznościowych, każdy artykuł, każda informacja o nasilającym się problemie to dla nas straty wizerunkowe, które trudno jeszcze oszacować. Dlatego przy każdej okazji przypominamy, że problem występuje wcześniej wiosną i późną jesienią, czyli w okresie, w którym turystów tutaj nie ma. Latem problem znika, bo w lasach pojawia się pokarm, niedźwiedzie mają swoje miejsca i nie zapuszczają się w pobliże domów czy szlaków turystycznych – podkreśla Dariusz Wethacz.

MĄDRY POLITYK PO SZKODZIE

Samorządowcy nie mają narzędzi, by sobie z tym problemem poradzić. Decyzje muszą zapaść na szczeblu centralnym. Tylko że w Warszawie nikt się Bieszczadami nie interesuje. – Państwo nas lekceważy. Ja już jeździłem do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, dwa razy do ministra Piotra Otawskiego,

kilka razy do wojewody, na zarządzenia kryzysowe... Robiliśmy wszystko, przeszliśmy wszystkie szczeble. Wraz z innymi samorządowcami 12 czerwca 2024 r. uczestniczyliśmy w posiedzeniu Sejmowej Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, gdzie przedstawiliśmy nasze stanowisko. I nic. Nikt nie chce nas słuchać, przyjąć do wiadomości, że problem już dawno wymknął się spod kontroli – mówi wójt Cisnej.

I dodaje, że rozwiązanie jest tylko jedno: zmniejszenie populacji drapieżników. Odławianie i wypuszczanie ich kilkadziesiąt kilometrów dalej jest bez sensu. To jak przepłaszanie szpaków. Kiedy uciekną z jednego drzewa – siadają na drugim, kiedy przepłozą się je stamtąd, wrócą na pierwsze drzewo. Odławiania próbowała gmina Solina, ale niedźwiedzie albo wracały, albo sprawiały kłopot nieco dalej.

Rozwiązaniem mogą być wywożenie tych zwierząt daleko, najlepiej poza granice Polski, jeśli uda się znaleźć dla nich miejsce, gdzie zostaną przyjęte, lub ich eliminacja. – Odstzał redukcyny jest jedynym działaniem, które może realnie poprawić bezpieczeństwo naszych mieszkańców. Szukamy każdego sposobu, by dotrzeć z tą informacją do osób decyzyjnych, ale w jednym miejscu nam mówią, że nic nie da się zrobić, w drugim miejscu, że coś jest procedowane i trzeba czekać, a w trzecim miejscu, że przed

wyborami nikt się tym nie zajmie, bo to temat zbyt ryzykowny politycznie. A nas to nie interesuje, nie chcemy czekać, aż dojdzie do tragedii. Mówienie, że ministerstwo daje zgody na odstrzał wilków, to manipulacja, bo zgody te są tak obwarowane, że praktycznie niemożliwe do realizacji – mówi Dariusz Wethacz.

Na nic zdają się działania doraźne. Bieszczadzcy samorządowcy krytycznie patrzą na propozycje ekologicznych organizacji pozarządowych. – Pozyskują granty, później do nas dzwonią i oferują różne rozwiązania, np. kosze na śmieci, do których niedźwiedzie nie będą mogły się dostać. Ale to jest drobnica, potrzebna im, by mogli się wykazać, że coś robią, a nie nam. Później te same organizacje bronią niedźwiedzia i wilka za wszelką cenę i próbują pozyskiwać jeszcze większe granty – mówi wójt Cisnej.

Samorządowcy z Bieszczadów piszą bezpośrednio do premiera Donalda Tuska. Zbierają podpisy pod petycją, w której apelują, by rząd wreszcie zajął się ich problemem. – Gdybyśmy nie byli gminą turystyczną, to zebrałbym mieszkańców i byśmy pojechali protestować w Warszawie. Nie zrobię tego, bo wywołam aferę i mogę przstraszyć turystów. Mimo że – powtarzam – problem nie występuje w sezonie turystycznym i nie ma powodów do obaw – mówi wójt Cisnej.

Mieszkańcy Bieszczadów martwią się jednak, że tragedia jest kwestią czasu, a paraliz decyzyjny ustąpi dopiero wtedy, gdy ktoś straci życie. Tak stało się niedawno na Słowacji, gdzie również lekceważono alarmujące głosy ludzi nękanych przez niedźwiedzie. Dopiero gdy na początku kwietnia w leśnych zaroślach (poza obszarem chronionym, ok. kilometr od terenów zamieszkałych) znaleziono zwłoki 59-latka zabitego przez niedźwiedzie, rząd Słowacji zatwierdził odstrzał 350 niedźwiedzi i wprowadził stan nadzwyczajny w 55 powiatach kraju z 79. – Nie można żyć w kraju, w którym ludzie boją się chodzić do lasu – powiedział premier Słowacji Robert Fico.

– Musimy wreszcie przyjąć zasadę: „Życie człowieka jest ważniejsze niż życie zwierzęcia” i wypracować mechanizmy, które sprawią, że ludzie będą się czuli bezpiecznie. Teraz w wielu miejscach Polski tak nie jest – mówi prof. Dariusz J. Gwiazdowicz.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Inwestuj w przyszłość!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Młodzi szukają prawdy
na TikToku i YouTube
– my tam będziemy!”*

Karol Gac
SZEF PORTALU DORZECZY.PL
ORAZ PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA NEW/CONNECT (GPW)

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

KRZYSZTOF MASŁOŃ I TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Czy skomplikowaną osobowość bohatera książki ukształtowało nieszablonowe dzieciństwo? Mamy na myśli naukę domową, przeprowadzki, rozstanie rodziców, obcowanie z bohemą. Co w tym wszystkim było najważniejsze?

PRZEMYSŁAW PAWLAK: Stanisław Ignacy w dzieciństwie przeprowadził się tylko raz z rodzicami – z Warszawy do Zakopanego – gdy miał pięć lat. Wychowywał się blisko natury, na wsi, u stóp Tatr, chodził od małego na coraz dłuższe wycieczki, coraz wyżej się wspinał – wtedy pokochał góry i zwierzęta. Rodzice wspierali jego zainteresowanie botaniką, geologią, literaturą, filozofią, fotografią; dramaty drukowali na zabawkowej drukarni, którą podarowała mu Maria Dembowska.

odstający od normy, nieszablonowy. W rodzinach arystokratycznych, ziemiańskich, szlacheckich normą było właśnie kształcenie domowe, zatrudnianie guwernantek, nauczycieli domowych, ponieważ szkoły powszechne nie zapewniały dzieciom z wyższych sfer odpowiedniego poziomu edukacji, poza tym były elementem zaborczych systemów wynaradawiania i państwowych szyszan skierowanych przeciw polskości.

Nastoletni Staś wbrew woli ojca, a przy dopingu mamy, zapisał się jako prywatysta do szkoły realnej we Lwowie, dokąd przez kilka lat, aż do matury, dojeżdżał zdawać egzaminy semestralne i końcowe. Natomiast rzeczywiście cieniem na młodości Stasia i jego postrze-

nie uprawiał jednak do końca życia, ok. 1925 r. je porzucił, nie widząc szans na świadomy, poważny odbiór jego Czystej Formy na płótnach przez krytyków i publiczność.

W 1914 r. został żołnierzem, a później portrecistą – ani swych pionierskich fotografii, ani tysięcy pastelowych konterfektów do działalności artystycznej jednak nie zaliczał. To była inicjatywa komercyjna, dla zarobku. Firma Portretowa dawała Witkiewiczowi utrzymanie do 1939 r. Przede wszystkim został pisarzem – dramaty, powieści, eseje i artykuły prasowe pisał do końca życia. Sam siebie uważał natomiast za filozofa i ta dziedzina – ontologia – zajmowała go najistotniej.



Z Przemysławem Pawlakiem, współredaktorem bibliografii Stanisława Ignacego Witkiewicza rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Co doprowadziło Witkacego do samobójstwa

Mieczysław Limanowski zabierał go na eksplorację jaskiń tatrzańskich, ojciec chrzestny – Sabala – opowiadał historie o zbójnikach i legendy podhalańskie; mama, Maria z Pietrkiewiczów Witkiewiczowa, uczyła go grać na pianinie według elementarza własnego autorstwa. Rodzice przyjaźnili się ze słynnymi malarzami (Stanisław Wyspiański, Jan Matejko), aktorkami (Helena Modrzejewska została chrześną Stasią), pisarzami (Henryk Sienkiewicz, Szalom Asz, Stefan Żeromski), dzięki temu Staś wzrastał pośród muzyki, dzieł sztuki, rozmów prowadzonych na najwyższym poziomie intelektualnym i patriotycznym. Jednak trudno uznać proces jego edukacji domowej za wyjątkowy,

ganiu świata położył się stosunek ojca do matki, coraz chłodniejszy, w miarę pograżania się Stanisława Witkiewicza w miłość i adoracji Marii Dembowskiej. Syn nie mógł się pogodzić z emocjonalnym porzuceniem matki przez ojca.

Ojca twierdzącego, że w życiu robić można wszystko, zajmować się czymkolwiek, „byle mieć wzniosłą duszę”. Czy miał taką autor „Szewców”? Trudno orzec. W każdym razie Staś artystą musiał zostać, był na to skazany.

Wcale nie musiał, a został artystą tylko trochę. Najpierw poszedł na studia matematyczne na Uniwersytet Jagielloński. Szybko z nich zrezygnował, aby zapisać się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Malarstwa olejnego

Dlaczego Stanisław Ignacy Witkiewicz zdecydował się na służbę w armii carskiej? Czemu nie zasilili Legionów Polskich, z których dowódcą był spokrewniony?

Przede wszystkim był obywatelem i poddanym rosyjskim, którego wybuch wojny zastał w Australii, państwie podległym Koronie Brytyjskiej, sprzymierzonej z Rosją. Przedostanie się na drugą stronę frontu, do Zakopanego, czyli do austriackiej Galicji, gdzie formowano Legiony, było niemożliwe. W listach z tropików – nie wiedząc, czy dotrą do rodziców – wyznawał: „W tak strasznej chwili, kiedy krajowi i Wam grozi niebezpieczeństwo, ja nie mogę się do Was dostać – o tysiące kilometrów od Was odległy w beczynności i rozpacz [...]. ▶

■ Tam dzieją się rzeczy prawdziwie wielkie, za które można życie oddać, a ja oglądam kwiaty australijskie w towarzystwie Anglików i jestem bezsilny". W sierpniu 1914 r. obawy o los bliskich i niemożność walki prowadziły go do rozpacz.

Niebawem cały świat dowiedział się o znęcaniu się Niemców nad ludnością Kongresówki i bombardowaniu Kalisza. Po dotarciu do Piotrogradu, w październiku 1914 r., Witkacy pisał z oburzeniem do Bronisława Malinowskiego: „Garstka strzelców, walcząca o kawałek Galicji razem z Niemcami, którzy spustoszyli w najokropniejszy sposób większą część Królestwa i pastwią się nad tamtejszymi Polakami jak zwierzęta, jest rzeczą tragiczną i potworną. Honor żołnierski, który ich trzyma przy Austrii i każe walczyć razem z Niemcami, tak piękny w innych warunkach, jest w tym wypadku czymś okropnym. Tak to w naszych nienormalnych warunkach cnoty stają się zbrodniami przeciwko duchowi narodu. Byłem sam w moich myślach o Rosji i konieczności walczenia z nią przeciw Niemcom i przeszedłem straszne chwile na ten temat. Teraz ruch strzelecki w Galicji kląpnął zupełnie i każdy Polak może z czystym sumieniem iść przeciw naszemu jednemu istotnemu wrogowi, przeciw Niemcom”.

Jestem kaliszanie, więc wiem, że Kalisz był najbardziej zniszczonym miastem Europy w trakcie pierwszej wojny światowej, zniszczonym celowo, tylko dla zastraszenia opinii publicznej. Cenzura wojenna powodowała, że na terytoriach niemieckich i austriackich Polacy nie wiedzieli o skali barbarzyństwa, którego dopuścili się Niemcy. Natomiast po stronie rosyjskiej prasa i władze podsycaly antyniemieckie nastroje. W sytuacji Stanisława Ignacego zaciąg do armii carskiej był jedyną uczciwą decyzją, jaką mógł podjąć.

Rosyjska ruletka to podobno wynalazek zbławianych oficerów carskich. Nudził się podczas wojny pozycyjnej, więc różnił w karty, nieobecny był im alkohol i narkotyki, regularnie odwiedzali domy publiczne. Stanisław Ignacy Witkiewicz też zasmakował tak hulaszczej egzystencji? Jego „wojenny” biograf Krzysztof Dubiński pisze, że przyszły autor „Szewców” wymyślił nawet grę hazardową (kumbo)...

Witkiewicz nie brał udziału w wielomiesięcznych walkach pozycyjnych, po

przeszkoleniu, ćwiczeniach, manewrach, zgrupowaniu i przewiezieniu na front dowodził swoim oddziałem w bitwie nad Stochodem. To była makabryczna rzeź na bagnach, wśród stosów gnijących trupów, przedzieranie się przez zasieki pod ostrzałem artyleryjskim. Poprowadził żołnierzy do ataku, zdobyli cel, który podano im w rozkazie, większość zginęła zastrzelona lub zadżgana przez Niemców. Tyle że sami zabili widocznie więcej przeciwników, byli skuteczniejsi. Niektórzy ranni leżeli potem w tych trzęsawiskach, a Stach doprowadził resztkę podkomendnych do okopów z powrotem. Stamtąd zostali skierowani do polowego szpitala i następnie odesłani do Piotrogradu.

Być może osoby niebiorące udziału w walkach frontowych wołał sobie opowiadać anegdoty i sensacyjnie zakrapiane plotki, ale jednak apeluje o zachowanie powagi wobec majestatu śmierci i żołnierskiej odwagi. Witkacy i miliony ludzi w tym czasie ryzykowali

bała się o niego, był jej jedynym ukochanym dzieckiem i cokolwiek by zrobił, nie stałby się w jej oczach czarną owcą. Siostra ojca, Aniela Jałowiecka, jej mąż i syn obarczali Stacha winą za śmierć Jadwigi Janczewskiej, natomiast jako beneficjenci dworu carskiego, świetnie ustosunkowani w kręgach rosyjskiej arystokracji, traktowali służbę w wojsku rosyjskim jako coś zwyczajnego. Ciotka uważała, że Stach jeszcze bardziej wypzystojniał w mundurze, wyrobił sobie kondycję i postawę, że wręcz po raz pierwszy w życiu robi coś sensownego.

Ada Żukowska, siostra cioteczna, bardzo pomagała Stachowi w tym czasie, konsekwentnie stała po jego stronie wobec wszystkich.

Jerzy Giedroyc spekulował, że Witkacy został ranny w bratobójczej potyczce z legionistami. Czy istnieją na to dowody?

Nic takiego nie miało miejsca. Witkacy nie został ranny, tylko był „kontuzjo-

Dowodził swoim oddziałem w bitwie nad Stochodem.

To była makabryczna rzeź na bagnach, wśród stosów gnijących trupów, przedzieranie się przez zasieki pod ostrzałem artyleryjskim

zdrowie i życie, żyli w gigantycznym stresie, przeszli koszmar i nie wypada sprowadzać ich służby – choćby okresu rekonwalescencji – do rżnięcia w karty i wizyt w burdelach. W pietrogradzkim lazarecie, prowadzonym przez pułkowe damy, zdarzały się hulanki, a może i orgie, ale Witkacy wynajął wtedy już samodzielnie mieszkanie i wołał spędzać czas na zwolnieniach lekarskich i urlopach jak najdalej od koszar i lazaretów.

Wybory dokonane przez do tej pory przyjaciół – Stanisława Ignacego Witkiewicza i Bronisława Malinowskiego – znacznie ochłodziły ich relacje. Wyglądało to nawet na ostateczne zerwanie ich stosunków. A po tym, jak zapragnął walczyć po stronie rosyjskiej, w oczach niemal całej rodziny stał się czarną owcą.

To wcale nie było tak, że cała rodzina potępiła jego służbę wojskową. Matka odchodziła od zmysłów, bo przez rok od wybuchu wojny nie wiedziała nic o nim,

wany”, co znaczyło w ówczesnej terminologii, że mógł mieć objawy szoku. Po zakończeniu ataku pozostał w szeregu i wrócił z resztką swojego oddziału do okopów. Jego jednostka nie walczyła przeciw Legionom.

Za to rozpoczęła rosyjską rewolucję. Czy – i na ile – był w nią zaangażowany?

Zajmowały go wtedy zupełnie inne sprawy – sztuka, teatr, podróże do Moskwy, Kijowa, zwiedzanie galerii z Tadeuszem Micińskim, godzenie się z Karolem Szymanowskim. Brał udział w życiu teatralnym pietrogradzkiej Polonii, malował, pisał „Nowe formy w malarstwie”, recenzował spektakle. Nawet jeśli przez kilka dni był w dyspozycji swojego pułku, między zwolnieniami lekarskimi i urlopami, to jego bezpośredni kontakt z walkami ulicznymi polegał prawdopodobnie na chronieniu składu alkoholu przed splądrowaniem.

Mam nadzieję, że prawdziwe odrodzenie zainteresowania twórczością Witkacego jest dopiero przed nami. „Szewcy” i jedna z powieści powinny na stałe zagościć w obowiązkowym licealnym spisie lektur

Rewolucje lutową i październikową 1917 r. obserwował – czytamy – „jak z łoża”. Dlaczego nie chciał o tym opowiadać? Wiemy o jego postawie zdecydowanie antybolszewickiej. Jak się ukształtowała?

W PRL teza o wielkim wpływie rewolucji sowieckiej na poglądy Witkacego była wygodna zarówno dla propagandy komunistycznej, jak i opozycji demokratycznej – zależy, którą część jego historii się przemilczało lub przekreśliło. Moim zdaniem to, co widział w Piotrogradzie, było groteskowe, wulgarnie, a z perspektywy człowieka dobrze znającego dzieje ludzkości – nudne i powtarzalne. Ot, kolejny raz uciskane grupy społeczne rzucają się na uprzywilejowane jednostki. Tak to jest też pokazane w „Szewcach”. Te wszystkie rewolucje do niczego nie prowadzą. Oprócz przelewu krwi – ale akurat krwi dużo więcej Witkacy widział na froncie. Rewolucja nie była do tego potrzebna. Narody wyrzynały się i wcześniej, i później. Owszem, Witkacy przestrzegał przed masą, ale nie tylko bolszewicką. Także demokratyczną – społeczeństwem konsumpcyjnym, w stylu amerykańskim, z tanią i prymitywną rozrywką, identycznymi domkami z ogródkami obsadzonymi tujami. Bał się gmerania w ludzkim ciebie; takiego gmerania, którego skutków nie możemy przewidzieć, a które może doprowadzić do przeistoczenia się naszego gatunku w coś nowego, innego – coś, co nie będzie miało potrzeb metafizycznych.

Chociaż jego utwory nierzadko miawały wymiar społeczno-polityczny, to odnosi się wrażenie, że ich autor starał się unikać wyborów ideologicznych. Z jakich powodów?

Żeby się zadeklarować ideologicznie, trzeba zazwyczaj iść na duże kompromisy, zasufladkować swój światopogląd, zidentyfikować z jakąś grupą, uznać czyjeś idee za własne priorytety. Witkacy był zbyt niezależnym myślicielem, by się opowiadać po stronie którejś partii.

Jednak raz w życiu został członkiem grupy artystycznej – formistów. Poza tym zadeklarował się też w dziedzinie filozofii – po stronie własnego, dopracowanego latami systemu ontologicznego: biologicznego monadyzmu.

Czy to trauma bolszewizmu doprowadziła artystę we wrześniu 1939 r. do samobójstwa czy też miało to inne przyczyny? Trudno się oprzeć wrażeniu, że coraz trudniej znosił on nieuchronny proces starzenia się, jakby nie radził sobie z konsekwencjami tego, że dawno już przestał być wunderkindem, a przecież przywykł do tej roli i nie wypadał z niej.

Nikt do tej pory nie zwrócił uwagi na dolegliwości, na które Witkacy – wygimnastykowany przeciw i zaprawiony w pieszych wędrówkach – zaczął się skarżyć w czasie wrześniowej tułaczki. Narzekał na bóle stawów i nerek, nagle postępującą głuchotę, zmienność nastrojów. Opadał z sił szybciej, niż można by się spodziewać. Doszedłem do wniosku, że przemierzając całymi dniami setki kilometrów w upale i stresie, obciążony walizami, skrajnie się odwodnił. W tym stanie lęk o los Czesławy i wiadomość o agresji Rosjan na Polskę wystarczyły, by uznać sytuację za beznadziejną. Samobójstwo, o którym wspominał wielokrotnie w mniej przerażających czasach, teraz stało się w jego przekonaniu jedynym wyjściem.

Eksperymentował z licznymi używkami. Wierzył w ich moc twórczą?

Był przekonany, że zarówno alkohol, kawa, nikotyna, jak i mocna herbata wpływają na percepcję rzeczywistości, a przez to stają się narzędziami w procesie artystycznym dla malarza. Najciekawsze, najbarwniejsze wizje miewał po zażyciu pejotlu meksykańskiego. Uważał, że zasługują one na uwiecznienie przynajmniej w formie zapisu na żywo. Z pomocą przechodzili żona lub zaprzyjaźnieni lekarze. Aby dostrzec moc twórczą środków halo-

cynogennych i pobudzających, wystarczy spojrzeć na portrety pastelowe rysowane w różnych typach – prace w typie C z dopisanymi dodatkami, np. „kokaina” porażają skalą deformacji twarzy, przekształceniami – w sumie skromnymi środkami – w najdziwniejsze stwory, pseudosubstancje, chimery międzygatunkowe.

Przez długie lata czytaliśmy Witkacego poprzez pryzmat tego, co stało się w Jeziorach 18 września 1939 r. Samobójstwo artysty wydawało się konsekwencją ataku Związku Sowieckiego na Polskę, a z niego samego czyniło ofiarę tej wojny. Jak dziś odbierane są dramaty autora „Matki”? Czy jest to wciąż twórczość ważna i żywa czy już zamknięty rozdział w historii polskiej kultury?

Mam nadzieję, że prawdziwe odrodzenie zainteresowania twórczością Witkacego jest dopiero przed nami. „Szewcy” i jedna z powieści powinny na stałe zagościć w obowiązkowym licealnym spisie lektur. To nasz najwszechstronniejszy myśliciel i twórca, idealny towar eksportowy polskiej kultury, uwielbiany przez młodzież i studentów, grany setki razy na deskach teatrów całego świata, tłumaczony na dziesiątki języków. A że wciąż – czy może nawet coraz bardziej – aktualny, to w sumie przykre i przeżające. Witkacy obserwator i analityk precyzyjnie przewidział następstwa wielu zjawisk, których był świadkiem 100 lat temu. Niestety, wszyscy jesteście wnukami Witkacego. Pytanie: Czy wbrew jego pesymistycznym prognozom przetrwamy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Przemysław Pawlak – doktor teatralologii Instytutu Sztuki PAN, współfundator i prezes Instytutu Witkacego, pomysłodawca i zastępca redaktor naczelnej półrocznika „Witkacy!”. Współredaktor bibliografii Stanisława Ignacego Witkiewicza („Dzieła zebrane”, t. 25), tomów esejów „Witkacy. Pięćruciśkas protas” i „Witkacy. Drapieżny umysł”. Laureat nagród Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. R. Dmowskiego i I.J. Paderewskiego oraz Prezydenta Miasta Kalisza. Organizator akcji #RatujPIW. Autor biografii Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Kasa pisarza



Błażej Torąński

Poza elitą milionerów pisarze dorabiają wszelkimi sposobami. Źródeł zarabkowania polskich autorów jest wiele. Nie zmienia to faktu, że generalnie jest to zawód żebraczy

Król kryminałów Remigiusz Mróz zarobił w ubiegłym roku ponad 2 mln zł. Andrzej Sapkowski, arcy-mistrz fantasy, chyba najbardziej rozpoznawalny polski pisarz na świecie:

1,32 mln zł. W pierwszej dziesiątce corocznego rankingu „Wprost” najlepiej zarabiających pisarzy w Polsce (ogłaszane go zawsze na początku roku) nie ma tym razem noblistki Olgi Tokarczuk. Jest natomiast Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka „Chłopek”, fenomenu rynkowego ostatniej dekady, z dochodem 914,97 tys. zł.

Zarobki są szacunkowe, a ich źródłem jest panel BookScan Polska, autorstwa Nielsen Book Services. Redakcja wprawdzie zastrzega, że „z pisania książek w Polsce mogą utrzymać się tylko nieliczni”, ale informacja ta wybrzmiała, jakby była wydrukowana nonparelem albo w przypisach. Ranking jest jednym z największych złudzeń na temat zarobków pisarzy. Jest wielką ściemą! Pokazuje tylko czubek góry lodowej.

Ale jego magii uległ nawet Adam Szaja, autor bloga SmakKsiążki.pl, znany recenzent ze Śląska. „Z pisania książek da się w Polsce wyżyć” – powiedział portalowi press.pl. Pisarze zachowali pragmatyzm. Jarosław Molenda, autor 59 książek, opinię Szaj skomentował na Facebooku żartem: „Chyba z pisania donosów”, a Mariusz Szczygieł, laureat Nike, wyliczył konkretnie: „Kilkanaście osób może żyć tylko z pisania. Większość musi dorabiać wszelkimi sposobami”.

ILE ZARABIA PISARZ?

Tymczasem w cieniu rankingu milionerów „Wprost” rozgrywają się rzeczywiste dramaty. Krakowski poeta, pisarz, dramaturg Edward Pasewicz – laureat Literackiej Nagrody Europy Środkowej



FOT. ANDRZEJ STOK

Angelus w 2022 r. za powieść „Pulverkopf” (najwyższa gratyfikacja finansowa wśród polskich nagród literackich: 150 tys. zł), nominowany do literackich nagród Gdynia (czterokrotnie) i Nike – walczy o byt. Aby móc kontynuować pracę twórczą, rozpoczął zbiórkę na portalu Pomagam.pl. „Znalazł się w trudnej sytuacji materialnej, jak wielu artystów w Polsce. Niestety, system nie działa. Tworzenie dzieł literackich nie przynosi wystarczających dochodów, by móc się samodzielnie utrzymać [...]” – argumentuje organizator akcji mecenas Marcin Mierzwa. „Długo miesiące wzbraniał się przed tym pomysłem, wysyłał kolejne dziesiątki CV i spokojnie znosił następne i jeszcze jedno słowa wsparcia ze strony publicznych instytucji literackich oraz menedżerów

kultury”. Za zebrane pieniądze pisarz chce opłacić zaległe rachunki i kupić leki, a część przeznaczyć na powołanie fundacji, która pomoże materialnie innym artystom w podobnej sytuacji.

Tomasz Włodkowski, były dziennikarz, autor książek: – Bardzo lubię jego twórczość. Chętnie dorzucę jakiś grosz.

Pisarz i poeta, Bohdan Wrocławski, od września 2010 r. redaktor naczelny e-Dwutygodnika Literacko-Artystycznego Pisarze.pl, także prosi o wsparcie. „Brak mi środków na bieżące wydatki związane z istnieniem i wydawaniem Pisarze.pl: opłaty za serwery, miesięczna pensja webmastera, jego ZUS i podatek od wynagrodzeń [...]. Potrzeby stale rosną: dziś każdy numer dwutygodnika ma średnio 20.000 Czytelników. Warto

wspomnieć, że przy takiej poczytności co ok. 20 sekund odpieramy ataki hakerskie wymierzone w naszą platformę – a to tylko wierzchołek góry lodowej bieżących wyzwań technologicznych [...]”.

Sam, jako autor (lub współautor) czterech wydanych książek, zarobiłem w ubiegłym roku 1200 zł 44 gr (tantie-my za sprzedane książki) i 223,45 zł (za wypożyczenia biblioteczne). Gdybym nie dostał spadku, nie miałbym z czego żyć. Dla porównania: w 2023 r. moje dochody z literatury przekroczyły 90 tys. zł. Nie zdziwiła mnie zatem wypowiedź Doroty Kotas, pisarki, laureatki Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Conrada (na FB): „Żyję za około 666 zł miesięcznie”. „Szczercze mówiąc, więcej zarabiam na Vinted, sprzedając tam swoje stare ubrania. Albo znajdując na śmietniku różne stare meble i wystawiając je na olx. Nieustannie wymyślam sprytny sposób na to, jak obniżyć swoje koszty życia”.

Na apel Pasewicza/Mierzwy zareagowało już Wydawnictwo Wielka Litera, podpisując z pisarzem umowę wydawniczą na kolejną powieść – „Werski”. Z pewnością kryje się za tym solidna zaliczka. Tysiącom innych polskich pisarzy nikt nie podaje pomocnej dłoni. Ale, na szczęście, mają wsparcie w silnych stowarzyszeniach literackich, zwłaszcza w Unii Literackiej i Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, które kruszą powoli mur systemu, walczą o naprawę rynku książki. O godność zawodu pisarza. O to, aby autor nie podpisywał umów na kolanach.

Najwyższy czas, aby do opinii publicznej dotarło, że pisarz jest zawodem, jak stolarz czy policjant, a książką towarem. Bardzo nietypowym, ale jednak towarem. Polakom, którzy w 38 proc. w ogóle nie czytają książek, nadal się wydaje, że pisanie jest dziwactwem, pasją, hobby. W rzeczywistości jest to ciężka praca: intelektualna i fizyczna. Wymagająca, oprócz talentu, organizacji, dyscypliny i regularnej pracy. Krwi, potu i łez. To nie tylko napisanie książki czy tomu wierszy, ale kosmos działań: promocja, spotkania autorskie i zabieganie o nie, handel obwoźny swoimi książkami, bycie własnym agentem, rzecznikiem i sekretarzem, ekspertem od prawa autorskiego. To prowadzenie mediów społecznościowych, udział w podcastach. Niejednokrotnie wchodzenie w rolę klauna, pochlebcy,

umizgów wobec czytelników, a co się z tym wiąże – w strefę wstydu. Autoprezentacja bywa upokarzająca. Tymczasem ustawodawstwo nie daje pisarzom prawa do ubezpieczenia zdrowotnego i emerytur.

Jaka jest zatem gaża pisarza? Czy w Polsce można się utrzymać z pisania i wydawania książek? Odpowiedź jest dosyć prosta: co do zasady nie można. Potwierdzają to pisarze. Zbigniew Zbirowski, prezes Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, mówi wprost: – Lud pisarski nie jest w stanie żyć z pisania. Pisarz jest na końcu łańcucha pokarmowego. Otrzymuje najmniej. Aby utrzymać się z zawodu, musi dorabiać na boku, mieć jakiś etat albo emeryturę. Całe życie pracowałem jako dziennikarz, redaktor książek i wykładowca akademicki. Tylko nieliczni żyją wyłącznie z literatury.

Co roku, jak wynika z raportów Biblioteki Narodowej, wydaje się w Polsce ponad 30 tys. tytułów. Codziennie – licząc soboty, niedziele i święta – ponad 80. Konkurencja jest piekielna. Trudno się przebić, jeszcze trudniej utrzymać. Zwłaszcza że pisarz, z tytułu tantiem, na jednym egzemplarzu swojej książki najczęściej zarabia 2 zł 70 gr. Jeśli przyjąć, że przeciętna cena okładowa książki wynosi 54 zł 90 gr.

Profesor Inga Iwasiów, poetka i prozaička (dla magazynu wyborcza.pl): „W tym całym układzie wydawniczo-księgarsko-dystrybucyjnym my, autorzy i autorki, dostajemy najmniej pieniędzy i najwięcej upokorzeń”.

Michał Koliński, właściciel Domu Wydawniczego Księży Młyn w Łodzi, wydaje książki od 30 lat, ale na pytanie, czy jego autorzy mogą utrzymać się wyłącznie z pisania, mówi wprost: nie mogą. Koliński wydał już ponad tysiąc tytułów, zgromadził 800 autorów, ale nie ma wśród nich zawodowych pisarzy, utrzymujących się wyłącznie z literatury.

DŁUGA DROGA

Poza elitą milionerów pisarze dorabiają wszelkimi sposobami. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Wiadomo, Witold Gombrowicz pracował w banku, a Franz Kafka w zakładzie ubezpieczeń. Urzędnikami bywali na różnych etapach życia: Czesław Miłosz, Bolesław Leśmian

Pisarz z tytułu tantiem na jednym egzemplarzu swojej książki najczęściej zarabia 2 zł 70 gr. Jeśli przyjąć, że przeciętna cena okładowa książki wynosi 54 zł 90 gr

czy Melchior Wańkowicz. Sposobów na utrzymanie się jest znacznie więcej. Maciej Siembieda, autor poczytnych kryminałów, ma od lat firmę PR.

Jarosław Molenda, z wykształcenia filolog klasyczny, jest autorem 59 książek. Średnio w roku wydaje kilka tytułów. Zapytany o dochody, mówi wprost: „Pierwsza liga to nie jest moja bajka”. – Mróz, Bonda, Chmielarz czy Żulczyk to top topów, których nie widzę na horyzoncie. Jestem pisarzem drugiej ligi. Piszę książki użytkowe. Nie mam większych ambicji literackich. Ale regularnie sprzedaję po kilka tysięcy każdej książki.

Teraz żyje wyłącznie z pisania, jednak zapracował na to przez 20 lat. Debiutował w 2006 r. książką „Mumie. Fenomen kultury”, a utrzymywał się wtedy z salonu gier zręcznościowych w Świnoujściu, gdzie mieszka. Przez pół roku, w sezonie letnim, prowadził biznes. Kupił drugie mieszkanie na wynajem. Zimą „dłubał dwie książeczki w roku”. Dochody z pisania przeznaczał na podróże. Dobry rok dawał mu szansę wylotu do Ameryki Południowej, kipski – do Hiszpanii czy Grecji.

Aby pisarz w Polsce mógł się utrzymać wyłącznie z pisania, musi na niego pracować co najmniej kilka, a jeszcze lepiej kilkanaście regularnie sprzedających się książek. Z tytułu wypożyczeń w bibliotekach Molenda zarobił ostatnio prawie 2 tys. zł. Ale to jest margines marginesów dochodów pisarzy. Najnowsza mediana za wypożyczenia biblioteczne wyniosła bowiem 360 zł. „To znak, że system wymaga pilnej naprawy – pula środków jest rażąco niska, a statystyka przegapia wiele książek” – skomentowała na swoim profilu Unia Literacka.

KOGO CZYTAJĄ POLACY

Jakie zatem są główne dochody pisarzy? Sprzedaż książek, zaliczki od wydawców i honoraria za spotkania autorskie.

Problem w tym, że „wielkie liczby” nie są jawne. Największe sieci księgarskie (Empik czy Bonito) nie chcą się dzielić statystyką. Nie wiemy, ile sprzedają poszczególni pisarze, zanim ich wydawcy albo oni sami nie pochwalą się na Facebooku. Każda pliszka swój ogonek chwali. W październiku 2023 r. Wydawnictwo Literackie ogłosiło, że łączny nakład sprzedanych książek Szczepana Twardocha, wtedy ich autora, przekroczył milion egzemplarzy! „To niezbity dowód na to, że śląski pisarz należy nie tylko do najważniejszych i najbardziej cenionych prozaików, ale też do grona najpopularniejszych pisarzy współczesnych”. Najbardziej znana powieść Twardocha – „Król” – przekroczyła sprzedaż 170 tys. egz. Swoją najnowszą książkę – „Null” – pisarz opublikował już gdzie indziej: w wydawnictwie Marginesy. Te ostatnie odrabiły rok temu sprzedaż miliona egzemplarzy książek papierowych (i na innych nośnikach) Wojciecha Chmielarza. Kilka miesięcy później ten sam wynik podał Świat Książki w odniesieniu do książek Jakuba Żulczyka.

Niekwestionowanym liderem tego peletonu jest Remigiusz Mróz. W maju ubiegłego roku pochwalił się w mediach społecznościowych sprzedażą ponad 10 mln książek. Zacytował go portal Business Insider Polska: „Wciąż trochę trudno mi w to uwierzyć, ale podobno matematyka w przeciwieństwie do nauk humanistycznych nie posiada jeszcze zdolności konfabulowania. A zatem chyba można powiedzieć to głośno: stało się. Ponad 10 milionów sprzedanych książek! I to w kraju, w którym rzekomo przecież miał nikt nie czytać”. W dużej odległości od Mroza – ale z fenomenalnym wynikiem – jest Katarzyna Bonda, ma na koncie ponad 20 książek o łącznej sprzedaży 3 mln egzemplarzy.

Po drugiej, skrajnej stronie rynku są poeci. Profesor Jerzy Jarniewicz, poeta i tłumacz, laureat Nike: „Odbierając pewną nagrodę literacką, powiedziałem kiedyś, że czytelników współczesnej poezji jest tyłu, ilu było Spartan poległych pod Termopilami: trzystu. I to nie jest bon mot: taka jest przeciętna sprzedaż premierowych książek z poezją współczesną w Polsce”.

Polacy od lat najchętniej kupują kryminały i poradniki. Ale w 2024 r. – według szacunków Nielsena – najlepiej

sprzedającą się w Polsce książką była najnowsza powieść fantasy Andrzeja Sapkowskiego „Rozdroże kruków”. Tylko przez pierwsze dwa dni po premierze (29 listopada 2024 r.) sprzedało się jej 30 tys. egzemplarzy! Rekord rekordów. To jest szacunek najbardziej ostrożny. Nie znamy bowiem wyników Empiku i Bonito. Ten wynik mógł być dwa razy większy. Zaraz za Sapkowskim znalazły się „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak: 600 tys. sprzedanych egzemplarzy.

Zanim Olga Tokarczuk dostała Nobla, sprzedała milion egzemplarzy książek. A była już dwukrotną laureatką Nike (za „Biegunów” i „Księgi Jakubowe”). W maju 2018 r. przysłała do niej The Man Booker International Prize (za „Biegunów”), a rok później Nobel. Już po Bookerze sprzedaż jej książek wystrzeliła, ale po Noblu z wielokrotnie większą siłą. Przez pierwsze 10 godzin Empik sprzedał 12 tys. jej książek. Dla porównania: wydawnictwo ArtRage, które wykupiło prawa do wydań „Septologii” Norwega Jona Fossego, przed przyznaniem mu Nagrody Nobla, w dniu ogłoszenia werdyktu, sprzedało w Internecie 2 tys. egzemplarzy jego książki w kilka minut. Fosse, delikatnie mówiąc, jest pisarzem trudnym w odbiorze. W jednym z podcastów dyrektor ArtRage Michał Michalski przyznał niedawno, że pierwsza na polskim rynku książka Fossego sprzedała się w papierze w 29 tys. egzemplarzy.

Czy zatem nagrody literackie, a nawet nominacje do nich, mają wpływ na sprzedaż, a co za tym idzie – na zarobki polskich pisarzy? Niektóre mają. Ale rozpiętość jest niesłychana. Nagroda Literacka Nike dała Zbigniewowi Rokicie w 2021 r. nie tylko czek na 100 tys. zł. Sprzedaż jego nagrodzonej książki reportażowej „Kajś”, o burzliwej historii Górnego Śląska, przez ostatnie cztery lata osiągnęła 104 tys. egzemplarzy (w papierze). „Efektem Nike” dla tomu poetyckiego „Mondo cane” prof. Jerzego Jarniewicza był wzrost sprzedaży o 12 tys. egzemplarzy. Ale to jest poezja, która średnio sprzedaje się od 200 do 700 egzemplarzy. Dla porównania: moja książka „Kat polskich dzieci. Opowieść o Eugenii Pol” – nominowana do Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego i wydana także w Rumunii – sprzedała się w nakładzie 8 tys. egzemplarzy.

Przekroczenie magicznej granicy 10 tys. uznaje się w Polsce za bestseller, ale wielu graczy rynku książki zapewnia, że „bestseller” jest tylko chwytem marketingowym.

O tym, jak trudno w Polsce dostać liczącą się nagrodę literacką czy choćby nominację, świadczy liczba zgłaszanych przez wydawców i czytelników książek. Do 18. Edycji Nagrody Literackiej Warszawy zgłoszono w tym roku 739 książek wydanych w 2024 r.

OD ZALICZKI DO ZALICZKI

Najlepsi autorzy, mający na rynku silną pozycję, dający wydawcom gwarancję dobrej sprzedaży, dostają od wydawców najwyższe zaliczki. Zaliczka jest formą bezpłatnego kredytu, pozwalającego na bezstresową twórczość. Wydawcy ściągają je ze sprzedaży w pierwszej kolejności, jak banki wszczynające egzekucję. Ale jest grupa pisarzy żyjących „od zaliczki do zaliczki”. Dominują zaliczki w wysokości 10 tys. zł. Najlepsi polscy pisarze mają je wielokrotnie wyższe.

W ubiegłym roku jeden z wydawców zgodził się dla mnie na zaliczkę 200 tys. zł na biografię Andrzeja Sapkowskiego. Niestety, spóźniłem się. To naturalne, że na ten sam pomysł może wpasować kilku autorów. Taka książka już powstaje. W swoim dziewięcioletnim doświadczeniu pisarskim dostałem już jednak zaliczkę w wysokości 40 tys. zł. Nie ujawnię nazwy oficyny, bo umowy wydawnicze są poufne. Nie wszystko na sprzedaż.

Spotkania autorskie, najczęściej w bibliotekach, dają pisarzom największą radość, bo nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z czytelnikami. Czytelnik jest najważniejszy! Nie ma żadnych regulacji prawnych co do wysokości honorariów. Znowu, jak w przypadku zaliczek, zależy to od siły wizerunku autora. Mam za sobą ponad 200 spotkań autorskich (w całej Polsce, a także za granicą, w Sztokholmie i w Düsseldorfie) z dwoma tematami: cenzurą w PRL (o czym

jest moja książka „Knebel”) i obozem dla dzieci przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. Dostawałem już za spotkanie 2,8 tys. zł (na rękę plus hotel), ale zgadzałem się także na 500 zł. Wszystko zależne było od kosztów dojazdu i pobytu.

Źródeł zarabkowania polskich autorów jest więcej. Stypendia, wydatki zagraniczne, rezydencje literackie, sprzedaż praw do sfilmowania książki, wykłady z kreatywnego pisanie, publikacje w mediach, etaty na wyższych uczelniach, płatne blurby. Nie zmienia to faktu, że generalnie jest to zawód żebraczy.

Od tygodni wśród polskich pisarzy i wydawców trwa burza. Wbrew pozorom osoby piszące walczą nie tylko o lepsze pieniądze, lecz także o godność zawodu pisarza. Potwierdziła to Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka „Chłopek”, od której sporu z wydawnictwem Marginesy wszystko się zaczęło: „Zdecydowałam się na tak mocny krok nie wyłącznie z powodu pieniędzy, ale by zwrócić uwagę na niską pozycję pisarek i pisarzy w Polsce. Chciałabym, i to się już dzieje, aby moja sytuacja – przecież nietypowa – była pretekstem do szerokiej społecznej dyskusji o konieczności zmian systemowych, które dotyczą większość pisarzy – ubezpieczeń, ceny książki, przejrzystości danych i umów, z których niekorzystne zapisy powinny zniknąć raz na zawsze, w tym klauzula poufności, która pomaga utrwalą patologie”.

Barbara Sadurska, pisarka i prawniczka (w imieniu Unii Literackiej): „Autorzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, w jakich warunkach rynkowych pracują ich wydawcy. To oni są naszymi reprezentantami. Dlatego apelujemy, żeby reprezentowali nas godnie”.

Chodzi o to, aby wydawcy nie zawierali z dystrybutorami – rekinami największej części tortu na rynku wydawniczym – umów naruszających interesy twórców. Nie dawali im na starcie 45–60 proc. upustu od ceny okładkowej. Nie ulegali ich naciskom, kosztem autorów. W Polsce czterech dystrybutorów kontroluje 80 proc. rynku. Oligopol jest największym źródłem patologii.

Jakby ciosów w plecy pisarze mieli mało, „The Atlantic” donosi: „Meta spiraciła miliony książek, żeby trenować swoją sztuczną inteligencję”. Piszący są wściekli.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jest grupa pisarzy żyjących „od zaliczki do zaliczki”. Dominują zaliczki w wysokości 10 tys. zł

Koniec rozmowy



Piotr Gociek

„Każda dobra powieść mówi prawdę, a każda zła powieść kłamie” – pisał w eseju „Prawda kłamstw”. Zmarł peruwiański noblista Mario Vargas Llosa

Nadchodzą wieści, więc cofam się w czasie. Znowu jestem 15-latką – inne życie, inne czasy, inny ustrój. Mamy rok orwellowski, czyli 1984. Nie czytałem jeszcze Orwella, bo wciąż jest zakazany. Ale czytam za to „Miasto i psy” Maria Vargasa Llosy. Opowieść o kadetach ze szkoły wojskowej w Limie rezonuje we mnie głęboko. Co prawda, nikt w szkole tak nami nie pomiata, ale z drugiej strony bezbłędnie

rozpoznaję charakterystyczną dla instytucji atmosferę: wychowuję się na osiedlu zbudowanym obok jednostki wojskowej.

Czytam „Miasto i psy”. Niczego jeszcze nie wiem o Llosie, ale czuję, że to mój człowiek. Mój pisarz. Przenoszę się w głowie do Colegio Militar Leoncio Prado, nie rozumiejąc, że to coś więcej niż historia dzieciaków w mundurach; że to opowieść o Peru w miniaturze, o systemie, o dyktaturze, o zniewoleniu.

Ale pewne rzeczy czuję podskórnie: opowieść o życiu w opresji. Sam za oknem mam komunistyczną dyktaturę wojskową. Nie można uciec od skojarzeń. Zaczynam literacką znajomość, o której jeszcze nie wiem, że przetrwa śmierć pisarza. Bo przecież Mario Vargas Llosa odszedł. Nieważne. Bo to nadal mój pisarz. Mój człowiek.

Lata 80.: wśród książek tropionych zaciekle w antykwariatach albo kupowa-

wyrwać się z niewoli, tych, którzy ją akceptują, oraz tych, którzy nie rozumieją, jak bardzo są zniewoleni.

Ta najszynniejsza powieść Llosy początkowo miała nosić tytuł „Ochroniarze”. Ostatecznie w tytule mamy „Katedrę”, knajpę, do której chadzał za młodu Llosa i w której toczono długie nocne Peruwiańczyków rozmowy o życiu i ojczyźnie. „Nowy tytuł całej książce dawał inne nachylenie i dużo bardziej uniwersalne znaczenie” – mówił Llosa w rozmowie z polskim reporterem Romanem Warszawskim („Skrzydła diabła, rogi anioła”, 2007). „Bo przecież cała powieść jest gigantyczną spowiedzią, która odbywa się właśnie w Katedrze – kościele międzyludzkim”.

MIĘDZY LITERATURĄ A POLITYKĄ

Jest ich trzech, znaczy trzy osoby składają się na przyszłego noblistę: pisarz marzący o tym, by literatura naprawiła świat; czynny polityk i polityczny komentator oraz wytrawny smakosz literatury, który w odróżnieniu od zawodowych badaczy przeżywa czytane dzieła, zamiast dokonywać ich zimnych wiwisekcji. „Prawda kłamstw. Eseje o literaturze” (polskie wydanie 1999) to zbiór zachwycający zwięzłością – w kilkunastu szkicach Llosa potrafi uchwycić sedno omawianych książek. Znamy też tom „O czytaniu i pisaniu”, zestawiony dla polskiego czytelnika przez Tomasza Pindela w 2017 r. W przedmowie Pindel przypomina, że większość dorobku Llosy stanowią teksty niebeletrystyczne, pisze bowiem nieustannie: recenzje, eseje, artykuły polityczne, wystąpienia. Ba – dodam – mieliśmy w Polsce okazję czytać nawet jego książkę o Andach czy o konflikcie na Bliskim Wschodzie („Izrael – Palestyna. Pokój czy święta wojna”). Wracając do pisania o literaturze: Llosa celnie jak mało kto potrafi opowiadać o sztuce pisania, jego teksty na ten temat cenię równie wysoko jak eseistykę Milana Kundery. Najmądrzejszą książką Llosy na ten temat są „Listy do młodego pisarza”.

Zerkając ponownie w świat polityki postrzeganej przez pryzmat literatury: podczas słynnej rozmowy Gabriela Garcii Márqueza i Maria Vargasa Llosy w auli uniwersyteckiej w Limie we wrześniu 1967 r. Jej zapis ukazał się dekady później w książce „Dwie samotności”. Żaden

W mowie noblowskiej Llosa mówił wiele o potędze czytania i mocy książek, o swej głębokiej miłości do literatury. Ale było też polityczne. „Kapitalizm toczy głęboki kryzys moralny, perwersja nieokiełznanej chciwości” – przestrzegał

z rozmówców nie wiedział, że kiedyś obaj będą noblistami. Podczas dyskusji zgodnie odrzucili sztukę dla sztuki i „literaturę uniku”. Literaturę, która – jak mówi Llosa – „ucieka od konkretnych realiów, od realiów historycznych; powiedzmy, że to literatura zdecydowanie mniej ważna, mniej znacząca niż literatura, która poszukuje paliwa w konkretnej rzeczywistości”. Wtórzy mu Márquez: „Mnie taka literatura nie interesuje”.

Wkrótce skracając już wprost ku polityce: „Uważa się, że pisarz ponosi odpowiedzialność wobec społeczeństwa, co powinno przejawiać się nie tylko w jego twórczości, w wydanych dziełach, lecz także w działaniach o charakterze politycznym” – mówi Llosa i pyta Márqueza o opinię. „Przed wszystkim sądzę, że zasadniczą powinnością polityczną pisarza jest pisać dobrze” – odpowiada autor „Stu lat samotności”. „Od pisarza nie można konkretnie wymagać, by poprzez swoje utwory angażował się politycznie, podobnie jak od szewca nie można żądać, żeby zrobione przez niego buty miały polityczny charakter”.

Od pisarza nie. A od polityka? Ileż razy w historii artysta zniecierpliwiony faktem, że słowo nie zmienia świata, decydował się na aktywność polityczną czy nawet wojskową! Wspomnijmy naszego Adama Mickiewicza, który zmarł w trakcie organizowania polskiego oddziału, który miał bić się z Rosjanami podczas wojny krymskiej; wspomnijmy i włoskiego poetę Gabriele D'Annunzia, który na czele uzbrojonych rebeliantów podbił miasto Fiume i ustanowił tam niezależną republikę. Mario Vargas Llosa zamierzał zostać prezydentem Peru.

nych po zawyżonych cenach na bazarach jest „Rozmowa w »Katedrze«”. O matko, cóż to za powieść! Zanim trafia w moje ręce, dociera do mnie jej legenda. Starsi koledzy są zgodni: to cud, że cenzura w PRL to przepuściła. Powieść totalna, najbardziej odważna formalnie książka Llosy: fascynująca panorama społeczna, wielce dla mnie egzotyczna, ale tam, gdzie dotyczy polityki i władzy, aż nadto zrozumiała: to studium tych, którzy chcą

FOT. FELIX CLAY / EYEWINE/EAST NEWS

■ Za młodu komunizował, wychwalał rewolucję i Fidela Castro. Partią komunistyczną szybko się rozczarował, rozczarowanie praktykami reżimu na Kubie przyszło nieco później. Rok 1980 przyniósł w Peru wolne wybory, kraj uczył się demokracji po dekadach przewrotów i rządów wojskowej junty. Wolność nie oznaczała jednak dobrobytu. W latach 80. XX w. Llosa wiąże się z prawicą, jest współzałożycielem Ruchu Wolności. Intrygują go idee wolnościowego ekonomisty Hernando de Soto, autora m.in. głośnej książki „Inny szlak”. W 1990 r. kandyduje na prezydenta. Wygrywa pierwszą turę, w drugiej przegrywa z neoliberałem Albertem Fujimorim. Gdy Fujimori zawodzi, Llosa robi znów to, co umie (oprócz pisania) najlepiej – walczy z nieudolną, opresyjną władzą.

Do końca życia będzie chętnie, obficie i ostro wypowiadał się na tematy polityczne, politycznymi sporami będzie przesiąkniętych wiele jego powieści, choćby „Historia Alejandra Mayty”, „Kto zabił Palomina Molero?”. Jego wspomnienia z tomu „Jak ryba w wodzie” to w dużej mierze autobiografia polityczna i opowieść o czasach kampanijnych. Na szczęście nie tylko: jest i część o rodzinie pisarza, jego dorastaniu i fascynacjach. Od samego początku książki. Najpierw historyjki przygodowe. Uroczne wspomnienie z dzieciństwa: „Nic nie było tak ekscytujące jak pisanie listu do Dzieciątka Jezus – wtedy nie zastąpił go jeszcze Święty Mikołaj – były to karteczki z listą prezentów, jakie pragnęło się otrzymać 24 grudnia”. Jakie miały to być prezenty? Llosa zapisuje, że szedł spać z oczami otwartymi do połowy, bo nade wszystko pragnął „ujrzeć Dzieciątka Jezus przychodzące z prezentami – książkami, mnóstwem książek”.

POTĘGA CZYTANIA

Polityka swoją drogą, ale sława Llosy jako pisarza rośnie na całym świecie, w dużym stopniu dzięki powieściom powstałym w czasie nazwanym przez samego pisarza okresem lepszej twórczości. Przepelnionymi – jak to zgrabnie ujął Roman Warszewski – „seksualną woltyżerką”: satyra erotyczno-wojskowa „Pantaleon i wizytantki” czy zekranizowana w latach 1981–1999 trzykrotnie „Ciotka Julia i skryba”. Ale pomiędzy obyczajowymi tragikomediami a rozpra-

wami o patologiiach latynoamerykańskiej lewicy powstaje też prawdziwa perła, chyba jedyna powieść Llosy dorównująca „Rozmowie w »Katedrze«”. To niesamowita, apokaliptyczna „Wojna końca świata”, inspirowana buntem w Canudos.

Pod koniec XIX w. podążający za tajemniczym mesjaszem i cudotwórcą biedacy założyli w brazylijskim stanie Bahia coś na kształt religijnej komuny. Każde czasy i każdy kontynent muszą mieć, najwyraźniej, swojego Thomasa Münzera. Llosa wydał swą powieść w 1981 r. Jak zauważa autorka jego biografii, Urszula Ługowska, była to jego pierwsza książka, „w której autor nie korzystał bezpośrednio z własnego doświadczenia, ale głównie z materii wcześniejszego wielkiego dzieła literackiego”. Owym dziełem, które uległo w rękach Llosy transformacji, była książka brazylijskiego autora Euclidesa da Cunha „Os Sertões” (1902). Da Cunha był naocznym świadkiem wydarzeń: brał udział w ekspedycji wojskowej, która po kilku nieudanych atakach ostatecznie położyła kres wolnej krainie Canudos.

Część krytyków zarzuciła Llosie plagiat, inni mieli z kolei pretensje o zbyt dużą dowolność w przedstawianiu wydarzeń. Dziś nikt o tym nie pamięta, a „Wojna końca świata” stała się dziełem należącym do światowej klasyki. (Co ciekawe, tymi samymi wydarzeniami inspirował się już w 1970 r. Sándor Márai, pisząc powieść „Cud w Canudos”, mroczniejszą od i tak niewesołej książki Llosy). „Wojna końca świata” to podobnie jak „Rozmowa w »Katedrze«” powieść totalna, wielowątkowa. Opowieść o ułomnej, fałszywej rewolucji i równie ułomnym, nieuczciwym porządku świata, który ową rewolucję zniszczy, wprowadza nas, zdaniem Llosy, w sedno tragedii Ameryki Łacińskiej. Skoro już o porównaniach mowa – to warto, czytając tę książkę, sięgnąć nie tylko po wersję Máraiego, lecz także spojrzeć, jak doskonałą powieść stworzył na podobny temat (tyle że biorąc pod lupę bunt Münzera) Eric Vuillard, pisząc „Wojnę biedaków”.

Żadna z późniejszych książek Llosy nie osiągnie już tej intensywności i wieloznaczności. A jest ich wiele: „Gawędziarz”, „Pochwała macochy”, „Święto kozła” i inne. Wreszcie dziewięć powieści później Mario Vargas Llosa wyróżniony zostaje Literacką Nagrodą Nobla. Między innymi

za „kartograficzne podejście do struktur władzy oraz wnikliwą analizę oporu, buntu i porażki jednostki ludzkiej” – uzasadniała werdykt Akademia Szwedzka.

W mowie noblowskiej Llosa mówił wiele o potędze czytania i mocy książek, o swej głębokiej miłości do literatury. Ale było też politycznie. „Kapitalizm toczy głęboki kryzys moralny, perwersja nieokiełznanej chciwości” – przestrzegał, postulując powrót do zasad, bez których żadna gospodarka nie będzie uczciwa, a bunt okaże się nieunikniony. Gdy w roku 2016 gościł w Polsce (była to jedna z kilku jego wizyt w naszym kraju), mówił do publiczności zebranej w krakowskim kinie Kijów: „Pisarz, tak jak wszyscy obywatele, ma obowiązek moralny brania udziału w tym, co się dzieje w jego kraju, w jego mieście, w jego czasach”. Od czasu swego prawicowego zwrotu, a więc od połowy lat 80., był zniechęcony przez latynoamerykańską lewicę, którą rozwścieczył jeszcze po latach ostrymi wystąpieniami przeciw politycznej poprawności. „Jeśli sztuka ma być dobra i poprawna, to nigdy nie będzie prawdziwą sztuką, bo nie będzie w niej prawdy” – mówił w wywiadzie dla „El País” w 2018 r. „Jeśli oczekujemy sztuki, kultury i literatury na wysokim poziomie, to musimy liczyć się z tym, że świat pełen jest potworów, a sztuka wyraża to, co jest ukryte i stłumione”. Kto ciekaw jest politycznych poglądów Llosy, sięgnąć powinien koniecznie po jego eseistyczną „Cywilizację spektaklu”.

POŻEGNANIE Z PISANIEM

Jego najnowsza powieść, „To dla pani ta cisza”, ukazała się w Polsce pod koniec ubiegłego roku, a w oryginale rok wcześniej. Udzielając promocyjnych wywiadów prasie, Llosa zapowiadał jesienią 2023 r., że następnych powieści już nie będzie. „Choć jestem optymistą, to nie sądzę, żebym żył wystarczająco długo, by pracować nad nową powieścią, zwłaszcza że napisanie każdej zajmuje mi trzy lub cztery lata” (wypowiedź dla barcelońskiego dziennika „La Vanguardia”). W króciutkim posłowie do „To dla pani ta cisza” napisał: „Teraz chciałbym napisać esej o Sartre, moim mistrzu z czasów młodości. To będzie ostatnia rzecz, jaką napiszę”. Zmarł 13 kwietnia 2025 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. JACEK DOMINIKI/REPORTER



Krzysztof Masłoi

Był najważniejszą postacią teatrzyku Salonu Niezależnych, który w latach 70. na kabaretowej niwie osiągnął pozycję wyjątkową. Wraz z Michałem Tarkowskim i Januszem Weissem wygrywali rozmaite festiwale i przeglądy (trzykrotny Złoty Trójzab Neptuna na kolejnych FAMA-ch, Złota Szpilka w 1972 r. w Opolu itd.), tyle że w radiu, o telewizji nie wspominając, nie zaistnieli, bo nie do przełknięcia przez te instytucje były ich skecze i piosenki. Takie jak „Telewizja” właśnie, jakże wciąż aktualna:

*Wykrył pies bimbrownię na czas,
wycinanki robi wujek,
jak smarować margarynę,
telewizja transmituje.
Łodiridi dla młodzieży,
w Skierniewicach dwie kotłownie;
jak gonili hitlerowca,
to mu opadały spodnie.
Z telewizji czterej znawcy
od nawozów i od świata
orzekają, co się zdarzy
w Gwatemali za trzy lata:
„Masy pracujące stracą,
gdy realna płaca spadnie,
Gwatemala nie dostrzeże,
iż elita władzy kradnie.”*

A u nas:

*Stał się leje, moc truchleje,
na kombajnie chłopa się szkoli,
na dodatek wygrać może
kończówkę od banderoli.*

Jako takie piosenki trafiały do ludzi. I przynajmniej młode pokolenie dobrze znało te

pieśni „z pogranicza abstrakcyjnego absurdu i absurdalnej rzeczywistości” – jak nazwał je Tadeusz Nyczek – często oparte na żółtych rymach (copyright by Jacek Kleyff), że wspomnę np. „O Jadwidze” („Szła Jadwiga pod wieczór, / szła Jadwiga na nieszpór”), „Nie męcz mnie” („Nie rozkopuj koldry, / bo będę niedobry”) czy „O pierwszym skrzypku” („Społeczeństwo obok biegnie, / a Jan siedzi, czyta neon. / Każdy chętnie się pociesza / że ten dziad to jeszcze nie on”).

Balansowanie na skraju legalności skończyło się z chwilą, gdy Kleyff podpisał List 59 przeciw planowanym zmianom w Konstytucji PRL, do której zamierzano wpisać słowa o wieczystym sojuszu z ZSRS. Tego już było za wiele dla władz, artysta objęty został zapisem cenzorskim. Co było dalej, wiadomo. Karnawał Solidarności, zaraz potem stan wojenny i Jacek Kleyff wyniósł się z Warszawy na wieś pod Lublinem, otwierając zupełnie nowy rozdział w swoim życiu.

Z Orkiestrą Na Zdrowie, którą założył, nagrał kilka płyt. Z szerszym odzewem spotkały się bodaj dwa tylko utwory ONZ. Pierwszy to „Znalezienie”, które dało tytuł późniejszemu albumowi Kleyffa: „Niczego nie zbieram, / czego wpięram nie sięję, / szukanie chcę zasiał, / zebrać znalezienie...”. A drugi utwór to „Rozpostarta”, jeszcze z pierwszego okresu Orkiestry Na Zdrowie:

*Rozpostarta płachta nieba
zawsze daje to, co trzeba.*

*Przez tę płachtę pod sam kręgosłup
prześwituje sama wiedza.*

*Kiedy zbieram z niej bez wahań,
zwykle trafiam w to, co czuję,
jeśli mniej premedytuję,
jeśli mniej kalkuluję... w życiu.*

Jan Krzysztof Kelus, absolutna legenda opozycji z czasów PRL, swego czasu niemal guru Kleyffa i jego przyjaciel, zaakcentował jednak różnice w ich poglądach, czemu dał wyraz w „Przypowieści o jeżach”. Tak to leciało:

*Mój przyjaciel Jacek
co bym nie wymyślił
mówi, że się muszę
ustrzec nienawiści
Siedzi w kukli, patrzy
spod przymkniętych powiek
mówi – „nawet ubek
też jest brat i człowiek”
Święty człowiek Jacek
albo nawiedzony
bo mu przecież tyle
dokuczał czerwony.*

Po latach tak jednak scharakteryzuje nowe wcielenie Kleyffa, już tego z Orkiestry Na Zdrowie: „Znalazł sobie nową publiczność, nowe środowisko, dla jakichś ludzi jest znowu idolem, maluje piękne obrazy. Żyje godnie, skromnie i po swojemu. Jest pieprzony, kompletnie odjechany – i na tym polega jego urok. Uważam go za jednego z najbardziej niezależnych artystów, o których słyszałem. Komercja, sława, »Kanonada serdelków i szmalcu« jak dotąd go nie wessały. Nie da się go kupić ani za żadne oklaski, ani za żadne pieniądze”.

Nie odcinał Kleyff kuponów od młodości. Przeciwnie, przez dłuższy czas nie wykonywał dawnych swoich piosenek, nie zgadzał się też, by inni je śpiewali. Właściwie dopiero Kuba Sienkiewicz uzyskał tę zgodę i chwala Bogu, bo dzięki niemu takie utwory jak: „Wędrowiec” czy „Telewizja” zyskały swoje drugie życie. A sam ich autor w grudniu 1998 r. wystąpił na benefisie

Salonu Niezależnych, który odbył się w Warszawie w Studiu Radiowym im. Agnieszki Osieckiej. Po 27 latach od ich ostatniego występu!

Odtąd od czasu do czasu będzie przypominał o sobie, zabierając głos w sprawach o wybitnie politycznym podłożu. Tak będzie, gdy w 2016 r. zaatakuję Antoniego Macierewicza, kolegę z liceum im. Reytana, za to, że nie wystąpił publicznie w obronie innego ucznia tej samej szkoły, także harcerza z „Czarnej Jedyńki”, Janusza Kijowskiego, którego ojca oskarżono o współpracę z komunistycznym aparatem represji. Z całą sprawą Macierewicz nie miał nic wspólnego, bo naprawdę chodziło w niej najbardziej o bratanka Janusza Kijowskiego, Mateusza stojącego na czele czegoś, co zwano KOD i ówczesna opozycja pokładała w nim duże nadzieje. Nic dziwnego, że rozpisywała się o tym „Gazeta Wyborcza”, nagłaśniając również wystąpienie Kleyffa. A w następnym roku bard nagra piosenkę „Piotr S.”, o człowieku, który dokonał samospalenia pod Pałacem Kultury, na znak protestu przeciw – jak uważał – łamaniu przez władze praw człowieka.

Cóż, dla mnie pozostanie Jacek Kleyff autorem niezapomnianych „Listów do Leonarda Cohena”, „Schulza”, „Wędrowca”, przezabawnego „Papkina” i „O niespełnionej miłości na terenie magazynu koła rolniczego...”. A także, może nawet przede wszystkim, pieśni „Huśtawki” z 1973 r. z niedającymi się zapomnieć słowami:

*Jeden jest rytm, jeden rytm.
Jeden jest węgiel i tlen.
Zwykłą losu koleją,
praca, posiłek i sen.
Jeden przypada na dzień,
świt jeden i jeden zmrok.
Pierwsi się ludzją nadzieją,
a drudzy równają krok. ©*



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+
ONLINE

PLAY

50 twarzy Sarumana



★★★★★

REŻ. JON SPIRA
„ŻYCIE I UMİRZEC
JAK CHRISTOPHER
LEE” („THE LIFE
AND DEATHS OF
CHRISTOPHER
LEE”)

WIELKA
BRYTANIA 2024,
DOKUMENTALNY

Warto byłoby dla samych gadających głów: Peter Jackson, John Landis, Joe Dante. O kim opowiada ją? Bohaterem opowieści jest aktor Christopher Lee, najpierw brytyjski Dracula i legenda europejskich filmów grozy, potem jeden z najlepszych łotrów dybiących na Jamesa Bonda (Scaramanga w „Człowiek ze złotym pistoletem”), a pod koniec życia megagwiazda za sprawą ról hrabiego Dooku w serii „Gwiezdne wojny” i Sarumana w trylogii „Władca Pierścieni”.

Film dokumentalny Jona Spira jest jeszcze bardziej fascynujący, a miejscami pełen zagadek: Czy ktoś wiedział, że Lee był krewnym Iana Fleminga, który częściowo wzorował na nim Bonda? I że szczegóły jego tajnych misji z czasów drugiej wojny światowej wciąż są zamknięte w brytyjskich

archiwach, gdyż były to działania, do których Londyn do dziś nie chce się przyznać: skrytobójstwa, zamachy bombowe itd.? Ten sam Lee był potomkiem arystokratycznej rodziny wywodzącej się od cesarza Fryderyka I Barbarossy. Oraz wokalistą zespołu heavymetalowego, najbardziej znanego z singla „Jingle Hells”. Mało?

Historia życia i kariery aktora została w filmie w dużym stopniu opowiedziana przez niego samego: narracja pochodzi z rozszerzonego wydania autobiografii „Lord of Misrule: The Autobiography of Christopher Lee”, która jest dziś białym krukiem. Kukiełkę zmarłego gwiazdora głosem obdarzył Peter Serafinowicz – chwyt ryzykowny, ale nadspodziewanie udany. Zresztą strona graficzna jest wielkim atutem dokumentu Spira, to, czego

nie można było pokazać z braku archiwaliów, zastąpiono animacją. Szczególnie wyróżnić trzeba niesamowite, przepiękne sekwencje stworzone przez Dave’a McKean’a, jednego z najoryginalniejszych artystów świata komiksu.

Lee miał być pilotem myśliwskim, ale przeszkodziła mu w karierze wada wzroku. Mógł być bankierem lub przynajmniej kustoszem rodzinnego dziedzictwa. Wybrał inaczej. „Aktor?” – powiedziała rozzaczarowana matka, hrabina Estelle Marie z domu Carandini di Sarzano, gdy zakomunikował jej swój wybór: „Ale co ludzie na to powiedzą?”. Cieszył się światową sławą, ale zawsze czuł się trochę niespełniony, lekceważony. Dlaczego? Obejrzyjcie wspaniały film dokumentalny „Życie i śmierć jak Christopher Lee”. Warto z wielu powodów. ©©

GRA TYGODNIA: „SOUTH OF MIDNIGHT”

Chociaż pod pewnymi względami „South of Midnight” jest grą z innej epoki, sprzed kilkunastu lat, to ma parę cech, które sprawiają, że warto się nią zainteresować. Zwłaszcza jeśli chcemy odpocząć od kobyl na kilkadziesiąt godzin. Utrzymana

w baśniowej konwencji opowieść nie zaczyna się co prawda od trzęsienia ziemi, ale prawie, bo od potężnego huraganu. Hazel – główna bohaterka, w którą wcieli się gracz – traci matkę, która zostaje porwana przez wezbrane wody. Oczywiście ruszamy na ratunek,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
mając do dyspozycji nadprzyrodzone moce. Ciekawa opowieść na kilka wieczorów. ©© **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** akcji, TPP
• **Platforma:** XSX, PC
• **Producent, dystrybutor:** Compulsion Games; Xbox Game Studios

Nuta nadziei

Belcanto nie umrze dopóty, dopóki żyją Włosi. Dwóch reżyserów z La Scali podjęło się karkołomnej misji zainfekowania publiczności kinowej wirusem opery. Młodym, obiecującym śpiewakom załatwili wsparcie doświadczonych aktorów, pozyskali ludzi obeznanych z grafiką komputerową. Plan zawiódł na etapie dystrybucji, gdyż sam film ponad przeciętność wyrasta. Zaczyna się nowocześnie: od strzelaniny w supermarkecie. Potem jednak wraca do archetypu, czyli baśni o miłości silniejszej od śmierci. W wersji mitologicznej Eurydyka była leśną nimfą ukąszoną przez węża, Orfeusz zaś – poetą i wirtuozem gry na kitarze. Swym anielskim śpiewem ocalił Argonautów, wzruszył władcę zaświatów, ale – jak wszyscy ulubieńcy bogów – skończył marnie. Widz współczesny ma inne oczekiwania, więc w wersji ekranowej Hades to hotel. Charon jest taksówkarzem, a desperat próbujący wydostać ukochaną z krainy cieni – popularnym tenorem.

Z faktu, że Eurydyka ma ciemną skórę, nie robiłbym afery, rewia mody urządzona w piekielnym autobusie bardziej bawi,



★★★★★

REŻ. DAVIDE LIVERMORE, PAOLO GEP CUCCO
„OPERA!”
(„THE OPERA!”)
WŁOCHY 2024

niż gorszy. Libretto wydaje się aż nazbyt romantyczne, lecz taka już uroda opery: uwzniośla i nadaje odcień tragiczny każdej ludzkiej aktywności. Tytuł oddaje muzyczną zawartość. Dominują arie doskonałe znane słuchaczom Radia Classic, przeważnie włoskiej proveniencji. Z cudzoziemców załapali się Purcell, Haendel, Bizet i oczywiście Gluck. Niestety, wiara w moc list przebojów zaowocowała decyzją, by wizytówką filmu uczynić quasi-symfoniczną przeróbkę utworu „The Power of Love”. Wybór piosenki pochodzącej z repertuaru kapeli Frankie Goes To Hollywood, która budowała karierę na epatowaniu homoseksualizmem i całkowitej zależności od rekinów show-biznesu, gryzie się z idealizmem fabuły.

Strzelanie do panny młodej może spodobać się fanom Tarantino, szachowy pojedynek ze śmiercią to ukłon w stronę zwolenników Bergmana. Czasem autorzy „Opery!” imponują erudycją, przypominając, że zanim kruk stał się zwiastunem nieszczęścia, uchodził za symbol nadziei. Porażka tego przedsięwzięcia nie przesądza sprawy, jednak następni chętni do praktykowania Gesamtkunstwerk (czyli syntezy sztuk) na pewno będą mieli jeszcze bardziej pod górkę. ©© **Wiesław Chelminiak**

KINO

KUCHENNA REWOLUCJA

max

Lekkostrawne fabuły o jedzeniu mnożą się jak króliki. Czemu więc nie obejrzeć filmu o kucharzach z Barcelony? Młodszy, wrogo nastawiony do reżimu gen. Franco, musi ewakuować się na Costa Brava. Starszy, na oko rozsądniejszy, towarzyszy bratu. W roku 1974 (gdy rozgrywa się akcja tej opowieści) Cadaques nie był jeszcze snobistycznym kurortem, ale kataloński reżyser wpadł na pomysł, by przedstawić tubylców jako zgrają marzycieli i dziwaków. Jeden łowi ryby szablą, drugi maluje domy, gdy ich właściciele śpią, trzeci otwiera knajpę, choć o gotowaniu nie ma bladego pojęcia. Na tym tle surrealista Dali wydaje się całkiem normalny. Apologia śródziemnomorskiego stylu życia i lokalnych smaków wypadłaby bardziej sugestywnie, gdyby Pujol raczył się wzniesić ponad stereotypy. Do obejrzenia przed wakacjami nad Bałtykiem. ©©



★★★★★

REŻ. DAVID PUJOL
„CZEKAJĄC NA DALEGO” („ESPERANDO A DALÍ”)
HISZPANIA 2023

DO ZOBACZENIA

Gniezno 1025



**RADOSŁAW
WOJTAS**

Wystawę czasową i publikację naukową pod wspólnym tytułem – „Gniezno 1025. Kolebka królestwa” – świętuje 1000. rocznicę koronacji pierwszego króla Polski Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej.

Na wystawie prezentowane są eksponaty z kolekcji muzeum oraz wypożyczone z innych placówek muzealnych, a także z kolekcji prywatnych. Niektóre



FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI GNIEŹNIEŃSKIEJ

z nich, ze względu na wrażliwość na światło i zmiany wilgotności i temperatury, będą wystawiane

rotacyjnie. Jest zatem okazja ku temu – zachęcają organizatorzy – by wystawę odwiedzić niejedną raz.

Publikacja natomiast składa się z ośmiu artykułów, z których każdy jest ściśle związany z tematem królewskich koronacji w katedrze gnieźnieńskiej. Jednak kontekst jest szeroki, bo nie tylko historyczny, lecz także symboliczno-religijny i artystyczny. ©©

GDZIE?
Muzeum
Archidiecezji
Gnieźnieńskiej
KIEDY?
do 20 grudnia

KRZYSZTOF
MASEK

MOJA PÓŁKA

Bąki na tysiąclecie

Zanim olśnieni największym w naszych dziejach pokazem puszczania bąków – wróć: dronów, którym Donald I uczcił zamierza 1000-lecie Korony Polskiej, jak również głęboko poruszeni wizją niezrównanej interpretacji „Bogurodzicy” – wróć: utworu „Ramię w ramię”, wykonywanego przez Kayah w finale obchodów po polsku, niemiecku, angielsku i, na wszelki wypadek, w jidysz – zalejemy się łzami wzruszenia na myśl o Bolesławie Chrobrym, który rzekomo nie powstydziliby się takiej fety, zachęcam – choćby dla higieny psychicznej – do lektury książki prof. Grzegorza Kucharczyka „Monarchia polska”.

Warto w tym miejscu przypomnieć – za prof. Kucharczykiem – że piastowską koronację nasi zachodni sąsiedzi przyjęli z daleko idącą abominacją. Nadworny kronikarz Niemiec i cesarza rzymskiego – Wipon – uznał wtedy, że „Bolesław, książę Polan, przywłaszczył sobie – na wzgardę króla Konrada – insygnia królewskie i imię króla, czego zuchwałość niebawem śmierć unicestwiła”. Nie inaczej w królestwie niemieckim komentowano następną polską koronację, Mieszka II, który „tą samą pychą nadęty, rozlewa daleko i szeroko smrody zarozumiałości”. Cóż, wyniesienie państwa polskiego do statusu królestwa traktowano tam – czytamy – „jako uzurpację dokonującą się ze szkodą nie tylko dla interesów politycznych, ale i dla godności niemieckiej monarchii”.

W tej sytuacji nadawanie przygotowywanych naprędce uroczystości wymiaru międzynarodowego uznać wypada za niecelowe. Wprawdzie Donald I zrekompensować mógłby przy okazji fatalne skutki hołdu pruskiego, od którego mija – tak się złożyło – równo 500

lat, przyklękając przed niemieckim kanclerzem, a w ostateczności choćby przed Ursulą von der Leyen, ale, po pierwsze, nie wiadomo, czy raczą oni zaszczyścić te odchody – wróć: obchody – swoją obecnością, a po drugie, te polskie rocznice z perspektywy europejskiej wydają się niekoniecznie kompatybilne. Choć, oczywiście, jak to w Polsce – nacjonalistyczne i szowinistyczne. To poza dyskusją.

„Monarchia polska” Grzegorza Kucharczyka przypomina, niestety, jakże przykre dla heroldów wszelkiej ponowoczesności i pomroczności fakty, a mianowicie, że polska tradycja królewska trwała prawie 800 lat, od koronacji Chrobrego do trzeciego rozbioru Polski w 1795 r., a republiką jesteśmy niewiele ponad 100 lat, licząc od konstytucji marcowej z 1921 r. A jeszcze mamy w tym czasie podwójną okupację niemiecko-sowiecką i lata PRL. Idźmy dalej: gdyby nie chrzest Mieszka I i ustanowienie w 1000 r. hierarchicznego ładu polskiego Kościoła, nie byłoby królestwa w naszym kraju. Niejednego czytelnika książki prof. Kucharczyka zaskoczy pewnie informacja o próbach wyniesienia Bolesława I na ołtarze, czemu na przeszkodzie stała najprawdopodobniej „jawna bigamia, której polski władca dopuścił się po zdobyciu Kijowa w 1018 r. (nie-sakramentalny związek z kijowską księżniczką Przedslawą)”.

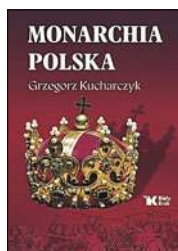
Ale świętego króla w końcu doczekaliśmy się i mamy go, jak Czesi św. Wacława, Węgrzy św. Stefana, a Francuzi św. Ludwika IX. I to świętego monarchę – kobietę, bo mowa tu o św. Jadwidze Andegawieńskiej, o czym dziwnie nie pamiętają feministki rodzimego chowu. Jej panowanie, o czym mówił inny, niekoronowany wprawdzie, król

polskich dusz, błogosławiony kard. Stefan Wyszyński, prymas Polski, charakteryzowało się „nieustanną troską o powiązanie, zespolenie i jednoczenie Narodu przez jeden chrzest, jedną wiarę, jedne sakramenty święte”.

W 1829 r. na Zamku Królewskim w Warszawie koronę polską włożył sobie na głowę car Mikołaj I. Niepodobna uznać tego za akt koronacyjny także dlatego, że „zgodnie z dawnymi prawami polskiego królestwa do jego korony był uprawniony jedynie syn Kościoła rzymskiego”. Widowisko na Zamku miało więc tyle wspólnego z koronacją (namaszczenia Romanowa również nie było), co ustanowione z woli zaborcy Królestwo Polskie potocznie zwane Kongresówką z Rzeczpospolitą.

Nie trzeba być z przekonania monarchistą (są jeszcze tacy!), by doceniać osiągnięcia i dokonania naszych koronowanych władców. Niezależnie od tego, że dzieje monarchii w Polsce zakończyły się mało chwalebny królowaniem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ale pamiętajmy też o tym, o czym pisze Grzegorz Kucharczyk, że likwidacji monarchii, i to bezwarunkowej, domagał się targowiczanie Seweryn Rzewuski. Ten arcyłajdak – wbrew Konstytucji 3 maja wprowadzającej w Polsce dziedziczną monarchię konstytucyjną – chciał ustanowienia „wiecznego bezkrólewia”, wywodząc, że „monarchowie z urodzenia nieprzyjaciółmi są wolności poddanych, swobód ich i uszczęśliwienia”, po czym swoje osobiste szczęście „odnajdywał u rosyjsko-niemieckiej despotki”.

Takie niepoprawne polityczne myśli niech nam towarzyszą w trakcie puszczania przez Donalda I bąków. Wróć – dronów. ©



★★★★★
GRZEGORZ
KUCHARCZYK
„MONARCHIA
POLSKA”
BIAŁY KRUK,
KRAKÓW 2025



POCZYTANKI

Wielkie prze-programowanie

Jako socjolog, nauczyciel, ojciec, Jonathan Haidt bije na alarm: stawia tezę, że dzieciństwo oparte na smartfonie jest głównym sprawcą międzynarodowej epidemii chorób psychicznych u dzieci i młodzieży. Swoją wywód potrafi uargumentować (moim zdaniem – przekonująco), a jego psychologiczny przewodnik (pod koniec także poradnik dla rodziców) zamienia się w wielki akt oskarżenia pod adresem współczesnego świata.

Głównym bohaterem książki czyni amerykański naukowiec zjawisko, które nazwał „wielkim przeprogramowaniem”. Powtarzamy (słusznie), że idee mają znaczenie, ale aby rozumieć idee i analizować świat na serio, trzeba dysponować odpowiednim instrumentem, tymczasem toksyczna symbioza ze smartfonem czyni straszliwe spustoszenie już na poziomie biologicznym. Nasze dzieci, wpuszczone w cyfrowy świat w wieku kilku lat, cierpią z powodu zmian, których skali i znaczenia dotąd nie pojmowaliśmy.

Deprywacja społeczna, deprywacja snu, uzależnienie, rozproszenie uwagi – wylicza Haidt. Jako dorośli wiemy, jak bardzo nam samym trudno oderwać się od ekranu, jak zmieniają się nasze nawyki w wyniku zanurzenia w świecie, do którego

wchodzimy przez ekran naszej ulubionej zabawki. Skutki dla dzieci są wielokrotnie gorsze. Zabawa zamienia się w zabawianie, nabywanie wiedzy zostaje zastąpione poszukiwaniem emocji; idą za tym zaburzenia dojrzewania i dorastania. Hodujemy przebudzowane, pozbawione zdrowego rozsądku istoty, które następnie mają ogromne problemy z normalnym funkcjonowaniem wśród rówieśników. Według Haidta nie powinniśmy dopuszczać nastolatków do świata mediów społecznościowych, zanim nie pójdą do szkoły średniej – całą ostatnią część książki „Niespokojne pokolenie” poświęca temu, co robić mogą rodzice i nauczyciele. Nie pomija też kwestii odpowiedzialności cyfrowych gigantów oraz rządów regulujących stan prawny wirtualnego świata.

Skutki rewolucji, o której pisze Jonatha Haidt, będą – już chyba są – dewastujące dla społeczeństwa XX w. Stan emocjonalnego rozedrgania,

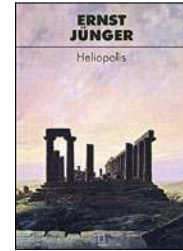
brak podstawowych umiejętności prawidłowego postrzegania świata i rozumienia rządzących nim procesów wykluczają wychowanie zarówno dojrzałego oraz odpowiedzialnego rodzica, jak i pracownika oraz wreszcie – obywatela. Czytajcie Haidta, zanim będzie za późno. Być może już jest. ©©



★★★★★
JONATHAN HAIDT
„NIESPOKOJNE
POKOLENIE”
ZYSK I S-KA 2025

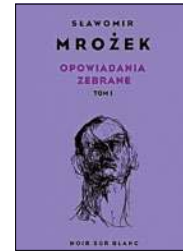
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Intrygująca dystopia: w Heliopolis kontrolującym świat trwa bezwzględna walka o władzę. Technotyrania, korupcja elit, przemoc w imię słusznych idei – prorocze rozważania autora „W stalowych burzach”, zapisane w roku 1949.



ERNST JÜNGER
„HELIOPOLIS”
OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ

Wszystkie teksty Mrożka z lat 50. (łącznie z tomami „Stoń” i „Wesele w Atomiacach”) plus zbiór opowiadań czytanych przez Edwarda Dziewońskiego w radiowym cyklu „Podwieczorek przy mikrofonie”. Wciąż bawi. Klasyka.



SŁAWOMIR
MROŻEK
„OPOWIDANIA
ZEBRANE”,
TOM 1
NOIR SUR BLANC

Amerykańska mistrzyni krótkiej (czasem minimalistycznej) formy po raz pierwszy w Polsce. Wybór ukazuje się w serii „Opowiadania amerykańskie”. Zdałoby się jeszcze przełożyć „The End of the Story”, jej jedyne powieść.



LYDIA DAVIS
„ASORTYMENT
STRAPIENIA”
CZARNE

Książka zamykająca słynną wojenną trylogię non-fiction, której pierwszym tomem był „Najdłuższy dzień”. Ryan widział drugą wojnę światową na własne oczy, jako korespondent wojenny. Tym razem opowiada o zdobyciu Berlina.



CORNELIUS RYAN
„OSTATNIA
BITWA”
REBIS

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: BYŁA WOJNA

Nowa edycja (wersja kolorowa, z dodatkami) najważniejszego polskiego komiksu po 1989 r. Dowód na to, jak satysfakcjonującym artystycznie medium jest opowieść graficzna: mistrzowska kreska Gawronkiewicza plus niepokojący, bardzo oryginalny scenariusz. Niech nikogo nie zwiedzie forma surrealistycznej bajki, nie chodzi



KRZYSZTOF
GAWRONKIEWICZ,
KRYSZTOF
ROSENBERG
„ACHTUNG ZELIG!
DRUGA WOJNA”
KULTURA GNIEWU
2024

tu o czczą zabawę. Dostajemy jedną z najbardziej przejmujących opowieści o wojnie i Holokauście.

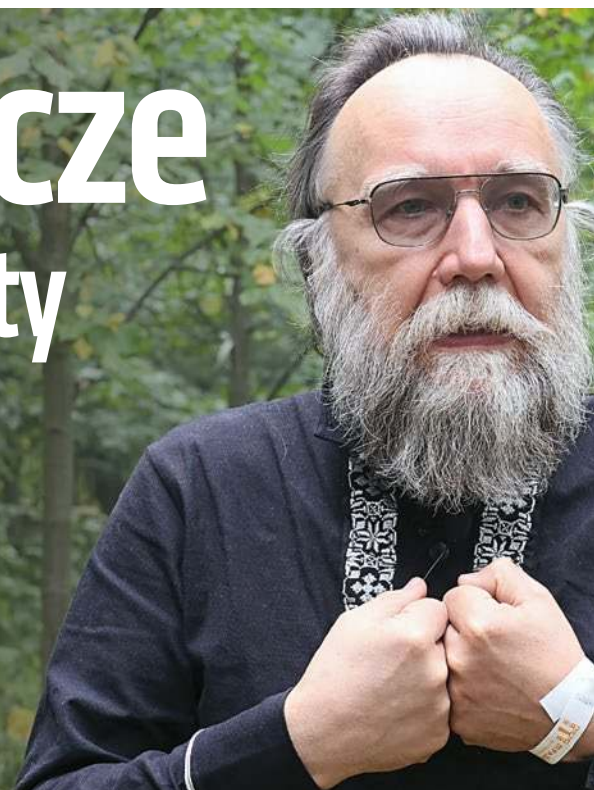
Piotr Gociek

Złudne oblicze rosyjskiego trumpisty



Filip Memches

Jeśli elity kremłowskie w rządonym przez siebie państwie stawiają tamę lewicowym szaleństwom kulturowym, to czynią tak na użytek konsolidacji społeczeństwa rosyjskiego, a nie dlatego, że przyświeca im idea światowej kontrrewolucji



Fareed Zakaria ma w CNN program, w którym przeprowadza wywiady o tematyce międzynarodowej. Ten amerykański publicysta nie kryje swoich wyrazistych lewicowo-liberalnych poglądów i z pewnością cieszy się autorytetem wśród ludzi patrzących na putinowską Rosję jako na imperium zła. Nic zatem dziwnego, że niedawno wzbudził w tym gronie konsternację. Zaprosił bowiem do krótkiej rozmowy on-line człowieka, który uchodzi za czołowego przedstawiciela kremłowskiej maszyny propagandowej czy wręcz ideologa rosyjskiej „specjalnej operacji wojskowej”. Chodzi o Aleksandra Dugina.

O tym myślicielu zrobiło się szczególnie głośno w sierpniu 2022 r. – w związku ze śmiercią jego córki. Daria Dugina zginęła w zamachu pod Moskwą. Samochód, którym jechała, wybuchł na autostradzie. Rosyjskie służby o zabójstwo oskarżyły Ukraińców, ale nie udało się tego zarzutu udowodnić. Sprawa pozostaje niewyjaśniona. Daria Dugina była komentatorką mediów rosyjskich. Ostro w nich zagrzewała do boju Rosjan, żeby w wojnie przeciw Ukrainie nie okazywali żadnych słabości i wykazywali się bezwzględnością.

Aleksander Dugin jest jednak osobą dużo bardziej znaną i znaczącą niż jego córka. Choć – co trzeba podkreślić – bywa poza swoim krajem przeceniany. Nieraz można się zetknąć z opinią, że jest on doradcą Władimira Putina. Ale to nieprawda. On raczej długo robił za „jurodiwego” rosyjskiej polityki – siał ferment, mówiąc to, na czego wygłaszanie prominentne osoby rosyjskiego życia publicznego nie mogły sobie pozwolić. Teraz jednak jego bicie w antyzachodni bębenek wojenny nie odbiega od przekazów serwowanych przez rozmaitych „jastrzębi” z rosyjskiego mainstreamu politycznego i medialnego.

PATRIOTA ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Urodzony w roku 1962 myśliciel to właściwie samouk. Nie ma wykształcenia z takich dyscyplin naukowych jak filozofia czy politologia. Ukończył wyłącznie zaoczne studia z inżynierii melioracyjnej na jakiejś prowincjonalnej uczelni. Jest „resortowym dzieckiem” – jego ojciec był generałem lejtnantem GRU (Głównego Zarządu Wywiadowczego) Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRS.

Poglądy Aleksandra Dugina na komunizm były i pozostają złożone. Można je streścić następująco: bolszewicy okazali

się bardziej Rosjanami niż komunistami (ta teza to nawiązanie do prognoz zawartych w eurazjanizmie – koncepcji zrodzonej w latach 20. XX w. w kręgu rosyjskiej „białej emigracji”). Im dłużej trwał Związek Sowiecki, tym coraz mniej był państwem rewolucji komunistycznej, a coraz bardziej realizował ponadczasowe interesy Rosji. Przy czym Rosja to dla Dugina coś więcej niż państwo i kraj. Stanowi rozciągniętą na eurazjatyckiej przestrzeni odrębną wielonarodowościową i wieloreligijną cywilizację (jednak z dominującą pozycją języka rosyjskiego i wiodącą rolą prawosławia – sam Dugin należy do staroobrzędowców, ale tego ich odłamu, który uznaje nad sobą zwierzchność patriarchatu moskiewskiego). Istotnym składnikiem jej tożsamości (która w ZSRS okazała się mocniejsza od importowanej z Zachodu ideologii komunistycznej) pozostaje dziedzictwo Złotej Ordy. Można zatem powiedzieć, że rosyjski myśliciel jest antykomunistą, ale za określenie go mianem patrioty Związku Sowieckiego by się nie obraził. Mało tego – sławi on takie postaci dziejów ZSRS jak Józef Stalin. W krwawym dyktatorze upatruje męża stanu, którego okrucieństwo było ceną za budowę potęgi Związku Sowieckiego będącego kolejnym wciele-

Aleksander Dugin z jednej strony zasugerował, że wyłania się szansa na porozumienie amerykańsko-rosyjskie, z drugiej zaś pozostaje zwolennikiem sojuszu Rosji z komunistycznymi Chinami

FOT. SERGEY SHAKHIDZHANYAN/LASKI DIFFUSION/EAST NEWS



ekipie Trumpa ideowo blisko do Putina, są ciągle przedmiotem rozmaitych dyskusji po obu stronach Atlantyku. Czy jednak koncepcje rosyjskiego myśliciela wpisują się w wyobrażenia tych amerykańskich konserwatystów, którzy w putinowskiej Rosji upatrują państwa odpornego na zachodni progresizm kulturowy i cennego partnera w nowym koncercie mocarstw?

W kręgach prawicy spod Trumpowskiego hasła „MAGA”, czyli „Make America Great Again” („Przywróćmy Ameryce Wielkość”), jest ktoś, kto już próbował pozyskać Dugina jako sojusznika swojej sprawy. Chodzi o Steve’a Bannona. Ten konsultant polityczny, publicysta, w przeszłości redaktor naczelny serwisu Breitbart News (czołowego medium alt-right), na początku pierwszej prezydentury Donalda Trumpa był jego spin doctorem, potem zaś popadł w niełaskę gospodarza Białego Domu. Nie zraził się tym jednak i podjął działania na rzecz nawiązania współpracy międzynarodowej między obozem trumpistów a ideowo bliskimi im siłami politycznymi spoza USA. I swoje kroki skierował m.in. w stronę Dugina.

TRADYCJONALIZM INTEGRALNY

Bannonowi udało się z Rosjaninem spotkać tylko raz (przynajmniej tyle wiadomo, a odnotował ten fakt amerykański publicysta Benjamin Teitelbaum). Było to w listopadzie 2018 r. w Rzymie. Inicjatywa Amerykanina nie przyniosła jednak pożądanych przez niego rezultatów. Zanim sobie wyjaśnimy, dlaczego tak się stało, trzeba odpowiedzieć na pytanie o przyczyny, dla których Bannon nawiązał z Duginem kontakt.

Pierwsza z nich wiąże się z nastawieniem rosyjskiego myśliciela do poszczególnych sił politycznych na Zachodzie. Dugin nie zostawia suchej nitki na zachodnich liberalnych demokracjach i ich ideologicznych agendach wymierzonych w tradycyjny porządek społeczny (takich jak imigracjonizm czy elgiebetyzm). Komentując sytuację w państwach Unii Europejskiej, wskazywał, że szansą dla nich jest działalność ugrupowań nacjonalistycznych i „populistycznych”. Chwalił m.in. Alternatywę dla Niemiec, francuskie Zjednoczenie Narodowe, grecki Złoty Świt, węgierski Fidesz, włoską Ligę.

Drużyna przyczyna nawiązania przez Bannona kontaktu z Duginem dotyczy

głębszych spraw światopoglądowych. Obydwaj oni od czasów swojej młodości inspirowali się tradycjonalizmem integralnym (inne określenie tego nurtu intelektualnego to perenializm – od łacińskiego przymiotnika „perennis” – „wiekuisty”). Pod pojęciem tym – którego nie należy mylić z tradycjonalizmem katolickim, oznaczającym m.in. przywiązanie do liturgii Kościoła katolickiego sprzed Soboru Watykańskiego II – kryje się synkretyczny pakiet rozmaitych idei religijno-filozoficznych, zrodzonych w pierwszej połowie XX stulecia. Tradycjonalizm integralny zakłada istnienie wiekuistej Tradycji Pierwotnej. W wyniku kataklizmów dziejowych uległa ona rozproszeniu. Jej elementy można znaleźć w wielkich religiach świata (a ściślej rzecz biorąc – w ich mistycznych odgałęzieniach), które pośredniczą między Tradycją Pierwotną a sferą profanum.

Tradycjonaści integralni – można tu wymienić zwłaszcza dwóch myślicieli: Francuza Réne Guénona i Włocha Juliusa Evolę – pesymistycznie i krytycznie diagnozowali kondycję nowożytnej cywilizacji europejskiej. Uważali oni, że stacza się ona w dół, ponieważ na jej gruncie to, co materialne, odniosło zwycięstwo nad tym, co duchowe, natomiast cnoty rycerskie zostały wyparte przez wartości kupieckie (Aleksander Dugin, posiłkując się geopolityczną dychotomią sformułowaną przez żyjącego na przełomie wieków XIX i XX. brytyjskiego geografa Halforda Johna Mackindera, łączy rycerskość z tym, co osiadłe i stałe, czyli z cywilizacją Łądu, kupieckość zaś z tym, co nomadyczne i płynne, czyli z cywilizacją Morza). Upadek zaczął się u schyłku średniowiecza, a dał o sobie dobitnie znać w wyrugowaniu sacrum z życia publicznego oraz w rozkładzie hierarchicznego społeczeństwa stanowego („kastowego”), ostatecznie unicestwionego przez tendencje, których istotę najlepiej oddaje slogan rewolucji francuskiej: „Wolność, Równość, Braterstwo”.

Znamienne, że wśród nowoczesnych ideologii piętnowanych przez tradycjonalistów integralnych są – obok liberalizmu i socjalizmu – nacjonalizmy. Traktują oni je jako przejaw nowoczesnego, demokratycznego umasowienia społeczeństw. Tyle że akurat Steve Bannon pozycjonuje się jako nacjonalista ekonomiczny. Niedługo oznajmił, że orężem w walce

niem państwa rosyjskiego, a nie wdrożeniem zachodniej utopijnej ideologii. Z kolei Putina chwali za to, że ten swoją twardą ręką wydobyl Rosję z liberalnej „smuty” po krachu ZSRS, choć jednocześnie narzeka na to, że – jak twierdzi – prozachodni liberałowie zachowali swoje wpływy na Kremlu.

W wywiadzie, którego Dugin udzielił Zakarii, rosyjski myśliciel zasugerował, że po objęciu prezydentury USA przez Donalda Trumpa wyłania się szansa na porozumienie amerykańsko-rosyjskie przeciw Unii Europejskiej. Amerykę i Rosję miałyby łączyć dwa czynniki: wymierzona w elity polityczne UE i globalizm agenda konserwatywna oraz pozbawione moralizowania realistyczne podejście do relacji międzynarodowych. Dugin wyraził nadzieję na to, że decydenci w Białym Domu przyjmą do wiadomości, iż Federacja Rosyjska, w odróżnieniu od Chińskiej Republiki Ludowej, nie jest wroga USA. A skoro tak, to Ameryka nie ma powodu traktować Rosji jako swojego antagonisty. To zaś powinno USA skłonić do wycofania się z militarnego wspierania Ukrainy.

Kontekst rozmowy Zakarii z Duginem był oczywisty – nowy lokator Białego Domu dąży do zmiany politycznej architektury świata, a rozważania nad tym, czy

■ z globalizmem jako programem glajchszaltowania ludzkości jest „kontrola granic, waluty oraz militarnej i narodowej tożsamości”. Benjamin Teitelbaum interpretuje tę postawę byłego doradcy Trumpa jako sięganie po tymczasowe środki, niezbędne na bieżącym etapie historii.

Jeśli chodzi o stosunek do nacjonalizmów, to Aleksander Dugin mógłby się z Bannonom zgodzić. W tej kwestii stanowisko rosyjskiego myśliciela wydaje się dwuznaczne. W nacjonalizmach wskazuje wady nowoczesności, w tym przede wszystkim determinizm biologiczny i lekceważenie duchowego wymiaru człowieczeństwa. Ale zarazem, jak już zostało powiedziane, wyraża publicznie poparcie dla nacjonalistów na Zachodzie. Postrzega ich bowiem jako oponentów tych sił politycznych, które w imię pokoju, egalitaryzmu, inkluzywizmu, indywidualistycznie pojętej wolności rozniewają wszelkie granice i normy, a tym samym biją w suwerenność państw oraz tradycyjny porządek społeczny. Dziś owe siły stanowią polityczny mainstream w państwach UE, a jeszcze do niedawna rządziły w USA. Dlatego ukłon Rosjanina w kierunku nacjonalistów na Zachodzie zbieżny jest z polityczną linią MAGA.

Jednocześnie Dugin odbiera prawo do nacjonalizmu Ukraincom. Zarzuca im wręcz, że opierając się zbrojnie Rosjanom, kierują się neonazistowskimi motywacjami. Przy okazji wykorzystuje propagandowo to, że w ramach ukraińskiej polityki historycznej rzeczywiście kultywowane są takie postaci jak Stepan Bandera i inni przywódcy ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego, na których ciąży odium kolaboracji z III Rzeszą oraz odpowiedzialności za terror i ludobójstwo.

WŁASNA ŚCIEŻKA POLSKI

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że Dugin podchodzi do poszczególnych nacjonalizmów instrumentalnie – ocenia je pod kątem tego, czy współgrają z interesami Rosji czy z nimi kolidują. A trzeba też wziąć pod uwagę, że dla rosyjskiego myśliciela Ukraińcy w ogóle nie są odrębnym bytem narodowym, lecz częścią wielkiego ruskiego narodu (jego spoiwem jest m.in. chrześcijaństwo przyjęte z Bizancjum, a nie z Rzymu). Stąd też upatrywanie przez Dugina w ich aspiracjach niepodległościowych przeja-

wu buntu przeciw swoim potężniejszym „braciom” – Rosjanom.

Swoją drogą, inaczej niż Ukraińców rosyjski myśliciel postrzega Polaków. Jego zdaniem, historycznie rzecz biorąc, Polska jest odwiecznym geopolitycznym rywalem Rosji, który ostatecznie z nią przegrał, tracąc na jej rzecz swoją mocarstwową pozycję w regionie. I choć Polacy są – jak Rosjanie i Ukraińcy – Słowianami, to poszli na przestrzeni dziejów własną ścieżką. Związali się cywilizacyjnie z Zachodem za pośrednictwem rzymskiego katolicyzmu. Dlatego Dugin twierdzi, że polskie urazy wobec Rosjan... można zrozumieć, ale ukraińskich już nie, gdyż Rosja „wyzwoliła” Ukraińców spod obcej władzy polskich panów.

W pierwszej dekadzie XXI w. Aleksander Dugin kibicował w Europie – inaczej niż dziś – trendom federalistycznym. Natomiast polityczną podmiotowość państwa polskiego podważał zawsze

Jeśli zaś chodzi o stosunek rosyjskiego myśliciela do politycznej podmiotowości Polaków, to można tę kwestię ująć następująco: państwo polskie jest eksponentem „atlantyzmu”. Oznacza to, że opiera się na sojuszu z morskimi mocarstwami anglosaskimi i tym samym próbuje zachować układ jednobiegunowy, w którym USA sprawują funkcję „światowego żandarma”. Stoi więc na przeszkodzie dążeniom tych sił politycznych w państwach Unii Europejskiej (zwłaszcza w Niemczech i we Francji), które dążą do budowy z Rosją wielkiego lądowego eurazjatyckiego bloku, będącego w zamyśle przeciwwagą dla Ameryki i jednym z filarów wyłaniającego się układu wielobiegunowego (wizja: „atlantycka” cywilizacja Morza kontra eurazjatycka cywilizacja Łądu). Dlatego Dugin nie ma nic przeciw formalnej niepodległości państwa polskiego, byleby przestało być ono eksponentem „atlantyzmu”, czego efektem byłyby opuszczenie Polski przez wojska amerykańskie i faktyczna jej neutralizacja.

Jako ciekawostkę warto przypomnieć to, że w pierwszej dekadzie XXI w. rosyjski myśliciel kibicował w państwach UE trendom federalistycznym (choć za tym jego stanowiskiem stała geopolityka, a nie ideologia). Uważał bowiem wówczas, że gdyby udało się pod przewodnictwem polityków niemieckich i francuskich utworzyć europejskie supermocarstwo, to mogłoby się ono stać sojusznikiem Rosji przeciw USA. Natomiast na celowniku Dugina były wtedy nacjonalizmy i suwerenizmy w państwach „nowej Unii” – postrzegane przez niego jako antyrosyjskie żywioły w służbie Ameryce (rządzonej w tamtym czasie przez neokonserwatywistów) i globalizmowi.

SOJUSZ ROSJI Z CHRL

Wracając do inicjatywy Steve’a Bannona: amerykański strateg wyobrażał sobie, że w obliczu narastających napięć na linii Waszyngton – Pekin uda mu się Rosję przeciągnąć na stronę USA. A w Duginie mylnie upatrzył człowieka, który ma dostęp do ucha Putina. Bannon argumentował, że Chiny komunistyczne to główny ekonomiczny beneficjent globalizmu. Tyle że Dugin jako orędownik układu wielobiegunowego pozostał zwolennikiem sojuszu Federacji Rosyjskiej z ChRL, którego imperatywem jest przełamywanie światowej amerykańskiej hegemonii. I powrót Trumpa do Białego Domu tego nie zmienił.

Jeśli zatem jakimś konserwatystom z MAGA wydaje się, że cofnięciem militarnej opieki USA nad Europą zyskają przychylności Kremla wobec Ameryki w jej rozgrywce z Chinami komunistycznymi, to są w błędzie. Z kolei oparcie na wspólnej z Rosjanami prawicowej płaszczyźnie światopoglądowej może się okazać złudne. Jeśli bowiem rosyjskie elity polityczne w rządzonym przez siebie państwie stawiają tamę lewicowym szaleństwom kulturowym, to czynią tak na użytek konsolidacji społeczeństwa rosyjskiego, a nie dlatego że przyszłością im idea światowej kontrewolucji.

Reasumując, Dugin popiera konserwatywny zwrot w USA, lecz warunkowo. Oczekuje bowiem, że kurs zagraniczny Białego Domu nie będzie kolidować z interesami duetu Moskwa – Pekin. A geopolityka przecież nie musi chadzać w parze z ideologią.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



K S I E G A R N I A D O R Z E C Z Y . P L

Jakieś dziesięć czy piętnaście lat temu jeden z moich młodszych znajomych oświadczył mi, że na zajęciach na katolickiej uczelni z ust pewnego dość znanego księdza profesora dowiedział się, że na soborze w Trydencie w XVI w. Kościół popadł w błąd i uwolnił się z niego dopiero w drugiej połowie XX stulecia. Wtedy to na Soborze Watykańskim II katolicyzm uznał za obowiązującą doktrynę o prawach człowieka. Dlatego też cytowany ksiądz profesor (którego imię i nazwisko zamilczę) głosił, że Kościół trydencki i duch trydencki były z gruntu niechrześcijańskie i cała ta tradycja już dawno powinna zostać uznana za obcą dla posoborowego Kościoła.

MODERNIZACJA KOŚCIOŁA

Postawę opisaną powyżej trzeba uznać za olbrzymi błąd. Sobór Trydencki stworzył nowoczesną teologię i dogmatykę, w tym samym czasie, gdy XVI-wieczne państwa tworzyły swoje oficjalne doktryny polityczne. Stworzył też nowoczesną eklezjologię, czyli ustrój kościelny, jakże podobny do powstającego obok i w tym samym czasie nowożytnego państwa. Wreszcie stworzył nowoczesne prawo kanoniczne, podobne do prawa państwowego i popularnego wówczas tzw. legizmu, czyli ufundowania prawa na ustawie, w miejsce zwyczaju. Wybitny niemieckojęzyczny znawca tematyki katolickiej kontrreformacji Wolfgang Reinhard zauważa, że na wzór nowoczesnego państwa w wyniku reform soborowych powstają odpowiednie instytucje kościelne: 1) biurokracji państwowej – administracja kościelna; 2) cenzury – Index Ksiąg Zakazanych; 3) nowoczesnej propagandy – nowoczesna konfesjonalizacja; 4) legistycznej wizji prawa – prawo kanoniczne; 5) wykształconego urzędnika państwowego – wykształcony biskup; 6) wydziałów prawa kształcących urzędników – zreformowane seminaria nauczające teologii i kanonistyki; 7) państwa opartego na prawie – Kościół rządzącego się prawem kanonicznym (niem. Rechtsstaat vs. Rechtskirche). W dodatku – dodaje Reinhard – w Trydencie przeprowadzono lub dano impuls do unowocześnienia Kościoła w tych sferach, gdzie nie było państwowego odpowiednika: 8) zasada obowiązku rezydencji biskupów w diecezjach i zakaz kumulacji stanowisk kościelnych; 9) nowe

Odkłamać ducha trydenckiego



Adam Wielomski

Najwyższy czas już skończyć z myśleniem o kontrreformacji i reformie trydenckiej jako o ruchu banalnej reakcji przeciwko nowoczesności, utożsamianej z reformacją

pojęcie małżeństwa; 10) pochylenie się nad sytuacją kobiet; 11) sprecyzowanie źródeł teologicznych wiary katolickiej. Słowem, badacze wskazują, że najwyższy czas już skończyć z myśleniem o kontrreformacji i reformie trydenckiej jako o ruchu banalnej reakcji przeciwko nowoczesności, utożsamianej z reformacją. Trydent nie był wsteczny, nie chciał cofnąć świata do średniowiecza, gdyż sam był wielkim procesem modernizacji i unowocześnienia Kościoła na wzór renesansowego państwa swojej epoki. W literaturze przedmiotu zwraca się uwagę, że ojcowie trydenccy mieli już głośno niewyraźną, ale niewątpliwą świadomość narodzin człowieka nowoczesnego w swojej epoce, czyli jednostki, indywiduum, które rozpoczęło emancypację od tradycyjnych struktur społecznych i musi być od nowa socjalizowane przez Kościół. Ojcowie zdawali sobie już mniej więcej sprawę z tego, że człowiek nowożytny rozdziela moralność i religię od prawa.

Czym jest duch trydencki? Termin ten jest potoczny i mało precyzyjny. Próbuja-

cy go zdefiniować wybitny włoski badacz historii Kościoła Giuseppe Alberigo opisuje go jako popularny wśród katolików pogląd, że wcześniejsze nauka i tradycje Kościoła piętnastu stuleci są mniej ważne niż postanowienia podjęte na soborze w Trydencie, w ogniu polemiki z Marcinem Lutrem, Janem Kalwinem i protestantami. Wcześniejsze zasady, na których opierał się Kościół, wiara i praktyki religijne miały być niedostatecznie skodyfikowane w stosunku do zasad trydenckich, traktowanych jako „kanon decydujący”. Dodatkowo – pisze Alberigo – zwolennicy ducha trydenckiego odróżniają szerokie pojęcie chrześcijaństwa od pojęcia katolicyzmu, w którym zawiera się prawda nauczana przez Rzym, prawda pełna i nieskażona przez nowinkarstwo protestanckie. W praktyce oznacza to mentalną i formalną „akceptację nie tylko instytucjonalną, lecz i duchową faktu podziału chrześcijaństwa”. Uznaniu Kościoła za jeden jedyny kościół prawdziwy towarzyszyła wygrana w epoce nowożytnej batalia o przymiotnik „katolicki”.

Luter i Melanchton pisali o sobie, bez zamierzonego kręactwa i manipulacji, że wyznają wiarę „katolicką”, względnie „ewangelicko-katolicką”. Łączyło się to z przekonaniem, że wkrótce cały świat chrześcijański ulegnie protestantyzacji. Jednak po Trydencie znamię katolicyzmu (czyli powszechności) zostaje całkowicie przejęte przez Kościół rzymski. Protestanci to kościoły „oddzielone” od Kościoła powszechnego, czyli katolickiego. Czyli przymiotniki katolicki, rzymski i trydencki stają się synonimami.

Tak definiuje ducha trydenckiego Alberigo. Osobiście uważam, że problem dobrze ujmuje również niemiecki badacz Heinrich Lutz, który opisuje w trzech słowach katolicyzm trydencki: „modernizacja, racjonalizacja i centralizacja”. Kościół potrydencki, wprowadzając zasady reformy katolickiej, staje się symbolem nowoczesnej i scentralizowanej instytucji zarządczej, wyposażonej w racjonalnie ujętą i objaśnioną doktrynę. Gdybym miał wskazać na najlepszą definicję, taką zdatną do cytowania lub jako krótkie hasło do encyklopedii, to przytoczyłbym tę, którą konstruuje Joseph Famerée, zresztą zaskakująco przeciwnik tego zjawiska. Ten ostatni badacz pisze: „Duch trydencki (fr. tridentinisme) charakteryzuje przede wszystkim eklezjologia apologetyczna, powstała w reakcji na protestantyzm i skoncentrowana na wymiarze społecznym i instytucjonalnym Kościoła [...]. W związku z tym tak ważne są struktura kanoniczna, polemika z błędami i represje w obronie tradycyjnej wiary [...]. Kolejny element ducha trydenckiego dotyczy struktury kościelnej. Jest ona przestrzegana przede wszystkim w aspekcie hierarchicznym i wertykalnym [...]. Podział na wiernych i hierarchię jest coraz mocniej podkreślany. W hierarchii wertykalność jest zaakcentowana przez rozróżnienie niższych i wyższych święceń między kapłanami a biskupami, między biskupami a papieżem. Zarządzanie Kościołem podlega coraz większej monopolizacji przez papieża [...]. Funkcja biskupia ogranicza się zatem do wykonywania decyzji rzymskich w Kościołach lokalnych”.

W literaturze zwraca się uwagę na racjonalizację, formalizację, dogmatyzację i jurydyzację wiary przez Sobór Trydencki, a także wymiar polityczny i społeczny istnienia Kościoła. Stąd rola Tradycji katolickiej, Magisterium, dogmatu, autorytetu

podającego prawdę i ją definiującego, a gdy trzeba, także karzącego za nieposłuszeństwo i odstępstwo. Można powiedzieć, że wiara człowieka średniowiecznego była radosna, wewnętrzna i musiał się on mocno intelektualnie wysilić, aby wymyślić pogląd uznany za herezję. Było to trudne, gdyż wiele kwestii nie było ostatecznie zdefiniowanych i w Kościele panował pewnego rodzaju teologiczny pluralizm co do spraw o drugorzędny znaczeniu. Szkoła dominikańska kłóciła się z franciszkańską o podstawy pojmowania religii, a augustyniści z tomistami o łaskę, predestynację i rolę rozumu po Upadku etc.

KODYFIKACJA WSZYSTKIEGO

Gdy czytałem raport Kajetana do papieża, dotyczący jego dyskusji z Lutrem w Lipsku (1519), to odniosłem wrażenie, że ten niezwykle dobrze obeznany w teologii kardynał przedtrydencki autentycznie zbagatelizował błędy reformatora, wiele z nich klasyfikując nie jako herezje, tylko jako błędne teologiczne opinie. Może błędne czy dyskusyjne, lecz tylko opinie, w dodatku dopuszczalne, o ile tylko Luter sam nie będzie twierdził, że jego oponenti są herezykami, i obrzucał ich błotem, kalumniami i wyzwiskami (jak miał w zwyczaju). Sobór w Trydencie to wszystko zmienił, gdyż był soborem przede wszystkim polemicznym, zwołanym w celu skodyfikowania doktryny katolickiej w obliczu rewolucji protestanckiej. W literaturze wyliczono, że ojcowie trydenccy wprowadzili w sumie 263 poprawki, uściślenia i wyjaśnienia do dogmatyki i prawa kanonicznego istniejącego dotychczas. Oznaczało to poddanie wiary religijnej ścisłym rygorom i w wielu miejscach ustanowienie kar kanonicznych za pogląd przeciwny, który do tej pory był poglądem przez Kościół dopuszczalnym, dyskusyjnym, tzw. niepewnym lub mniejszościowym – tym, co Kajetan po dyskusji z Lutrem określał jeszcze mianem błędnej opinii, w sumie niegroźnej, o ile dyskusji towarzyszy kultura i wzajemny szacunek. Po soborze w Trydencie nie ma błędnych opinii, lecz są błędy i herezje, za które grożą kary kanoniczne. Papież raz za razem rzucając na herezyków anatemy i potępienia. Bez wątpienia było to zwycięstwo ducha racjonalistycznego, przejętego po kanonistyce i scholastyce, który teraz zapanował w Kościele, tworząc podstawę i esencję ducha trydenckiego.

Trydenckie prawo kanoniczne opisuje i uściśla, co tylko się da, a co do tej pory funkcjonowało mocą zwyczaju lub regionalnego prawa kanonicznego. Teraz przyjęte ogólne zasady regulują nie tylko związki Litery z Tradycją, wprowadzając nieznanie wcześniej pojęcie Magisterium, lecz także wyliczają dokładnie i regulują obowiązki biskupów w diecezji czy prawo małżeńskie, ustalając, że związek małżeński ma charakter wyłącznie sakramentalny, i opisując procedurę jego zawarcia, znosząc śluby potajemne etc. Proces racjonalizacji w Kościele stanowi paralełę wobec rozwoju racjonalizacji suwerennego państwa nowożytnego, które znosi prawa zwyczajowe i tradycyjne, często bardzo ogólne i niedoprecyzowane, aby zastąpić je dziesiątkami ustaw, czyli aktami prawa pisanego, które regulują, co tylko się da. Proces jurydykacji i penalizacji ewentualnych przestępstw i wykroczeń (których liczba ciągle rośnie) w nowożytnym państwie jest bliźniaczy wobec procesu kanonizacji i anatemizacji każdej potencjalnie błędnej myśli w Kościele, powstałej poza dogmatami i autorytetami. Władza prokuratorów w państwach nowożytnych i inkwizytorów w Kościele ma charakter paralelny. Państwo nowożytne jest wyższym rozumem dla swoich poddanych, a Kościół potrydencki myśli za wiernych. Państwo hołubi suwerena i podkreśla jego absolutyzm, gdy Kościół podkreśla zasadę autorytetu, nawet jeśli nie może skoncentrować go w jednej jedynej osobie papieża.

W tej sytuacji trudno nie odnieść wrażenia, że wszyscy antyklerykałowie bezustannie jazgoczący o zabobonny, wsteczny i „średniowieczny” charakterze Kościoła potrydenckiego znają jego charakter jedynie z amerykańskich filmów i z komiksów. Państwo suwerenne francuskich Burbonów i Kościół po Trydencie to dwa wyrazy najradzykalniejszego racjonalizmu charakterystycznego dla europejskiego baroku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tekst ten stanowi fragment książki prof. Adama Wielomskiego „Myśl polityczna reformacji i kontre-reformacji, tom II, Sobór Trydencki i reforma katolicka”, Warszawa 2025. Książka została wydana wspólnie przez wydawnictwa Pro Vita Bona i Von Borowiecky. Tytuł tekstu i jego śródtytuły pochodzą od redakcji.

Zfaktami trudno dyskutować: stajemy się marginesem Kościoła. Nie tylko my, Polacy. Chodzi o wszystkich mieszkańców świata zachodniego. Trwająca od wielu dziesięcioleci sekularyzacja w połączeniu z zapaścią demograficzną o gargantuicznej wprost skali już teraz doprowadziła do pozbawienia Europy (a częściowo także USA) dawnego znaczenia w globalnym katolicyzmie. Ten proces będzie z roku na rok błyskawicznie postępować, a jeżeli trendy się nie zmienią, to ostatecznie czeka nas całkowity upadek. Kościół katolicki w Polsce, Niemczech czy we Francji, mający tak długie tradycje i chwalebny historię, zacznie w skali światowej odgrywać tak samo wyzutą ze znaczenia rolę, którą dziś odgrywa w niemal pozbawionych katolików krajach Azji Centralnej.

DEMOGRAFIA ZROBI SWOJE

W tej ponurej diagnozie ktoś mógłby dopatrywać się przesady. Łatwo wykazać jednak, że wcale tak nie jest. Pierwszą przyczyną jest dzietność, a raczej jej brak. W Polsce w roku 2024 urodziło się 250,8 tys. dzieci. To aż o 150 tys. mniej (sic!) niż jeszcze w 2017 r. Zgodnie z przewidywaniami demografów ludność naszego kraju będzie w kolejnych latach drastycznie spadać. Proces można śmiało nazwać likwidacją narodu. Według wyliczeń Organizacji Narodów Zjednoczonych z ubiegłego roku za 75 lat Polaków będzie zaledwie 14,5 mln. Jak wskazywali polscy eksperci, to zdecydowanie zawyżony szacunek, bo ONZ przyjęła nieco lepszy wskaźnik dzietności niż faktyczny. Nasz kraj jest wprawdzie na samym dole w światowych statystykach, ale inne państwa zachodnie wcale nie mają się lepiej.

W takich krajach jak Niemcy czy Francja dzietność jest statystycznie wyższa przede wszystkim dlatego, że już dziś mieszka tam bardzo wielu muzułmanów. W połowie marca niemiecki Federalny Urząd Statystyczny podał, że prawie 20 proc. uczniów w szkołach nie ma niemieckiego obywatelstwa. Dodatkowo część uczniów takie obywatelstwo posiada, ale... jako pierwsi w rodzinie, bo chodzi o dzieci imigrantów z krajów islamskich, zwłaszcza z Turcji. W skali rok do roku w szkołach w RFN przybyło

Zagłada cywilizacji Zachodu



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki na Zachodzie szybko wymiera, bo wymiera sam Zachód. Już za kilka dekad ciężar katolicyzmu być może na trwałe przeniesie się do krajów globalnego Południa



FOT. ADRIEN STOLCK

0,4 proc. uczniów z niemieckim paszportem i aż 6 proc. uczniów bez tego paszportu.

Muzułmanie doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje. Krótko przed wyborami parlamentarnymi w Niemczech w sieci wielką burzę wywołał wpis, który opublikowała polityk socjaldemokratycznej SPD, Sawsan Chebli. To 46-let-

nia córka palestyńskich imigrantów. Zwolennicy Alternatywy dla Niemiec urządzili swoisty happening, wrzucając do skrzynek na listy przybyszów ulotki charakteryzowane na bilety lotnicze, sugerując, że muzułmanów trzeba odesłać do krajów pochodzenia. Palestynka opisała tę akcję w alarmistycznym tonie, skarżąc się na prześladowania. Swój

tekst zakończyła jednak wyrażeniem nadziei na nadchodzącą zmianę. „Czy wolno nam dać za wygraną? Nie! Mówię to przede wszystkim trzeciemu i czwartemu pokoleniu [imigrantów]: ten kraj jest również waszym krajem. Walczcie o to! Demografia robi swoje” – napisała. Tak rzeczywiście będzie, i to po obu stronach Odry. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: Polacy oraz inni Europejczycy gotują swoim dzieciom i wnukom fatalny los. Jeżeli nic się nie zmieni, to nasi potomkowie będą żyli albo w zrujnowanym państwie bez rąk do pracy, z walącą się infrastrukturą i systemem społecznym, albo w kraju opanowanym przez imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu.

W 2024 r. norweski badacz dr Mads Larsen opublikował książkę, która omawia przyczyny filozoficzne i materialne zapaści demograficznej (ang. „Stories of Love from Vikings to Tinder”). Jak zauważył, cywilizacja zachodnia nie mierzyła się z tak poważnym kryzysem jeszcze nigdy w całej swojej historii. Skutki dzietności – stwierdził – są gorsze niż skutki wybuchów wulkanów, drugiej wojny światowej albo epidemii czarnej śmierci. Trudno się z tym nie zgodzić. Czarna śmierć zabrała w połowie XIV w. od 30 do 50 proc. ludności ówczesnej Europy. Zapaść demograficzna przyniesie rzeczywiście większe spustoszenie.

Co z katolikami? Jeszcze gorzej. Członkowie Kościoła będą stanowić tylko niewielką część „niedobitków” rdzennej ludności, w skali całości nowych społeczeństw po prostu promil. Tak maluje się nasza przyszłość, biorąc pod uwagę galopujący proces sekularyzacji. Według amerykańskiego Pew Research Center Polska jest najszybciej sekularyzującym się krajem na świecie. Nigdzie indziej na globie tak wiele osób w wieku 18–39 lat nie odwraca się od wiary. Błyskawicznie gonimy takie państwa jak Wielka Brytania, Belgia, Dania, Holandia, Niemcy czy Francja, gdzie większość rdzennej populacji jest niewierząca albo w ogóle niezainteresowana religią.

Za kraj ludzi wierzących długo uchodziły Stany Zjednoczone, ale to również się zmienia. Według najnowszych badań chrześcijanie stanowią 62 proc. obywateli USA, podczas gdy w roku 2007 stanowili jeszcze 78 proc. Jest dość oczywiste, że w resztkowej populacji zachodnich

narodów liczba głęboko wierzących będzie procentowo nieco większa, niemniej jednak w dużej skali tak czy inaczej mamy do czynienia z gwałtownym zamieraniem.

AFRYKAŃSKIE OBLICZE

Ten proces ma ogromne konsekwencje również dla charakteru Kościoła katolickiego. Jego oblicze będzie za dekady na dekadę coraz mniej europejsko-amerykańskie, a coraz bardziej południowe, przede wszystkim afrykańskie. Może to wywołać bardzo ciekawe skutki doktrynalne i moralne. Konserwatywni katolicy w krajach zachodnich, w tym w Polsce, są głęboko zaniepokojeni procesem zmian w nauczaniu, przez który przechodzi Kościół. Dopuszcza się do Komunii Świętej protestantów, błogosławi pary jedнопłciowe, uznaje islam za równoprawną drogę do Boga, lekceważy kapłaństwo poprzez demokratyzację i wprowadzanie świeckich do liturgii... Wszystkie albo większość tych i podobnych problemów dotyczą jednak wyłącznie krajów umierających. Tam, gdzie Kościół katolicki jest demograficznie żywotny, nikt się tym nie interesuje. W kategorię sposobu pokazał to skandal wywołany przez Watykan w grudniu 2023 r., po ogłoszeniu deklaracji „Fiducia supplicans” o homoseksualistach. Podczas gdy w wielu miejscach Europy, USA, Azji czy Ameryki Południowej zareagowano na ten tekst aprobatą, milczeniem albo słabym sprzeciwem, Afrykanie gwałtownie zawrżeli. Episkopaty na Czarnym Lądzie prześcigały się w publikowaniu oświadczeń potępiających nauczanie Franciszka. Deklarowały, że pod żadnym pozorem nie będą go realizować.

Z ich perspektywy doktrynalne szaleństwo papieża z Argentyny i jego niemieckich czy amerykańskich popleczników to przecież tylko skurcze liberalnego pseudokatolicyzmu w przedśmiertnej agonii. W styczniu 2024 r. powiedział o tym wprost kard. Fridolin Ambongo, metropolita kongijskiej Kinszaszy, jeden z członków elitarniej Rady Kardynałów. „Krok po kroku ci ludzie będą zniknąć. Oni znikną. Życzymy im dobrej śmierci” – stwierdził. Brutalne, ale zgodne z faktami. Afrykańscy katolicy musieliby być szaleni, żeby traktować poważnie to, co dzieje się w naszej przestrzeni kulturowej. Widzą obłęd i chcą go po prostu

przeczekać. Już dzisiaj Kościół katolicki w rosnącej liczbie krajów europejskich nie jest w stanie realizować pracy duszpasterskiej bez wsparcia księży z Afryki. Duchowni z Konga, Ugandy czy Tanzanii przyjeżdżają na Zachód, gdzie opiekują się grupami starszych kobiet chcących przystąpić w niedzielę do Komunii Świętej. Wkrótce te grupy znikną, a księża z Afryki wrócą do siebie; względnie zostaną w nowych krajach, żeby zajmować się dziećmi imigrantów czy konwertytami z islamu, jeżeli tacy będą.

„Quem Deus vult perdere, dementat prius” – mówili starożytni. „Kogo Bóg chce zgubić, wpierw ogłupia”. Na los cywilizacji zachodniej można spojrzeć z dwóch perspektyw, ale obie doprowadzą do tego samego wniosku. Pierwsza, katolicka, wskazywałaby, że społeczeństwa, które odwróciły się od powierzonej im przez Boga misji, nie są już po prostu do niczego potrzebne. W 70 r. po Chrystusie Rzymianie zburzyli Świątynię Jerozolimską. Dlaczego miało istnieć jeszcze żydowskie centrum kultu Boga, skoro Chrystus ustanowił nowy kult, a Żydzi nie chcieli tego uznać? Tak samo niepotrzebne byłyby już ludy świata zachodniego – miały nieść światu chrześcijaństwo, dziś przynoszą fałszywe ideologie.

Druga perspektywa jest może zgodniejsza z sensem łacińskiej maksymy. Najzwyczajniej w świecie: głupota prowadzi do katastrofy. Hedonistyczny model zachodniego życia jest właśnie głupi, wobec czego nieuchronnie prowadzi do samozagłady, tak jak wjazd na autostradę bez hamulców prowadzi do śmiertelnego wypadku.

Czy Boży wyrok już definitywnie zapadł? Albo – jeśli ktoś woli – czy osiągnęliśmy poziom szaleństwa, z którego nie da się już zawrócić? Wydaje się, że tak, ale dla kogo drogie są katolicka wiara i polska – europejska – kultura, ten nie powinien się poddawać. Okres postny i wielkanocny to dobry czas, by zastanowić się nad perspektywą autentycznego zamacia całego naszego dorobku cywilizacyjnego i podjąć adekwatne decyzje o radykalnej zmianie modelu życia, choćby w małej, indywidualnej skali. Inaczej przejdziemy do historii jako jedni z inicjatorów zagłady własnej cywilizacji.

Kto naprawdę stał za zabójstwem Kennedy'ego?



Prezydent John F. Kennedy oraz jego żona Jacqueline (po prawej) w Dallas tuż przed zamachem, 22 listopada 1963 r.

FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Niedawne kolejne upublicznienie dokumentów związanych z zabójstwem prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedy'ego nie przyniosło przełomu w kwestii rozstrzygnięcia teorii dotyczących tego bodajże najstraszniejszego zabójstwa XX w., choć rzuciło nowe światło na proceder tuszowania informacji podczas pierwotnego śledztwa przez amerykańskie resorty siłowe, w szczególności przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA). Ponad 60 lat po zabójstwie niezwykle popularnego prezydenta specjalny zespół Kongresu podjął prace rozpoznawcze co do kolejnych kroków mających potencjalnie doprowadzić do przedstawienia spójnej wersji pamiętnych zdarzeń z Dallas z 22 listopada 1963 r. i ich możliwych politycznych motywacji. Głosy specjalistów przestrzegają jednak, że samo odtajnianie archiwów nie udzieli wprost koronnych dowodów i być może potrzeba



Wojciech Golonka

Zbyt wiele starych i nowych wątków wokół JFK wskazuje na to, że doszło do zamachu stanu przeprowadzonego przez ludzi służb. A jeśli tak, to stawką w grze jest nie tylko poznanie prawdy, lecz także rozgrywka między obywatelskim państwem republikańskim a zarządzanym doraźnie, lecz skutecznie, przez pretorianów imperium

będzie kilku lat, zanim badacze przetrwają tysiące stron nowo ujawnionych dokumentów. Niemniej temat ten doskonale wpisuje się w trend obywatelskich żądań odpowiedzialności służb i rządu przed narodem, do którego zresztą nawiązywał Donald Trump w trakcie ostatniej kampanii prezydenckiej. Co więcej, wciąż „odnajdywane” są nowe akta dotyczące

zamachu w zasobach służb – w ostatnim czasie FBI poinformowało, że przekaze w tej kwestii do Archiwum Narodowego dodatkowe 2 tys. dokumentów. Innymi słowy, zarówno jako stały, tożsamościowy wręcz lejtmotyw amerykańskiej polityki, temat dla pasjonatów, spektakl polityczny odwracający uwagę od bieżących bolączek, jak i właśnie jako pewien ideowy

imperatyw uzdrawiania republiki wątek zamachu na JFK będzie jeszcze w podobnych odsłonach prawdopodobnie powracał latami, z trudnym do przewidzenia zakończeniem, do tego stopnia jest to bowiem jakby samonapędzający się bez końca mechanizm.

KOMISJA WARRENA

W rzeczy samej sprawa zabójstwa prezydenta Kennedy'ego doskonale żywi się naturalnym zapotrzebowaniem ludzkiej wyobraźni na intrygę i fabułę oraz twardą potrzebą ludzkiego intelektu poznawania prawdy z wiarygodnym wykluczeniem wątpliwości i sprzeczności. Temat ten okazał się zatem niezwykle płodny i bynajmniej nie ogranicza się do jakiejś mniejszości postrzegającej rzeczywistość poprzez pryzmat spiskowej teorii dziejów: o zamachu na JFK napisano ponad tysiąc książek, powstały o nim liczne filmy dokumentalne i fabularne, raz na jakiś czas sprawę podejmuje na nowo Kongres i, co niezwykle wymowne i istotne, aż dwie trzecie Amerykanów nie uznają głównych konkluzji pierwszej i najbardziej znaczącej komisji śledczej poświęconej tej sprawie, zwanej Komisją Warrena od jej przewodniczącego Earla Warrena, będącego ówczesnym prezesem Sądu Najwyższego USA. Komisja ta w rekordowym tempie – jej prace wraz z opublikowaniem 888-stronnicowego raportu trwały niecałe 10 miesięcy – doszła do konkluzji, że domniemany zamachowiec, Lee Harvey Oswald, działał sam oraz że nie mniej samotnie operował jego morderca. Oswald został bowiem zastrzelony dwa dni po zamachu, na oczach kamer, na terenie jednostki policyjnej w obecności kilkudziesięciu eskortujących go policjantów, przez powiązanego z lokalnym światem mafijnym Jacka Ruby'ego. I z tej też głównej konkluzji komisji wzięło się, począwszy od 1964 r., w amerykańskim codziennym języku określenie „teorii spiskowej”, choć nie miało ono wówczas pejoratywnego znaczenia i oznaczało właściwie „teorię o spisku”, określając meritum sporu, jeśli chodzi o główne konkluzje Komisji Warrena.

Istotnie, jeśli Oswald nie działałby sam – tj. jeśli działałby w porozumieniu z kimkolwiek, choćby z jedną osobą – to zamach siłą rzeczy byłby już spiskiem; podobnie rzecz ma się w przypadku „samotnego” Ruby'ego, który likwidując

Oswalda, zanim ten został formalnie o cokolwiek oskarżony, uniemożliwił jego właściwy proces z możliwością obrony i ustalenia faktów przez sąd. Ten początkowy fakt jest tu fundamentalny dla zrozumienia, czemu teoria o możliwym spisku na życie JFK (a w konsekwencji o ewentualnym zamachu stanu) jest kolportowana na przestrzeni lat, wciąż ma się dobrze, a posłuch jej dają także reprezentanci amerykańskiej władzy. Dwudziestocześcioletni Oswald, ujęty w składnicy książek, z której miał strzelać zamachowiec, był przesłuchiwany przez bite 12 godzin przez lokalną policję i FBI, z czego nie został spisany żaden protokół, a sam Oswald zaprzeczał, że był zamachowcem. Twierdził, iż jest wrabiany, oraz prosił o możliwość skorzystania z pomocy obrońcy. Jednak miejscowa policja po tym przesłucha-

Zdaniem dziennikarza śledczego Jeffersona Morleya odtajnione dokumenty świadczą o tym, że CIA ponosi odpowiedzialność za zamach na JFK

niu ogłosiła go winnym zastrzelenia prezydenta (i policjanta), werdykt ten poszedł w świat, a następnie ktoś z tejże policji najwyraźniej wpuścił rodzimego gangstera „patriotę” na teren jednostki, który zastrzelił Oswald, chcąc rzekomo zaoszczędzić Jacqueline Kennedy cierpienia związanego z długim procesem; procesem, którego możliwość została tym samym zniweczona. Powtórzmy raz jeszcze celem właściwego zrozumienia zarysu całości: tzw. teoria spiskowa wokół zabójstwa prezydenta Kennedy'ego to nie pytanie w pierwszym miejscu, skądinąd kapitalne, o to, czy w USA dokonał się wówczas zamach stanu, ale o to, czy sam zamach był w ogóle spiskiem.

Poruszymy za chwilę wątek, w jaki sposób prace Komisji Warrena przyczyniły się do zaistnienia i rozkręcenia teorii o spisku, ale zobaczmy najpierw specyficzny kontekst jej powstania. Z dzisiejszego punktu widzenia poniżej omawia-

ne rozwiązania mogą nam się wydawać niesłychane, trzeba jednak pamiętać, że w tamtych czasach, kiedy źródła informacji sprowadzały się w dużej mierze do porannych wydań gazet i wieczornego dziennika telewizyjnego, kontrolowanie narracji medialnej i nastrojów społecznych było jeszcze prostsze niż dzisiaj. A zatem w kolejnych dniach po zamachu, w atmosferze wzmożonego poruszenia społecznego i patriotycznego zjednoczenia, obie izby Kongresu udzielają zgody komisji powołanej przez nowo zaprzysiężonego prezydenta Lyndona Johnsona na wyjaśnienie zabójstwa prezydenta Kennedy'ego. Następuje tu pierwsze tąpnięcie rzutujące z perspektywy czasu na wiarygodność całego procederu: jeśli wiceprezydent Johnson nie był, na bazie dostępnych wtedy danych, przypuszczalnym spiskowcem, to był rzeczywistym beneficjentem zamachu wraz ze swymi przyjaciółmi z przemysłu zbrojeniowego, który napędził, rozkręcając od razu wojnę wietnamską wbrew dotychczasowej linii Kennedy'ego, którego to właśnie zastąpił. W konsekwencji już choćby jako czysto teoretycznie możliwy spiskowiec nie powinien był wyznaczać składu zaakceptowanej przez Kongres komisji. Wprawdzie komisja już na wstępie cieszyła się prestiżem samego Warrena, niemniej nie była wolna od rażącego konfliktu interesów, w komisji zasiadł bowiem niejaki Allen Dulles, wieloletni szef wywiadu, dość skonfliktowany z prezydentem Kennedym, którego tenże zresztą zwolnił w 1961 r. po fiasku nieudanej inwazji w kubańskiej Zatoce Świń. Co więcej, choć w komisji zasiadło kilku kongresmenów, to Kongres tym samym pozbawił się wówczas możliwości samodzielnego zbadania zamachu, a także faktem dokonany uniemożliwił departamentowi sprawiedliwości, na czele którego stał brat zamordowanego prezydenta i prokurator generalny, Robert F. Kennedy, przeprowadzenie własnego śledztwa.

Tak, umieszczenie w komisji Dullesa, specjalisty od przewrótów na świecie i świętą krowę wywiadu w ogóle, świadczyło nie tyle o obiektywności komisji, ile, jak to trafnie ujęto w pobłażliwych komentarzach, o trosce o ustalenie „prawdy politycznej”, czyli narracji zdarzeń pozwalającej wyciszyć wzburzenie i zamknąć

temat, unikając niebezpiecznych dla państwa konsekwencji. Otóż sam prezydent Johnson dał komisji do zrozumienia, że jej konkluzje nie mogą doprowadzić do wyginięcia 40 mln Amerykanów w wojnie atomowej, tj. nie można obarczyć winą za zamach ani Sowietów, ani kubańskiego reżimu, co zmusiłoby USA do wypowiedzenia tym krajom wojny. Była to skądinąd kuriozalna obawa, Kennedy prowadził bowiem mimo wszystko politykę kompromisu względem Moskwy, żywił nawet nadzieję na zakończenie zimnej wojny, a w każdym razie silnie tonował po stronie amerykańskiej frakcje twardogłowych dążących do bezpośredniego siłowego rozprawienia się z komunistyczną Kubą. Niemniej takie właśnie były ramowe założenia komisji: ustabilizować wzburzoną łódź państwową, a nie rozchwiać ją jeszcze bardziej, co najlepiej tłumaczy, dlaczego komisja w ekspresowym tempie zbudowała, owszem, na bazie faktów, silną narrację... wskazującą głównie na luki w ochronie prezydenckiej. Tak, to polityczny cel komisji, który zakładał także pośpiech, tłumaczy, dlaczego nie uwzględniano świadectw kolidujących z pożądaną wówczas „prawdą polityczną” do ustanowienia, unikając jednocześnie otwarcia puszk z Pandorą.

MAGICZNY NABÓJ

Stwierdzenie powyższego cyniczno-pragmatycznego paradygmatu nie oznacza jeszcze, że sam spisek miał miejsce, niemniej już sama wytrwałość, z którą siedmiosobowa komisja potrafiła naginać twardą rzeczywistość, mogła jedynie napędzać teorię o spisku w umysłach przywiązanych do praw logiki. Według komisji Oswald oddał łącznie trzy strzały, z czego jeden z nich – raniący zarówno prezydenta, jak i podróżującego z nim gubernatora stanu Teksas Johna Connally’ego – musiał dokonać niesamowitej akrobacji czasowo-przestrzennej, aby wywołać przypisywane mu obrażenia, tak że wytłumaczenie podane przez komisję było nie tyle nieprawdopodobne, ile wręcz niemożliwe. Komisja doszła do konkluzji, że nie ma elementów świadczących, aby Oswald czy Ruby działali z kimś w porozumieniu, ale to właśnie niewy-



starczalność jej założeń do wytłumaczenia faktów wskazywała na słuszność teorii o spisku: musiały paść przynajmniej cztery strzały, co oznacza istnienie co najmniej drugiego strzelca, a więc działanie w porozumieniu, a zatem spisek. Kwestie te były poruszane w różnych publikacjach bezpośrednio po ogłoszenie raportu komisji, natomiast prawdziwie byka za rogi wziął wówczas prokurator okręgowy Nowego Orleanu Jim Garrison, który w 1966 r. podjął śledztwo w zakresie własnej jurysdykcji, jako że wiarygodne dlań informacje wskazywały na powiązania agenturalnego światka z Luizjaną z Oswaldem. Wprawdzie oskarżony przezeń o spisek na życie prezydenta Kennedy’ego lokalny przedsiębiorca Clay Shaw został uniewinniony z racji braku dostatecznych dla ławników dowodów, jednakże argumentacja Garrisona mocno podważyła główne konkluzje Komisji Warren, wydobyła na światło dzienne możliwe powiązania CIA wokół samego Oswalda, wskazała na możliwy charakter zamachu stanu całego przedsięwzięcia... i „wywołała” serię kilku seryjnych samobójstw lub tragicznych zgonów, zanim wyznaczeni przezeń zainteresowani zdążyli stanąć przed obliczem wymiaru sprawiedliwości, odchudzając tym samym materiał dowodowy przeciw Shawowi.

Ubiegając nieco chronologię, w 1991 r. znany reżyser Oliver Stone spopulary-

zował sylwetkę Garrisona i jego ustaleń w dreszczowcu „JFK”, uświetnionym wieloma hollywoodzkimi gwiazdami, z Kevinem Costnerem i Tommym Lee Jonesem na czele. Film ten mimo elementów fabularyzacji miał ewidentne walory filmu dokumentalnego, ale przede wszystkim, mimo wywołanych przezeń sporów natury merytorycznej, spowodował w 1992 r. przegłosowanie przez Kongres Ustawy o zasobach dokumentalnych dotyczących zabójstwa prezydenta Johna F. Kennedy’ego, nakazującej amerykańskiemu archiwum narodowemu zestawienie tejże dokumentacji i przygotowanie jej upublicznienia do października 2017 r. (pierwotnie akta tej sprawy były utajnione na 75 lat z racji bezpieczeństwa narodowego, choć sama Komisja Warren publikowała 26 tomów swych ustaleń).

Kongres jednak zdążył otrząsnąć się już wcześniej ze swej pierwotnej abdykacji w tej sprawie – w 1976 r. powołano komisję mającą zbadać sprawę zabójstwa prezydenta Kennedy’ego oraz Martina Luthera Kinga, która to w 1979 r. obaliła sedno ustaleń Komisji Warren, orzekając wysokie prawdopodobieństwo dwóch strzelców oraz prawdopodobieństwo, że prezydent Kennedy został zamordowany w wyniku spisku, którego to zakresu komisja nie była jednak w stanie zbadać ani ustalić. Innymi słowy, nieco ponad 15 lat po zamachu Kongres uczynił swoją teorię o spisku, nakleił na puszcę etykietę „Pandora”, choć zabrakło mu odwagi, aby otworzyć wieko i zajrzeć do środka.

CO ZOBACZYŁ TRUMP?

Bliżej nas, w październiku 2017 r., zgodnie z ustawą Donald Trump odtajnił – ale tylko część – zasoby dotyczące zabójstwa prezydenta Kennedy’ego, w dodatku częściowo zredagowane, czyli ocenzone. Kolejne publikacje miały miejsce za prezydentury Joe Bidena i w końcu, w marcu br., nastąpiło upublicznienie ponad 60 tys. stron dokumentów. Jednocześnie z polecenia Donalda Trumpa różne amerykańskie służby mają sprawdzić, czy posiadają dodatkowe akta w tej kwestii, i tak FBI raportowało w marcu namierzenie 14 tys. stron dokumentów nieprzekaza-

nych jeszcze do Archiwum Narodowego, które zajmuje się ich upublicznieniem. Czy ta istna telenowela będzie miała kiedyś w końcu swój koniec i czy wyniknie z niej coś konkretnego? Otóż popularny amerykański podcaster i sędzia w stanie spoczynku Andrew Napolitano w rozmowie z Jeffreyem Sachsem mówił, że zapytał Donalda Trumpa na sam koniec jego pierwszej kadencji, dlaczego nie zrealizował swej obietnicy odtajnienia całości dokumentacji sprawy JFK. Trump miał mu wówczas odpowiedzieć: „Gdybyś zobaczył to, co mi pokazano, też byś ich nie upublicznił. Kiedyś, kiedy nie będziemy rozmawiać z 15 osobami przysłuchującymi się naszej rozmowie telefonicznej, powiem ci”.

Być może Trump będący wówczas pod ogromną presją po przegranych wyborach po prostu mocno koloryzował tę kwestię, nic podobnego kalibru nie zostało bowiem dotychczas odtajnione. Prawdą jest natomiast, że wielu ludzi w jego administracji szczerze chce wyjaśnienia tej sprawy do końca. Robert Kennedy Jr. twierdzi, że pierwsze podejrzenie jego ojca po zabiciu jego wujka dotyczyło amerykańskich służb; jak wiadomo, sam RFK zginął w 1968 r. z rąk zamachowca w Kalifornii, w chwili kiedy miał realne szanse wygrania praw wyborów demokratów otwierających mu drogę do Białego Domu. Amaryllis Fox Kennedy, była agentka CIA, a synowa Roberta Kennedy’ego Jr., pracująca obecnie w administracji Trumpa, powiedziała, że jednym z jej celów jest wyjaśnienie, czy prapradziadek jej dzieci zginął z rąk własnego rządu, po to, aby podobna tragedia nigdy się nie wydarzyła. Tę intencję badawczą można bez problemu rozszerzyć na samego Johna Kennedy’ego. Z kolei dyrektor Wywiadu Narodowego USA, Tulsi Gabbard, raz po raz deklaruje pracę nad przywróceniem transparentności i odpowiedzialności amerykańskich służb, aby odbudować do nich zaufanie oraz zakończyć wykorzystywanie ich przez rząd przeciw obywatelom – sama Gabbard została bowiem wpisana na

CIA pracowała nad ukrytym przekazywaniem Izraelowi technologii broni jądrowej, czemu JFK się sprzeciwiał

listę obserwacji krajowego terroryzmu 24 godziny po tym, jak skrytykowała nie-demokratyczną nominację Kamali Harris w ostatnich wyborach prezydenckich. I choć nie ma to bezpośredniego związku z zabójstwem prezydenta Kennedy’ego, to właśnie od tego wydarzenia panuje u części Amerykanów przekonanie, że utracili demokratyczną kontrolę nad państwem, które zostało w ich przekonaniu przejęte przez resorty siłowe. To jest coś, o czym mówi np. Jeffrey Sachs.

EPILOG

1 kwietnia br. odbyło się w Kongresie posiedzenie zespołu do spraw odtajnienia dokumentów JFK, na które przewodnicząca Anna Paulina Luna zaprosiła, w roli ekspertów, wspomnianego Olivera Stone’a, badacza Jamesa DiEugenia oraz dziennikarza śledczego Jeffersona Morleya. Podczas ich wypowiedzi wybrzmiało, że „dopiero poznajemy prawdę”, a Morley oznajmił, że odtajnione dokumenty świadczą o tym, iż aż trzech członków CIA skłamało przed Komisją Warrena, gdyż wbrew ich oświadczeniom Oswald był pod jej nadzorem już

od 1959 r. – stąd jego zdaniem albo CIA nie zapobiegła zamachowi w wyniku jakiejś niekompetencji, albo wprost brała w nim udział – ale w obu przypadkach ponosi za niego odpowiedzialność. Być może nie tylko ona: mniej wybrzmiewająca, ale potwierdzony w odtajnionych aktach jest wątek współpracy Mosadu z CIA. Co istotne, wiadomo to z innych źródeł, w tym z zeznań szefa kontrwywiadu Jamesa Angletona (który przed śmiercią miał powiedzieć, że wkrótce skończy w piekle obok Dullesa). CIA pracowała nad ukrytym transferem Izraelowi technologii broni jądrowej, czemu sprzeciwiał się JFK i zmierzał do inspekcji izraelskiego ośrodka badań jądrowych Dimona na pustyni Negew.

W pewnym sensie zbyt wiele starych i nowych wątków wokół prezydenta Kennedy’ego prowadzi do jego kursu kolizyjnego z CIA – wymieniłem tu tylko kilka z nich – aby teoria o zamachu stanu przez ludzi służb nie miała podstaw prawdopodobieństwa, a jeśli tak, to stawką w grze nie jest li tylko poznanie prawdy, jeszcze mniej jest nią wymierzenie sprawiedliwości, po 60 latach niewykonalne, ale rozgrywka między obywatelskim państwem republikańskim a zarządzanym doraźnie, lecz skutecznie, przez pretorianów imperium. Dodajmy czysto hipotetycznie, że jeśli JFK rzeczywiście zginąłby w wyniku spisku rodzimych służb na skutek blokowania transferu broni atomowej Izraelowi, to byłby to rzeczywiście „zrozumiały” powód, takiego kalibru, o jakim wspomniał Trump w rozmowie

z sędzią Napolitano. Wtedy rząd USA i wszyscy jego pierwotni transparentności nie podzieliliby się tą informacją z narodem dopóty, dopóki zagrażałaby ona pozycji i bezpieczeństwu Izraela. Wówczas telenowela z kolejnymi nieprzełomowymi aktami wokół zamachu wydawałaby się najbardziej rozsądnym politycznie rozwiązaniem, przynajmniej dopóty, dopóki sojusz amerykańsko-izraelski pozostaje nadrzędnym imperatywem polityki Waszyngtonu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czołówka gazety „Deseret News” z 28 września 1964 r. ogłasza: Lee Harvey Oswald zabił JFK, nie było spisku FOT. DESERET.COM/UTAH

Na sam początek pozwolę sobie przytoczyć kilka liczb ilustrujących skalę problemu, o którym będziemy mówić. A był on nielichy. Otóż według statystyk stołecznej policji w roku 1933 w Warszawie zgłoszonych zostało ponad 2 tys. kradzieży kieszonkowych, 13 tys. włamań do mieszkań i ok. 14 tys. przestępstw zakwalifikowanych do kategorii „kradzieże inne”. Przynajmniej morderstwa należały do rzadkości, bo odnotowano ich zaledwie 40. Nie najlepiej o ówczesnych stróżach prawa świadczy ich niska skuteczność w łapaniu złodziei – zaledwie jedna trzecia skradzionych „fantów” wracała do swoich pierwotnych właścicieli. Z tego powodu wiele ofiar przestępców po odkryciu ubytku w swoim dobytku zamiast na komisariat szło na targowisko na placu Kercelego na Woli, gdzie – jeśli wiedziało się, u kogo pytać – można było kupić wszystko, w tym swoją własność. Dość często swoich porwanych pupili poszukiwali tu zdesperowani właściciele rasowych psów. Bywało też tak, że okradzionemu warszawiakowi dostarczano list z propozycją spotkania i negocjacji zwrotu skradzionej własności za odpowiednią opłatą. Zamiast liczyć na pomoc potykających się o własne nogi policjantów, ofiary przestępstw często szły ze złodziejami na taką ugodę.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Przedwojenny świat przestępczy ściśle wiązał się z ówczesnym marginesem społecznym, złodzieje rekrutowali się spośród mieszkańców warszawskich dzielnic biedy, takich jak Wola czy Stare Miasto. Ciężkie warunki mieszkaniowe, ubóstwo, brak wykształcenia i perspektyw na lepszą przyszłość przynosiły owoce w postaci straszliwej degeneracji moralnej i umysłowej przedstawicieli proletariatu. W rodzinach robotniczych zajmowanie się kradzieżą nie było uznawane za naganne i nikt się w owych środowiskach specjalnie ze swą przestępczą działalnością nie krył. Kryli za to takiego delikwenta sąsiedzi, utrudniający organom ścigania pościg za nim. Posiadanie w kamienicy lokatora powiązanego z półświatkiem uchodziło za świetny sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa – niepisany kodeks honorowy zabraniał okradania sąsiadów, choć kategorię tę różne „szkoły” interpretowały na swój sposób. Niektórzy rabusie

W złodziejskiej Warszawie



Łukasz Czarnecki

Kultura popularna wykreowała romantyczny obraz przedwojennych polskich przestępców. Kojarzą nam się oni ze szlachetnym kasierzem dżentelmenem Henrykiem Kwintą z filmu Juliusza Machulskiego, „polskim Arsenem Lupinem” – Szpicbródką – czy morowymi „chłopakami z ferajny” z warszawskiej Woli. W rzeczywistości jednak półświatek II Rzeczypospolitej był środowiskiem brutalnym i moralnie zdegenerowanym



Przestępca znakujący dom szyfrem złodziejskim (podwójne koło – nie ma nic do wzięcia) FOT. NAC

rozciągali swoją ochronę na całą ulicę, podczas gdy inni ograniczali się tylko do budynku, w którym mieszkali.

Skoro już o kodeksie honorowym wspomnieliśmy, to warto nieco zagłębić się w ów temat. Nierozzerwalnie łączy się on z subkulturą apaszów, w ramach której działała przestępcza brać międzywojennej Warszawy. Tylko prawdziwy apasz cieszył się w półświatku szacunkiem. Co ciekawe, ten ostatni nie korelował z dochodami, które kryminalista osiągał dzięki swej działalności. Przykładowo: stosunkowo majątni byli sutenerzy, z których niektórzy gromadzili prawdziwe fortuny. Mimo zasobności portfeli alfonsi znajdowali się jednak na samym dnie drabiny społecznej przestępczego świata. Powód był prosty: „uczciwi złodzieje” zarabiali na chleb i wódkę pracą swoich rąk, podczas gdy sutenerzy pasożytnicowali na prostytutkach, którym odbierali utarg. Nie pieniądź świadczył o pozycji apasza, lecz styl, w jakim dokonywał swych czynów. Największym szacunkiem otaczano złoczyńców posiadających specjalistyczne umiejętności i cechujących się brawurą. Dlatego wyższe sfery złodziejskie obejmowały otwierających zamki klawiszników, a za prawdziwych książąt półświatka uchodzili kasiarze.

Narodziny kultury apaszów sięgały początków XIX w. Po upadku I Rzeczypospolitej Warszawa stoczyła się do rangi miasta prowincjonalnego. I to dodajmy – drugiej kategorii. Pociągnęło to za sobą zubożenie mieszkańców i ogólny rozkład tkanki miejskiej. Nocami ulice były bardzo słabo (lub w ogóle) oświetlone, zaborcze władze nie inwestowały w infrastrukturę i bezpieczeństwo. Wszystko to sprzyjało eksplozji przestępczości, dla przedstawicieli miejskiej biedoty okradanie tych, którym wiodło się choć minimalnie lepiej, stało się normalną drogą zapewniania sobie środków do życia. Intrygującą kwestię stanowi to, że bardzo szybko w dziedzinie działalności przestępczej skończyła się „wolna amerykanka” w stylu „łap, co jest, i daj nogę”, ustępując miejsca wysoce rozwiniętym specjalizacjom, o których będzie mowa w dalszej części artykułu. Co więcej, wykształciły się złodziejskie tradycje, których pod groźbą surowych kar bezwzględnie przestrzegano, a niektóre proletariackie rodziny przemieniły się w dziedziczne klany kryminalistów,



w których ojcowie lub (gdy ci pierwsi właśnie siedzieli w więzieniu) dziadkowie uczyli młodsze pokolenia sposobów obrabiania „frajerów”. Ukonstytuowały się nawet formalne instytucje, stanowiące jakby mroczne odbicie tych z normalnego świata. I tak w przededniu pierwszej wojny światowej w Warszawie działało kilka złodziejskich akademii, gdzie na wykładach i ćwiczeniach młodzi poznawali tajniki zawodu. Uczelnie te miały na wyposażeniu specjalistyczny sprzęt, taki jak choćby manekiny z dzwoneczkami, na których swe umiejętności doskonalili kieszonkowcy, a funkcję profesorów pełnili otoczeni powszechnym szacunkiem starzy emerytowani złodzieje! Z kolei rozwiązywaniem konfliktów w łonie półświatka zajmowała się tzw. dintojra, czyli złodziejski sąd, w którym zasiedli biegli w zwyczajowym prawie apaszów sędziowie. Do najślawniejszych należał niejaki Cil Wajman, eksławamywacz pracujący jako pucybut na Dworcu Gdańskim.

PRAWO ULICY

W II Rzeczypospolitej warszawski świat przestępczy funkcjonował równie dynamicznie, co w czasach carskich. A można wręcz powiedzieć, że rozkwitał w słońcu niepodległości, gdyż polski kodeks karny był o wiele łagodniejszy niż rosyjski. Dość rzec, że maksymalna kara

za przywłaszczenie sobie cudzego mienia wynosiła pięć lat, a i ona była rzadko zasądzana. Złodzieje zaliczali zatem stosunkowo krótkie odsiadki. Po wyjściu na wolność nie spotykali się z ostracyzmem, dla warszawskiego lumpenproletariatu pobyt za kratkami, nawet wielokrotnie, stanowił zupełnie normalny element biografii. Każdy, kto parał się kradzieżą, zawsze brał pod uwagę, że noga może mu się powinąć i przyjdzie udać się na turnus wypoczynkowy na koszt państwa. Dla młodego narybku odsiadka stanowiła rytuał przejścia, właśnie za kratkami przechodzili inicjację czyniącą z nich dojrzałych apaszów.

Od apasza wymagano solidarności z współbraćmi w niedoli. Surowo zakazywano walk wewnętrznych, a wszelkie zatargi miała rozwiązywać dintojra. Piękna teoria nie łagodziła jednak aż tak bardzo obyczajów, krwawe bójki należały do codzienności na Pradze czy Woli. Gdy w sercach kotłowała się wściekłość, a do głów uderzała wódka, w niejednej melinie w ruch szły pięści, rozbite o blat stołu butelki, a nawet noże będące na wyposażeniu każdego prawdziwego syna ulicy. Szczęśliwie, choć krew tryskała na ceratę i podłogę, do zabójstw dochodziło względnie rzadko. Apasze wystrzegali się także stosowania przemocy w trakcie kradzieży. Ci, którzy krzywdzili fizycznie swoje ofiary, uznawani byli za amatorów i prymitywów. Morderstwa rabunkowe stanowiły w związku z tym rzadką sensację, czym tłumaczyć należy legendarną aurę postaci zabójców, takich jak Hipek Wariat czy Krwawy Wiktor. Niechęć do zabijania nie wynikała jednak z jakiejś wypaczonej szlachetności czy miłośierdzia, choć takową widzieć ją chciała warszawska legenda. W rzeczywistości za postępowaniem takim przemawiała zimna kalkulacja: kary za kradzież były

Pajęczarze działali zwykle w dwójkach koedukacyjnych. W razie przydybania na cudzym strychu złodziejska para odgrywała kochanków, których przyszpiliło poządanie

Dom oznaczony złodziejskim szyfrem (dwa koła zachodzące na siebie – postępować bez obawy) FOT. NAC



■ stosunkowo łagodne, podczas gdy morderstwo w najlepszym razie zamykało zabójcę w czterech ścianach celi na długie lata, a w najgorszym posyłało na stryczek.

Apasze nie mieli za to kompletnie nic przeciwko przemocy wobec kobiet i za zupełną normę uchodziło wśród nich brutalne maltretowanie swoich partnerek. W ulicznych balladach z tego okresu nieustannie przewijał się motyw, który streścić można słowami: „bije, znaczy się kocha”. Fizyczne znęcanie, nierzadko prowadzące do obrażeń, nikogo nie oburzało, co nie znaczy, że kodeks apaszów zupełnie milczał w kwestiach kobiecych.

Zwyczajowe prawo przestępczego świata surowo zabraniało uwodzenia żon lub kochanek złodziei korzystających z wywczasów na Pawiaku lub w innym ze stołecznych więzień. Ten, kto łamał owo tabu, ściągał na swoją głowę kłopoty, a w skrajnym przypadku mógł skończyć z żelazem wepchniętym pod zebro. Podejście do tego typu trójkątów miłosnych dobrze oddawała ballada uliczna „Antek Powsinoga”, której bohater – młody, zdolny i obiecujący złodziej Antek – wskutek nieszcześliwej odmiany losu trafił za kratki. Kiedy zacy Powsinoga siedział w celi, jego narzeczona – Mańka, córka króla włamywaczy Wytrycha – miał czekać cierpliwie na swego lubego, oddała serce (i resztę ciała) innemu młodzieńcowi, który się przysunął z ubocza. Gdy wieści o zdradzie dotarły do naszego bohatera, porzucony



kochanek z rozpacz uciekł z więzienia, wtargnął na wesele niewiernej Mańki i zabił zarówno ją, jak i jej ojca. A potem zbrojny w nóż zatańczył na parkiecie, tak że: „Hej, pewnie Praga takiej zabawy / Dawno już nie oglądała... / Karetka chyba dwadzieścia razy / W tę i z powrotem wracała”. Jak łatwo zauważyć, w przypadku romansu niewierna partnerka penitencjariusza również musiała się liczyć z poważnymi konsekwencjami. Były jednak i takie kwestie, w których kodeks apaszów brał płeć piękną w obronę – adeptów złodziejskiego fachu obowiązywał zakaz okradania kobiet w ciąży.

Jak pamiętamy, żaden szanujący się złodziej nie okradał swoich sąsiadów. Źle patrzono również na przeszkadza-

nie w robocie kolegom po fachu, a już kompletnie spalony był ten, na kogo padło podejrzenie o współpracę z organami ścigania. Dla lumpenproletariatu Woli, Pragi czy innych biednych rejonów Warszawy – nieważne, czy złodziei czy zwykłych nędzarzy – policjant był zawsze śmiertelnym wrogiem, podczas gdy apasz idolem wyznaczającym normy i stanowiącym wzór do naśladowania.

PAJĘCZARZE I DOLINIARZE

Na początku XX w. zarówno warszawska policja, jak i przedstawiciele półświatka potrafili rozróżnić aż 30 różnych złodziejskich specjalności. Cieszyły się one różnym prestiżem w środowisku apaszów, o praktykantach jednych mówiono, że to „morusy”, innych szyderczo określano słowem spopularyzowanym niedawno przez byłego ministra sprawiedliwości („fujary”). Zgodnie z tym, co już powiedzieliśmy, o szczeblu w drabinie społecznej zajmowanej przez przestępcę stanowiły nie zyski z kryminalnego procederu, lecz styl, w jakim dokonywał swoich wyczynów.

Na samym dole znajdowały się niewymagające większych umiejętności zawody, takie jak potokarstwo czy pajęczarstwo. Potokarzami zwano złodziejasków okradających wozy z towarów. Ich bandy, nierzadko mające charakter rodziny, czyhały w miejscach, gdzie zatrzymywały się duże liczby pojazdów, np. koło Dworca Towarowego czy placów targowych. Przyuczające się do roboty dzieci dokonywały aktów dywersji, choćby wskazując pod koła nadjeżdżających wozów, by odwrócić uwagę furmanów, lub biegnąc z nimi i oburzając wyzwiskami. Gdy woźnica gwałtownie zatrzymywał zaprzęg lub zwalniał, by sięgnąć po bat i zdzielić nim młokosa, starsi krewni małego obwiesia przystępowali do działania, dopadali wozu, porywali z paki, co się dało, i dawali nogę. Specjalność ta, stosunkowo łatwa do opanowania, wymagała od swych adeptów głównie siły fizycznej. Nie oznacza to jednak, że parali się nią tylko młodzi – jeden z przedstawicieli otoczonego sławą potokarskiego rodu Polkowskich na akcje chadzał jeszcze w wieku 70 lat!

Podobnie długo co Polkowski aktywnie działał w branży Ślepy Olo. Ten z kolei był pajęczarzem. Mianem tym określano złodziei, którzy wędrując po dachach kamie-

nic, włamywali się na strychy, kradli bielinę i prześcieradła suszące się po praniu. W większości parali się tym ludzie młodzi, dla których pajęczarstwo stanowiło tylko pierwszy, przejściowy etap przestępczej kariery. Działano zwykle w dwójkach koedukacyjnych. W razie przydybania na cudzym strychu złodziejska para odgrywała kochanków, których przyszpiliło pożądanie. Pajęczarze nie cieszyli się ani poważaniem, ani wysokimi dochodami. Złodzieje innych branż nazywali ich fujaarami niezdolnymi do roboty umysłowej, a paserzy płacili za łupy śmiesznie małe pieniądze. Nawet wspomniany już Ślepy Olo w testamencie radził synom zmianę specjalizacji i zostanie klawisznikami.

Kwiat złodziejskiej społeczności stanowili doliniarze, których dziś określilibyśmy jako kieszonkowców. Tak intensywnie kradli oni w środkach komunikacji miejskiej, że w końcu na schodkach tramwajów warszawskich przykręcać zaczęto tabliczkę z napisem: „Strzec się złodziejów”. Standardową procedurę stanowiło rozcinanie ofierze kieszeni żyłtka, a następnie wyłuskanie z niej portfela lub zegarka. Ofiarą doliniarzy padł nawet minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj Składkowski, który stracił na ich rzecz pugilares. Wiele o skuteczności (a raczej jej braku) policji II RP mówi fakt,

Polski archetyp złodzieja dżentelmena okazał się kasiarzem wyjątkowo miernym, za to obdarzony był niesamowitym talentem do autopromocji

że mimo zaangażowania wszystkich możliwych środków organy ścigania pozostały bezradne. Portfel z zawartością wrócił do Składkowskiego, dopiero gdy poprosił o pomoc słynnego gangstera Łukasza Siemiątkowskiego zwanego Tatą Tasiemką. Wkrótce mafijny boss wręczył zgubę państwowemu dostojnikowi, upominając go przy tym surowo: „Panie minisztrze, tsha lepi pilnować złodziejów!”.

Wysoką pozycją cieszyli się w przestępczym środowisku specjaliści od okradania mieszkań. Za elitarny krąg uznawano klawiszników, którzy zajmowali się otwieraniem zamków u drzwi. Operacja taka była długotrwała i zająć mogła nawet kilka dni, mistrz w swoim fachu parę razy musiał pojawić się pod wyznaczonym na cel lokalem, by najpierw przyrządzić odcisk dziurki od

klucza z mydła, a następnie badać kształt zamka za pomocą specjalnego ołowianego „piórka”, które później nacinał tak, by stworzyć działający klucz. Branża ta wymagała prawdziwych zdolności manualnych i zimnej krwi, z reguły parali się nią starsi doświadczeni złodzieje. Ich głównym wrogiem byli oni sami, w poszukiwaniu dreszczyku emocji porywali się na coraz trudniejsze cele, bijąc kolejne rekordy brawury, która w końcu doprowadzała ich do zguby.

ARYSTOKRACJA PÓŁŚWIATKA

Prawdziwą arystokrację półświatka stanowili jednak kasiarze, czyli rabusie wyspecjalizowani w okradaniu kas pancernych. Fach ten wymagał dużej wiedzy technicznej i umiejętności skutecznego planowania. Przygotowania do skoku trwały całe tygodnie lub dłużej i wymagały szeroko zakrojonych prac, jak np. drażnienie podkopów. Kasiarzy otaczała romantyczna legenda, w dużej mierze wykreowana przez Stanisława Cichockiego vel Szpicbródkę, bodajże najsławniejszego przedwojennego włamywacza, uchodzącego za polski archetyp złodzieja dżentelmena. Sęk w tym, że co prawda Cichocki był najczęściej pojawiającym się na łamach prasy kasiarzem międzywojnia, ale z reguły stawał się bohaterem dzienników w kontekście kolejnych śmiałych skoków zakończonych kląpą i aresztowaniem. Zaryzykować można wręcz stwierdzenie, że z legendarnego „króla kasiarzy” paradoksalnie kasiarz był wyjątkowo mierny, za to obdarzony był on niesamowitym talentem do autopromocji...

Czas zakończyć nasze safari po przedwojennej złodziejskiej Warszawie. Było to miasto niebezpieczne, gdzie zbrodnia stanowiła codzienność, a parający się nią apasze niewiele mieli w sobie z klawych chłopców z ferajny z nostalgicznych filmów i powieści. Tak, warszawski przestępca posiadał swój kodeks honorowy, jednak honor ten był mocno wypaczony. I choć trudno określić normy, którym hołdowali apasze, inaczej niż jako kompletną patologię, to dopóty łasy na cudzą własność lumpenproletariusz ich przestrzegał, dopóty z dumą mógł powiedzieć o sobie niczym jeden z NPC-ów (Non-Player Character) z pierwszej części „Wiedźmina”: „Ja uczciwy złodziej jestem”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Tramwaj warszawski z 1929 r. z widoczną tablicą ostrzegawczą na dole: „Strzec się złodziejów” FOT. NAC



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Weryfikacje”

Już od 1946 r. rozpoczęły się w „polskim” Londynie weryfikacje stopni wojskowych i awansów otrzymanych podczas walki z Niemcami, a także podczas powstania warszawskiego. Powstały komisje, które przypisały sobie prawo, co komu uznać, a co nie. Podczas okupacji powstawały różne organizacje wojskowe. Niektóre z nich trafiły z czasem do ZWZ-AK (w całości lub częściowo), inne pozostały samodzielne. Prowadziły one cały czas walkę z Niemcami, ponadto organizowały profesjonalne siatki wywiadowcze, których osiągnięcia trafiały do Londynu, ale przez KG AK, bo nie miały własnych dróg łączności. Znaczna ich część została zaliczona na konto AK, z pominięciem organizacji, które na ten dorobek ofiarnie pracowały.

Brak rozliczenia okresu sanacyjnej dyktatury (1926–1939) i przejęcia całkowitej władzy nad wojskiem skutkowało tym, że po katastrofalnej wrześniowej kampanii wojennej ośrodki samorządnie tworzącej się konspiracji były przejmowane przez czynniki wojskowe określonej, „jedynie słusznej” orientacji. Z fatalnym, jak się później okazało, skutkiem dla całego Polskiego Państwa Podziemnego. Rzecz dotyczy przede wszystkim postulatu rozwijania polskiej partyzantki na terenie województw wileńskiego i nowogródzkiego, gdzie warunki były sprzyjające i istniała konieczność zwalczania za

wszelką cenę sowieckich „otriadów”, zajętych przede wszystkim wyniszczaniem ludności polskiej.

Podobnie było z obszarem objętym ludobójstwem ukraińskim. Konieczność wspomagania tych terenów (nie tylko Wołynia) bronią i ludźmi była torpedowana przez osłabienie decyzyjny, skupiony wokół płk. Jana Rzepeckiego. Uznawał on, że byłoby to... drażnienie potencjalnych sojuszników, czyli organizacji politycznych i wojskowych ukraińskich.

Po wojnie sanacyjne komisje wojskowe w Londynie decydowały o weryfikacji wojennych awansów i odznaczeń. Taki los spotkał m.in. por. Bolesława Stańczyka „Leona Lenckiego”, „Xena” z NSZ. W powstaniu warszawskim walczył w Grupie „Barry”, dowodził pocztą w Batalionie „Żośka”, przebił się przez Ogród Saski ze Starówki do Śródmieścia. Dalsze walki to Śródmieście i Czerniaków, gdzie organizował resztki „Brody 53”. W powstaniu był ranny, odznaczony dwa razy Krzyżem Walecznych, otrzymał awans do stopnia porucznika. W Londynie zaś awanse stracił, bo był... w NSZ!

Taki los spotkał bardzo wielu oficerów, niezwykle zasłużonych w konspiracji. Odniesione rany i otrzymane odznaczenia nie pomogły. Jeszcze bardziej haniebne było pozbawianie awansów nawet podoficerów, awansowanych w powstaniu. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Najmłodszy zabytek stolicy

Warszawski Pałac Kultury i Nauki posiada zajądłych przeciwników twierdzących, że nie tylko szpeci Warszawę, lecz także jest dowodem dominacji sowieckiej nad PRL. Natomiast dla turystów pozostaje symbolem stolicy oraz znaczącym punktem orientacyjnym

Inspiracją dla sowieckiego architekta, Lwa Rudniewa, były moskiewskie drapacze chmur zwane siedmioma siostrami, chociaż do wystroju stołecznej budowli wprowadzono wiele elementów typowych dla polskiej architektury. W efekcie gmach jest mieszanką socrealizmu i historyzmu, a mało znaną sprawą pozostaje fakt, że przed wojną władze Warszawy, planując rozwój miasta, rozważały budowę ogromnych rozmiarów pałacu. Miał on powstać w okolicach dzisiejszego ronda Waszyngtona i nazywać się Wieżą Niepodległości. Dziwnym trafem jego była była ludzko podobna do Pałacu Kultury i Nauki.

Projekt zatwierdzono 21 kwietnia 1952 r., inwestycję rozpoczęto kilka dni później, a ukończono w lipcu 1955 r. Budowli nadano imię zmarłego dwa lata wcześniej Józefa Stalina, ale władzom PRL nie udało się uczcić dyktatora dodatkowym pomnikiem. Nie znaleziono bowiem odpowiedniego projektu. Nawet koncepcja Xawerego Dunikowskiego wzbudziła ogólną konsternację, a premier Józef Cyrankiewicz wręcz parsknął śmiechem na jej widok.

Przy budowie pałacu zginęło 16 osób, a jego dodatkowymi ofiarami stali się samobójcy skaczący z tarasu widokowego na 30. piętrze. Było ich kilkunastu, a wśród desperatów znalazła się para zakochanych, która z powodu braku zgody rodziny na małżeństwo wyskoczyła z tarasu, trzymając się za ręce. Wprawdzie liczba samobójstw i tak była niewielka w porównaniu z paryską wieżą Eiffla, ale by uniemożliwić dalsze tragedie, zamontowano solidne kraty.

Jedną z legend związanych z Pałacem była informacja o tajnym tunelu łączącym budowlę z gmachem Komitetu Centralnego PZPR przy dzisiejszym rondzie de Gaulle’a. Było to jednak niemożliwe ze względu na mało stabilny grunt i tak naprawdę jedynym tajnym przejściem jest łącznik z toaletą przy placu Defilad. Natomiast przy Sali Kongresowej znajduje się czerwony salonik zwany Breżniewówką, do którego miała prowadzić jednoosobowa winda. Lukusowe pomieszczenie było przeznaczone na potrzeby dygnitarzy komunistycznych podczas odbywających się w Sali Kongresowej imprez.

W lutym 2007 r. PKiN został wpisany do rejestru zabytków. Wywołało to gwałtowne protesty środowisk twórczych, ale znaleźli się również zwolennicy tej decyzji. Trzeba bowiem przyznać, że Pałac jest znakomitym, a do tego zachowanym w całości przykładem architektonicznego socrealizmu. ©©

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

POLSKA W GUŁAGU



80. rocznica „wyzwolenia” przez ZSRS – Idąc na Berlin, Sowieci plądrowali Polskę, gwałcili, mordowali ludność cywilną, a po wszystkim oczekiwali wdzięczności

Zagadka Göbekli Tepe – Odkrycie w Turcji pradawnej struktury dosłownie wywraca do góry nogami naszą wiedzę na temat dziejów ludzkości

Żelazny sąd – „Ostatni pojedynek” Ridleya Scotta przypomniał widzom o średniowiecznym, przedziwnym sposobie rozstrzygania spraw kryminalnych

Cud nad Dźwiną – Łotewska państwowość rodziła się w wielkich bólach. Przeciwnikami miejscowych niepodległościowców byli nie tylko Rosjanie

Bрудna wojna Izraela – Inwazja na Liban miała być spacerkiem, a okazała się bagnem. Najbardziej hańbiącym wydarzeniem wojny była masakra w obozach Sabra i Szatila

Ambasador w siłach Stalina – Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. odmówił przyjęcia sowieckiej noty. A potem walczył o bezpieczeństwo polskich dyplomatów z moskiewskiej placówki

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Robert Bogdański

Unia Europejska postanowiła zlikwidować serbski nacjonalizm przez postawienie go pod ścianą i przeciwstawienie narodom, które uznają demokrację i rządy prawa. Ten nacjonalizm oczywiście występuje, ale niewygodny fakt, że w tych innych narodach nacjonalizmy są również silne, jest pomijany. Bo jedyny naprawdę zły nacjonalizm to przecież ten serbski

Zachodnie Bałkany to wielkie zaniebdanie Zachodu. Po tym, jak udało się ugasić walki, które w latach 90. wybuchły na gruzach upadającej Jugosławii, wykreowano sytuację tymczasową, która zamiast stabilizować, staje się coraz bardziej niebezpieczna. Rozchwianie sytuacji międzynarodowej, z którym ostatnio mamy do czynienia, sprawia, że może tam się wydarzyć nowy konflikt, i to taki, który postawi po przeciwnych stronach członków NATO. Paradoksalnie wszystko to dlatego, że wielcy tego świata byli zainteresowani tym regionem tylko w takim stopniu, żeby zachować tam spokój.

Wszystko to ma oczywiście znane uwarunkowania historyczne, nie ma tu żadnych niespodzianek. Po jednej stronie znajdują się Serbowie, po drugiej Chorwaci, nakłada się na to podział religijny, echem odbija się istnienie dualistycznej monarchii austro-węgierskiej, a na wszystkim kładzie się cień niemieckiego konceptu Mitteleuropy. Jeżeli dodać do tego czujnie zachowującą się Rosję, idącą po linii religijno-kulturowej, oraz Chiny wchodzące jako potencjalny partner handlowy i inwestycyjny, to otrzymujemy obraz skomplikowany i niestabilny.

DYSFUNKCJONALNY ORGANIZM

Obecny wzrost napięcia zaczął się w połowie marca br., gdy dwóch członków NATO – Albania i Chorwacja – podpisało w Tiranie wspólną deklarację



obronną z Kosowem. Oczywiście nie chodziło o to, że Albańczycy i Chorwaci zamierzali się jeszcze bardziej zobowiązać do wzajemnej obrony, niż dawali im to uczestnictwo w sojuszu północno-atlantycznym. Byłoby to raczej dziwaczne. Chodziło o obronę Kosowa, które jest zamieszkane w większości przez etnicznych Albańczyków, ale znajduje się na terenach uważanych przez Serbów za kolebkę ich państwowości, więc jest terytorium spornym i jego niepodległość nie jest uznawana przez Serbię ani przez Rosję, Chiny i wiele innych krajów, w tym pięć należących do Unii Europejskiej.

Nie trzeba więc było czekać nawet dwóch tygodni, aby w regionie podpisane zostało kolejne porozumienie wojskowe. Tym razem sygnatariuszami były Serbia i Węgry. Oficjalnie przedstawia się ten dokument jako zwieńczenie trwającej od wielu lat współpracy militarnej, skądinąd realnej, ale wybór momentu podpisania jest znamieny. Prezydent Serbii powiedział zresztą jasno, odnosząc się do deklaracji Albanii, Chorwacji i Kosowa: „Zrozumieliśmy przekaz” i zarzucił tym krajom

rozpętanie w regionie „wyścigu zbrojeń”. Prędko do tego porozumienia zgłosił akces prezydent Republiki Serbskiej, Milošević. Podmiotu tego nie należy mylić z Serbią. Republika stanowi część Bośni i Hercegowiny, która jest zamieszkała przez Serbów, Bośniaków i Chorwatów. Aby te nacje mogły ze sobą wspólnie żyć, wspólnota międzynarodowa narzuciła tam dość skomplikowaną strukturę, której elementem jest właśnie Republika Serbska. Ma ona swojego prezydenta, wybieranego w wyborach powszechnych, ale nie ma podmiotowości państwowej, więc nie może być stroną żadnej międzynarodowej umowy. To jednak Dodikowi w najmniejszym stopniu nie przeszkadza. Od dłuższego czasu dąży on bowiem do uniezależnienia się kierowanej przezeń części Bośni od całości kraju.

W tym miejscu warto zatrzymać się nad konstrukcją Bośni i Hercegowiny, bo jest to jeden z najbardziej dysfunkcyjnych organizmów państwowych, jakie istnieją na świecie. W największym skrócie: BiH składa się z dwóch regionów o dość wysokim poziomie autonomii, rządzonych



Przywódca bośniackich Serbów
Milorad Dodik wygłasza
przemówienie w Banja Luce,
26 lutego 2025 r.

FOT. STRINGER/AFP/EAST NEWS

tyczny, to otrzymamy receptę na eskalację problemów.

NIEMIECKA OLIVA DO OGNI

Konflikt między Dodikiem a Schmidtem i władzami centralnymi BiH koncentruje się ostatnio na tym, że Serb chce formalnie uniemożliwić działanie władz centralnych na swoim terytorium, za co został skazany i teraz trwają próby doprowadzenia go do więzienia, co jest o tyle trudne, że Dodik ma silną ochronę, a centralna policja i Interpol nie mają ochoty na strzelaninę. Dodik więc już po wyroku odwiedził Jerozolimę, Moskwę i Belgrad, wszędzie uzyskując polityczne wsparcie. Teraz czeka na kulminację próby sił. Christian Schmidt twierdzi oczywiście, że w całej tej sprawie nie chodzi o Serbów, ale wyłącznie personalnie o Dodika, a zapytany, co się stanie, gdy po aresztowaniu jego miejsce zajmie inny polityk o dokładnie takim samym nastawieniu, odpowiada, że najpierw trzeba aresztować, a potem „się zobaczy”. Oliwy do ognia dołała niemiecka wiceminister spraw zagranicznych Anna Lührmann, która na początku kwietnia przyjechała do Republiki Serbskiej po to, żeby rozmawiać z opozycją i „społeczeństwem obywatelskim”, w demonstracyjny sposób ignorując Dodika i władze Republiki. Została więc przez niego wyrzucona jako persona non grata. W dramatycznym nagraniu na X oskarżyła go o próbę zastosowania wobec niej przemocy.

Wszystko to byłoby tylko kabaretowe, gdyby nie to, że w tej napiętej sytuacji jeden fałszywy ruch może doprowadzić do eskalacji. Nie twierdzę w żadnym wypadku, że gdzieś po ulicach Banja Luki przemyka się jakiś potomek Gawriła Principa, tylko czekając na przybycie potomka arcyksięcia. Natomiast gdyby któraś ze stron – albo jakiś podmiot zewnętrzny (stawiam na Rosję) – zechciałaby dokonać provokacji, to podłoże dla niej jest żyzne. Nie pomagają w uspokojeniu sytuacji Niemcy, którzy zachowują się z poczuciem wyższości niczym gubernatorzy, mając usta pełne frazesów o praworządności, a realnie chcąc przeprowadzić swoją polityczną wolę. Pozwala im na to Ameryka, którą w gruncie rzeczy interesuje tylko to, aby był tu spokój i nie wybuchła żadna wojna. Serbowie przywiązują początkowo wielkie nadzieje do prezydentury Donalda Trumpa, sądząc, że podłączą się pod jego

działania przeciwko Unii Europejskiej, jednak się zawiedli. „Wielki negocjator” jest zajęty czym innym i tu kontynuuje politykę swoich poprzedników. Na miejscu pozostają Bruksela, Berlin, a także Moskwa i Budapeszt.

Ani Belgrad, ani Budapeszt nie mają rzecz jasna zamiaru, aby włączać Dodika do swojego porozumienia. Chodzi o wysłanie w stronę Albanii i Chorwacji sygnału zwrotnego, który brzmi mniej więcej tak: jeżeli będziecie chcieli zagrozić interesom serbskim, niezależnie od tego, w którym miejscu, to napotkacie na naszą zdecydowaną postawę. Viktor Orbán licytuje wysoko. Wchodząc w to porozumienie, pokazuje, że bez niego nic się w tym regionie nie może wydarzyć. Niemcy starały się odsunąć Węgry od spraw Bałkanów Zachodnich, nie zapraszając ich do udziału w tzw. procesie berlińskim, ale Węgrzy są zbyt doświadczeniymi graczami, aby dać się zmarginalizować. Utrzymując dobre lub przynajmniej poprawne stosunki ze wszystkimi, Orbán wszedł w polityczny dialog z Rosją i Chinami, a Niemcy neutralizuje, choćby kupując od nich broń i prowadząc wspólne inwestycje zbrojeniowe. Wskazuje się np., że porozumienie z Serbią może prowadzić do tego, że w ramach inwestowania w uzbrojenie Serbowie będą kupowali niemieckie „czołgi przyszłości” Panther KF51, które mają być produkowane w Zalaegerszeg, w fabryce koncernu Rheinmetall.

Wspomniany „proces berliński” został zapoczątkowany przez Angelę Merkel w roku 2014 i miał tchnąć życie w zamierający proces przyjmowania krajów zachodnich Bałkanów do Unii Europejskiej. Bruksela zapowiedziała otwarcie rozmów w roku 2003, co wzbudziło wielkie nadzieje w regionie, nie powiedziała tylko, że akcesja jest właściwie niemożliwa ze względu na jego niestabilną konstrukcję polityczną. Mówiono o tym, że po spełnieniu wielu „reform” kraje te zostaną przyjęte, ale nie wspomniano, iż najważniejszą zmianą powinno być w gruncie rzeczy przeobrażenie Albańczyków, Bośniaków, Chorwatów i Serbów w pozbawionych pamięci i emocji Europejczyków (nazwijmy ich „Europejczykami przeliczeniowymi”), którzy nie mieliby w głowach tego, co wydarzyło się w ich okolicy przez ostatnie kilka wieków. Rozmowy akcesyjne trwają zatem w najlepszych od ponad 20 lat, a ostatnio nawet

przez trzy nacje. Poziom autonomii jest wysoki zwłaszcza w części serbskiej, a rządzący w niej od prawie dwóch dekad „silny człowiek”, Milorad Dodik, chce ją faktycznie oderwać od kraju. Nad tym, aby się tak nie stało i aby kraj się nie rozpadł, czuwa z ramienia społeczności międzynarodowej urzędnik zwany Wysokim Przedstawicielem dla Bośni i Hercegowiny, który został powołany w wyniku porozumień z Dayton z roku 1995 kończących wojnę w Bośni. Był to czas, gdy siły międzynarodowe miały na terytorium tego kraju ponad 60 tys. żołnierzy i potrafiły realnie wymuszać posłuszeństwo. Obecnie żołnierzy jest jedynie tysiąc, ale za to uprawnienia administracyjne Wysokiego Przedstawiciela są bardzo rozległe. Jest on w gruncie rzeczy kimś w rodzaju namiestnika mogącego usuwać urzędników i zmieniać przepisy. Ostatnio, w 2022 r., zmienił ordynację wyborczą i podwyższył liczbę deputowanych w zgromadzeniu narodowym. Jeżeli dodać, że już piąty rok sprawuje tę funkcję Niemiec, Christian Schmidt, były członek gabinetów Angeli Merkel, w dodatku człowiek dość apodyktyczny i niesympa-

■ wyznaczono termin ich zakończenia na rok 2030, przy czym nie jest pewne, czy uda się terminu dotrzymać. Wtedy, w roku 2014, Merkel postanowiła po ponad dekadzie od zaczęcia rozmów o akcesji pokazać, że coś się w tej sprawie dzieje i istnieje tzw. wola polityczna. Co interesujące, data została wybrana nieprzypadkowo: początek procesu berlińskiego miał nawiązywać do rocznicy wybuchu pierwszej wojny światowej. Więcej – proces ten miał trwać tylko cztery lata i dobiec kresu w rocznicę zakończenia tej wojny. Tylko Niemcy mogli coś takiego wymyślić.

Rzuca to ciekawe światło na ich protekcyjny stosunek do regionu, związany z pochodzącą sprzed ponad 100 lat koncepcją Mitteleuropy, sformułowaną przez Friedricha Naumanna w słynnej książce wydanej w roku 1915. Nie odwołują się oni bezpośrednio do niej – choćby z tego powodu, że nie jest to potrzebne politycznie, bo mają w rękę inne, użyteczniejsze narzędzia – jednak intelektualne wzory nie giną. Jak wiadomo, pomysł Naumanna polegał na stworzeniu silnej i jednolitej przestrzeni gospodarczej z Cesarstwa Niemieckiego oraz Austrii. Miała to być przestrzeń spajana politycznie, a także językowo. Młodszy partnerem, ale jednak partnerem, miały być w tej przestrzeni Węgry, natomiast ludom bałkańskim pozostałaby po prostu rola pozbawionych podmiotowości elementów wielkiego państwa, dostarczających surowców, rekruta, siły roboczej oraz rynku zbytu. Nie ma więc powodu, aby teraz odwoływać się do Naumanna, skoro wspólna przestrzeń gospodarcza, w dodatku regulowana politycznie, już istnieje, trzeba tylko te niewielkie kraje do niej wprowadzić. Od zakończenia wojen bałkańskich Niemcy są więc największymi adwokatami tej sprawy. Wejście do UE sześciu niewielkich i w większości niestabilnych politycznie państw, które dzięki powiązaniom gospodarczym i inwestycjom w lokalne elity będą się dawały dowolnie sterować, wzmacniałoby siłę Niemiec w całej Wspólnocie. Podporządkowanie polityczne nie jest rzecz jasna dokonywane wprost, a polega na przyjęciu narracji o „wspólnocie wartości” i „demokracji”.

PRZYCZYNA CZY SKUTEK?

Kłopot tylko jest z Serbią i Serbami. W roku 2016 Gallup zrobił słynny son-

daż, w którym zapytano społeczeństwa krajów, które powstały po rozpadzie Jugosławii, czy był on dla nich szkodliwy czy też na nim skorzystali. W krajach, które weszły do Unii, saldo odpowiedzi było wyrównane, entuzjazm okazali Kosowarzy, którzy niedawno otrzymali własne państwo utrzymywane przez wspólnotę międzynarodową, natomiast w Serbii, Bośni, Macedonii i Czarnogórze od 60 do 80 proc. pytanym uznawało zdecydowanie, że ponieśli szkodę. Najgorzej czuli się Serbowie, i to niezależnie od tego, gdzie mieszkali, co nie powinno dziwić, skoro mieli w pamięci NATO-wskie bombardowania Belgradu, a po drodze utworzone zostało państwo, które zorganizowano na terenach będących historycznie kolebką Serbów. Nie ma wielu przesłanek, aby przypuszczać, że podobny sondaż zrobiony dzisiaj przyniósłby inne rezultaty.

Serbom zarzuca się więc nacjonalizm, łamanie zasad demokracji i odejście od rządów prawa. Dla Polaka po doświadczeniach z lat 2015–2023 takie oskarżenia formułowane blankietowo przez przedstawicieli Unii Europejskiej i Niemiec budzą natychmiastową czujność. Bo tutaj, podobnie jak w przypadku skazania Marine Le Pen, okazuje się, że te same działania dokonywane przez przedstawicieli różnych ugrupowań mogą być inaczej oceniane. Rządzącego obecnie Serbią prezydenta Aleksandra Vučića oskarża się np. o manipulacje wyborcze. Na czym one polegały? Na dowożeniu wyborców do komisji w Belgradzie, aby „rozwodnić” zarysowującą się tam przewagę opozycji. Czy jest to legalne? Tak, bo ci ludzie byli uprawnionymi do głosowania wyborcami. Czy jest to przyzwoite? Nie, bo była to próba zmiany geografii wyborczej metodą faktów dokonanych. Tylko dokładnie to samo miało miejsce w Polsce w wyborach w roku 2023, gdy aktywiści idącej do władzy koalicji zorganizowali w Internecie wymianę informacji, gdzie należy pojechać, aby głos jak najskuteczniej przeciwstawił się rządzącym. Nie przypominam sobie krytycznych artykułów na ten temat w niemieckiej prasie. W przypadku Serbii mamy natomiast do czynienia z wezwaniami do unieważnienia wyborów i wprowadzenia sankcji gospodarczych.

Serbowie zwracają się więc jako do możnego protektora do Władimira Putina, co nam nie wydaje się dobre, ale dla nich jest jedyną możliwą opcją. Powstaje oczywiście pytanie, czy serbska prorosyjskość jest skutkiem czy przyczyną obecnych wydarzeń. Z jednej strony bowiem trzeba pamiętać, że Rosja jako kraj tej samej religii i podobnej kultury od wieków cieszyła się w Serbii estymą, i tego, aby odwoływać się do Rosji jako do sojusznika, nie wymyślił wczoraj Vučić. Z drugiej strony, w sytuacji silnej rywalizacji politycznej Europa nie może patrzeć przychylnie na ciążenie Belgradu w kierunku Moskwy, a już na pewno pomysł, aby przyjmować do wspólnoty sojusznika Rosji, jest polityczną aberracją. Coś z tym należy zrobić. Co? Unia przyjęła najgorszą możliwą strategię. Postanowiła zlikwidować serbski nacjonalizm przez postawienie go pod ścianą i przeciwstawienie narodom, które uznają demokrację i rządy prawa. Ten nacjonalizm jest oczywiście faktem, ale niewygodny fakt, że i w tych innych narodach silne są nacjonalizmy, jest pomijany, bo jedynym naprawdę złym nacjonalizmem jest przecież nacjonalizm serbski. To budzi zrozumiałą frustrację wśród zwolenników Vučića. Natomiast jego liczni przeciwnicy, zwłaszcza ludzie młodzi, zostali przekonani przez działania unijnej i niemieckiej soft power, że to właśnie Unia jest jedynym możliwym kierunkiem, w którym ich kraj powinien się poruszać. Społeczeństwo więc rozpruto po szwie, który doskonale znamy z własnego doświadczenia. Z jednej strony są w nim ludzie przywiązani do suwerenności i własnej kultury, reprezentowani przez polityków, którzy – ujmując rzecz ogólnie – nie są demokratami najwyższej próby (choć utrzymują się pod tym względem w regionalnym mainstreamie). Z drugiej – ludzie pragnący zmian i wierzący w to, że wejście do Unii da im szanse rozwoju. Ci ostatni są cynicznie wykorzystywani, bo w istocie ich kraj ma po prostu stać się prowincją zarządzaną przez jakiegoś kolejnego wysokiego przedstawiciela. Gdy się zorientują, będzie już za późno, ale ich reakcja może być gwałtowna, bo Bałkany nie są zamieszkane przez ludzi o wyrównanym temperamencie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



BYĆ JAK AFRONIEMKA

Niemiecka modelka Martina Big słynie z zabiegów mających upodobnić ją do czarnoskórej kobiety. W tym celu przeszła serię zastrzyków z melaniną, aby mocno przyciemnić kolor swojej skóry. To jednak nie wszystko. Martina Big powiększyła sobie usta do ośmiokrotności ich pierwotnego rozmiaru. Z tego powodu ma problem z mówieniem, a pić jest w stanie tylko przez słomkę. Mimo tych wyrzeczeń modelka jest oskarżana o „blackface”, który stanowi rodzaj „przywłaszczania kulturowego”.

FOT. JAM PRESS/EAST NEWS

IDOL NA POŚLADKU

Zwycięstwo 3:0, które w pierwszym ćwierćfinałowym meczu piłkarskiej Ligi Mistrzów odniósł Arsenal Londyn nad Realem Madryt, wywołało furorę w Europie. Szczególnie zachwycił strzelec dwóch bramek Declan Rice. Pewna brytyjska influencerka, znana jako „największa fanka Arsenalu”, postanowiła w osobliwy sposób dać wyraz swojemu entuzjazmowi dla tego zawodnika. Zamierza sobie zrobić ogromny tatuaż z twarzą Rice'a... na swoim lewym pośladku.

ZŁODZIEJ W MUNDURZE

Na lotnisku w Bogocie przyłapano na kradzieży policjanta, który przeprowadzał kontrolę bagaży. Jak się okazało, funkcjonariusz komórki zajmującej się zwalczaniem przestępczości narkotykowej przywłaszczył sobie pieniądze i biżuterię z czyjejś torby. Poza tym podczas zatrzymania miał na ręku bardzo kosztowny zegarek, którego posiadania wcześniej nie zgłosił.

KARA ZA ODMOWĘ WALKI

Amerykańska szermierka Stephanie Turner ogłosiła rezygnację z kariery sportowej. Przyczyną jest nałożenie na tę zawodniczkę przez krajową federację szermierczą (USA Fencing) kary za odmowę walki z transseksualnym rywalem Redmondem Sullivanem. Turner mówi, że po tym, co zrobiła, jej niektórzy przyjaciele zachowują się wobec niej nieprzychylnie. Niemniej chce zaangażować się w działania na rzecz wykluczenia biologicznych mężczyzn z kobiecego sportu.

CENIONE MRÓWKI

Na lotnisku w Nairobi zatrzymano cztery osoby, które chciały nielegalnie wywieźć z Kenii 5 tys. królowych mrówek *Messor cephalotes*. Gatunek ten jest bardzo ceniony przez kolekcjonerów owadów. Mrówki, których łączna wartość wynosi blisko 8 tys. dol., były ukryte w pojemnikach od strzykawek. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AI coraz tańsza i mądrzejsza

Modele sztucznej inteligencji stają się znacznie potężniejsze, w miarę jak sprzęt do ich obsługi staje się wydajniejszy i bardziej opłacalny – informują naukowcy z Uniwersytetu Stanforda, podkreślając, że ich zdaniem, AI to najbardziej przełomowa technologia XXI w.

Również eksperci OpenAI – twórcy używanego obecnie przez ok. pół miliarda ludzi na świecie ChataGPT – zauważają, że koszt korzystania z danego poziomu sztucznej inteligencji maleje co roku aż 10-krotnie. Regularnie zmniejsza się także czas potrzebny na ulepsza-

nie danego modelu AI. To zaś oznacza, że sztuczna inteligencja coraz szybciej mądrzeje i coraz mocniej dogania swój ludzki odpowiednik. Według autorów raportu typowy czas, którego potrzebuje komputer, aby pokonać ludzi w danym teście, spadł z 20 lat do pięciu lat w roku ubiegłym, a obecnie wskaźnik ten zmalał do poniżej dwóch lat. „Nie widzimy powodu, dla którego te postępy miałyby się zatrzymać w najbliższej przyszłości” – czytamy w dokumencie.

Malejące ceny za korzystanie z coraz mądrzejszych modeli sztucznej inteligencji przekładają

się zaś na rosnącą popularność wśród użytkowników AI.

Zła wiadomość jest taka, że korzyści płynące ze sztucznej inteligencji nie będą równomiernie rozłożone. Tymczasem Europa niemal przespaała kolejną rewolucję. Efekt? Na obecnym boomie związanym z AI królestwują więc najbardziej dwa kraje: USA i Chiny, które na tym polu planują wyprzedzić Amerykę już w 2030 r. Tylko szybkie wdrożenie AI i rozwój potrzebnych kompetencji, może pozwolić Polsce na dalsze zwiększanie konkurencyjności w UE. Czas nagli! ©

Aż 733 mln hrywien (ok. 68 mln zł) przywłaszczyła grupa złożona z urzędników Ministerstwa Obrony i pracowników firm dostawczych zaopatrujących resort. Takie są, opublikowane na początku kwietnia, wyniki śledztwa przeprowadzonego wspólnie przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) i Specjalistyczną Prokuraturę Antykorupcyjną (SAP). Sprawa ciągnie się od ponad dwóch lat. W styczniu 2023 r. na łamach portalu „Dзерkało tyżnia” („Zwierciadło tygodnia”) ukazały się wyniki śledztwa dziennikarskiego przeprowadzonego przez Jurija Nikołowa, twórcę projektu śledczego „Naszi hroszi” („Nasze pieniądze”). Autor, porównując umowy podpisywane przez resort obrony w latach 2021 i 2023, a także analizując ceny towarów w sklepach, doszedł do wniosku, że ministerstwo podczas wojny zaczęło kupować żywność dla żołnierzy po dwu-, trzykrotnie zawyżonych cenach. Na przykład zakontraktowano jajka za 17 hrywien za sztukę, podczas gdy w sklepie w Kijowie można było zapłacić niecałe 7 hrywien za sztukę. „Złote jajka” stały się symbolem nadużyć na szczytach władzy. Wówczas ustalenia dziennikarza resort nazwał manipulacją, ale jednak wiceminister obrony podał się do dymisji. Sam minister Ołeksij Reznikow wtedy jeszcze utrzymał stanowisko, które stracił po kolejnej aferze. Cierpliwość Zełenskiego się skończyła, gdy się okazało (znów dzięki dociekliwości dziennikarzy śledczych), że urzędnicy po zawyżonych cenach kupili również mundury. I to letnie zamiast zimowych.

ŁAPÓWKI W ENERGETYCE

Teraz afera „złotych jajek”, nagłośniona przez media, została dogłębnie zbadana również przez organy państwa zajmujące się korupcją. Zarzuty postawiono pięciu osobom: byłemu szefowi departamentu w MO, właścicielce firmy dostawczej, dwóm kierownikom innych firm dostawczych i jednej osobie fizycznej. Armia kupowała żywność w pakietach produktów. Tylko 10 proc. danego pakietu stanowiły produkty najczęściej używane, takie jak mięso, warzywa czy woda. Resztę stanowiły np. przyprawy, jagody czy żelatyna, których finalnie z reguły nie zamawiano wcale. Zapłacić

Korupcja nad Dnieprem



Maciej Pieczyński

Wojna nie tylko nie położyła kresu łapówkarstwu, lecz także stworzyła nowe możliwości dla tych, którzy chcą się nielegalnie wzbogacić. Urzędnicy chętnie biorą „w łapę”, zwykli Ukraińcy zaś chętnie „w łapę” dają



trzeba jednak było za cały pakiet. W rezultacie za ziemniaki czy jajka płacono potrójną cenę.

NABU i SAP poinformowały również niedawno o wykryciu korupcji w energetyce. Pięćdziesiąt osiem milionów hrywien (ok. 5,5 mln zł) trafiło nielegalnie do kieszeni byłego wiceszefa Charkowskiej Rady Obwodowej, Wołodymyra Skorobahacza. W kwietniu 2022 r. polityk miał stworzyć grupę przestępczą celem przejęcia należącej do państwa energii elektrycznej i legalizacji zysków z jej sprzedaży. Z tego powodu wraz

ze współpracownikami kupił zawniasu trzy prywatne spółki posiadające licencję na dostarczanie prądu. Firmy te w czerwcu 2022 r. otrzymały energię elektryczną na sprzedaż od państwowego dostawcy Ukrenerho i przekazały ją kolejnej, kontrolowanej przez polityka firmie w celu sprzedania bezpośrednio konsumentom. Należne z tej sprzedaży zyski nie trafiły później do Ukrenerho, tylko na zagraniczne konta bankowe Skorobahacza.

Pod koniec marca funkcjonariusze NABU i SAP zakończyli też śledztwo



(prawie 43 ml zł). Mózgiem operacji był były oficer SBU.

ZAROBIĆ NA TRAGEDII

Ukraińscy urzędnicy nielegalnie dorabiają się nie tylko na zawyżonych cenach żywności czy mundurów dla żołnierzy, lecz także na zakupach pomocy humanitarnej dla ludności z terenów dotkniętych działaniami wojennymi. W marcu 2022 r. Charkowska Obwodowa Administracja Wojskowa (OWA), prywatna spółka Łucka Agrarna Kompania oraz Ukrzaliznycja (ukraińskie koleje państwowe) zawarły trójstronną umowę na dostawę żywności, która miała być rozdawana za darmo mieszkańcom terenów przyfrontowych, w tym wyzwolonych spod okupacji. Ówczesna szefowa Charkowskiej OWA Wiktoria Bielawcewa w porozumieniu z pracownikami łuckiej firmy podrobiła dokumenty mające świadczyć, że firma ta dostarczyła administracji obwodowej 235 t swojej produkcji. Zgodnie z umową, za tę „dostawę” Ukrzaliznycja zapłaciła 15 mln hrywien (ok. 1 430 696 zł). Pieniędźmi kolei państwowej podzielili się zamieszani w proceder urzędnicy i pracownicy kompanii agrarnej. Żywność do mieszkańców nie dotarła.

Na Ukrainie w prywatnych kieszeniach ginie również pomoc przysyłana z zagranicy. Już w październiku 2023 r. Centralny Urząd Celny Ukrainy informował, że jedna trzecia z 9 tys. skontrolowanych od początku roku transportów humanitarnych nie dotarła do ukraińskich jednostek wojskowych. Po drodze została bowiem rozkradziona.

Jedną z najbardziej skorumpowanych branż na Ukrainie jest gospodarka leśna. W tej sprawie alarmował niedawno ukraiński oddział międzynarodowej organizacji ekologicznej WWF. Niemal nieograniczone możliwości nadużyć w tej sferze związane są z tzw. wycinką sanitarną. Drzewa martwe, suche lub chore są wycinane. Tak się składa, że takich drzew szczególnie dużo znajduje się w lasach nieprzeznaczonych do eksploatacji, choćby w dzikich Karpatach Ukraińskich. W rzeczywistości ekspertyzy są często fałszowane po to, by pozyskać drewno. Sytuacja pogorszyła się po inwazji rosyjskiej. Stan wojenny sprawia, że kontrole w leśnictwach są ograniczone.

w sprawie korupcji w sferze handlu węglem. Ołeksandr Chejło jako wiceminister energetyki miał przyjąć 500 tys. dolarów amerykańskich (prawie 2 mln zł) łapówki za wydanie pozwolenia na wywóz sprzętu górniczo-wydobywczego z rejonu przyfrontowego. Urzędnik miał działać w zмовie z kierownikiem jednej z kopalń na Donbasie. Łapówkę wręczył kierownik kopalni z zachodu kraju. W zamian to jego przedsiębiorstwo otrzymało (na przechowanie podczas wojny, ale z możliwością wykorzystania) cenny sprzęt z Donbasu. Afera w tej sprawie

wybuchła w sierpniu 2024 r. Wówczas śledczy przyłapali Chejłę na wręczaniu łapówki. Wiceminister został zatrzymany i stracił stanowisko.

Również w marcu śledczy skierowali do sądu sprawę korupcji w wołyńskim urzędzie celnym. Tym razem chodzi o proceder, który miał miejsce jeszcze przed wojną, bo w latach 2018–2019. Celnicy nielegalnie zmniejszali opłaty celne za cenne towary (fałszując w tym celu dokumenty), importowane na Ukrainę, narażając skarb państwa na stratę w wysokości ponad 475 mln hrywien

Miesiąc temu NABU i SAP wysłały na ławę oskarżonych byłego zastępcę szefa Dniepropietrowskiej Obwodowej Administracji Państwowej (ODA) Wołodymyra Orłowa. O sprawie stało się głośno jesienią ub.r. Na początku 2024 r. jedna z firm prywatnych postanowiła wydzierżawić działkę leśną o powierzchni 19 ha dla celów rekreacyjnych. Właściciel przedsiębiorstwa złożył w tej sprawie oficjalny wniosek do ODA. Otrzymał odpowiedź odmowną. Nie zamierzał jednak rezygnować. Jeszcze kilkukrotnie zwracał się oficjalnie do władz obwodu. Za każdym razem urzędnicy odrzucali wnioski. Po którejś próbie z firmą skontaktował się wiceszef administracji. Poinformował, że wydzierżawi działkę, ale za 200 tys. dolarów amerykańskich (ok. 781 220 zł), które trafią bezpośrednio do jego kieszeni.

Sami Ukraińcy zdają sobie sprawę z tego, że korupcja jest drugim – po agresji rosyjskiej – największym problemem w ich kraju. Tak wynika z sondażu przeprowadzonego kilka miesięcy temu przez firmę Info Sapiens na zlecenie Narodowej Agencji do spraw Zapobiegania Korupcji (NAZK). – Na stosunek społeczeństwa do korupcji wpływa wiele czynników, w tym zmęczenie wojną, tradycyjnie niski stopień zaufania do państwa oraz częste nagłaśnianie przypadków korupcji w mediach – stwierdził w oficjalnym komunikacie szef NAZK, Wiktor Pawluszczuk.

W Indeksie Percepcji Korupcji, prowadzonym przez Transparency International, w 2024 r. Ukraina zajmowała 105. miejsce na 180 krajów, otrzymując 35 pkt na 100 możliwych. To o jeden punkt mniej niż rok wcześniej. Ówczesny 36-punktowy rezultat i tak był najlepszym w historii państwowości. Najgorszy (w 2013 r.) wynosił 25. Przy czym ranking bierze pod uwagę nie tyle skalę korupcji, ile stopień świadomości konieczności walki z tą patologią.

W ubiegłym tygodniu Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii opublikował wyniki prowadzonych w 2024 r. badań dotyczących nastrojów społecznych. Ukraińców pytano o to, czy konkretne zjawisko jest głównym problemem kraju. Wojnę za taki problem uznało 95 proc., korupcję zaś – 92 proc. respondentów. 49 proc. pytanym stwierdziło, że poziom korupcji podczas wojny

wzrósł, 35 proc. – że się nie zmienił. Tylko 5 proc. zauważyło spadek.

SYZYFOWA PRACA

Po inwazji rosyjskiej przez kilka miesięcy opinia publiczna nad Dnieprem zajęta była głównie mobilizacją ponad podziałami do walki z wrogiem zewnętrznym. Dość szybko jednak pojawił się front wewnętrzny. Media zaczęły nagłaśniać kolejne afery korupcyjne, a Zełenski – zwalniać przyłapanych na nadużyciach urzędników. Nie można więc powiedzieć, że ukraińskie media i władze milczą na temat korupcji. Jest dokładnie odwrotnie. Problem w tym, że co rusz wybuchają kolejne afery. Łapówkarstwo wydaje się tak mocno na Ukrainie zakorzenione, że walka z nim to syzyfowa praca. Zwłaszcza że korupcja nie jest tylko przypadkiem urzędników czy polityków – „w łapę” daje również wielu zwykłych Ukraińców.

**Wielu Ukraińców nie chce
ryzykować życia w obronie
zdegenerowanego,
przeżartego korupcją państwa**

Lekarzom, żeby dostać odpowiednie orzeczenie zwalniające z obowiązku służby wojskowej. Pogranicznikom, żeby wydostać się z kraju i – znowu – uniknąć ryzyka pójścia na front. Na początku marca Służba Bezpieczeństwa Ukrainy poinformowała o anulowaniu 470 fałszywych zaświadczeń medycznych o niepełnosprawności, wydanych w Charkowie mężczyznom w wieku poborowym. Dokumenty wydawane były za pieniądze przez pracowników Ekspertkiej Komisji Medyczno-Socjalnej (MSEK). To nie pierwszy skandal związany z tą instytucją. Trudno się dziwić – na Ukrainie władzę, a zatem pieniądze, ma ten, kto decyduje o ewentualnym wysłaniu na front. W październiku 2024 r. ukraińskie służby zatrzymały Tetianę Krupe – szefową oddziału MSEK w obwodzie chmielnickim, a zarazem deputowaną do rady obwodowej z ramienia prezydenckiej partii Sługa Narodu. W jej domu znaleziono równowartość ok. 6 mln dol. w różnych walutach. Według opublikowanych niedługo później

ustaleń dziennikarza śledczego Jurija Butusowa 51 prokuratorów w obwodzie chmielnickim otrzymało orzeczenie o niepełnosprawności. Fałszywe dokumenty nie tylko pozwalały im uniknąć służby w armii, lecz także dawały prawo do pobierania renty. „Niepełnosprawny” był również sam kierownik obwodowej prokuratury, który po tym, jak wybuchła afera, podał się do dymisji. Dziennikarze śledczy ujawniali podobne praktyki w innych regionach. Sprawą systemowo zajęła się Prokuratura Generalna. Okazało się, że w obwodach czerkaskim i chmielnickim prawie 30 proc. prokuratorów to były osoby „niepełnosprawne”. W pozostałych obwodach od 5 do 10 proc.

Z jednej strony skala łapówkarstwa na szczycach władz działa na społeczeństwo demobilizująco. Wielu Ukraińców niechętnie chce ryzykować życie w obronie zdegenerowanego, przeżartego korupcją państwa. Z drugiej strony, żeby tego życia nie ryzykować, sami wręczają łapówki. Koło się zamyka. Rak korupcji nie daje się wyleczyć. W warunkach wojny z Rosją jest to choroba szczególnie niebezpieczna, bo utrudnia mobilizację. Zamrożenie bądź zakończenie konfliktu raczej nie przyniesie zmian na lepsze. Dopóki trwa wojna, dopóty priorytetem mimo wszystko jest walka z wrogiem zewnętrznym. W warunkach pokoju na nowo rozgorzeje walka z wewnętrznym wrogiem politycznym. Ukraińscy urzędnicy, dziś kradnący pomoc dla ludności czy wyposażenie dla armii, znajdą sobie nowe sposoby na wzbogacenie się. Albo wrócą do poprzednich. Tych sprzed wojny. Skoro wspólne zagrożenie dla bytu państwowego nie zmobilizowało ani ukraińskich elit, ani ukraińskiego społeczeństwa do naprawy państwa, to trudno sobie wyobrazić, żeby taka naprawa w najbliższym czasie była możliwa. Sądzi się, że nawet zmiana władzy. Problemem nie jest prezydent Wołodymyr Zełenski, tylko są nim system i mentalność ludzi w tym systemie funkcjonujących. Trzeba przyznać, że nad Dnieprem z jednej strony wciąż panuje wolność słowa, a dziennikarze śledczy bez przeszkód nagłaśniają kolejne afery, z drugiej zaś strony odpowiednie służby państwowe podejmują walkę z patologiami. Jednak sam fakt, że ciągle jest co nagłaśniać i z czym walczyć, optymizmem napawać nie może.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kant Tuska i von der Leyen

Czy szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i premier Polski Donald Tusk stoją na czele zorganizowanej grupy przestępczej?

Zorganizowanej grupy przestępczej, która „działając wspólnie i w porozumieniu”, dopuściła się oszustwa na obywatelach Polski, celowo wprowadzając ich w błąd – po to, żeby powolny reprezentowanemu przez von der Leyen obozowi brukselsko-berlińskiemu obóz polityczny Tuska w Polsce umocnił swą władzę poprzez zdobycie dla siebie urzędu prezydenta RP?

A oszustwo, którego von der Leyen i Tusk, „działając wspólnie i w porozumieniu”, mieli się dopuścić, polegałoby na – z grubsza rzecz biorąc – niezgodnym z zasadami rządzącymi UE poluzowaniu Polsce w roku wyborów prezydenckich przez KE, którą kieruje von der Leyen, reguł obowiązujących w UE.

Albowiem Polsce pod rządami Tuska, jako państwu członkowskiemu UE objętemu procedurą nadmiernego deficytu – a są nią obejmowane państwa, które mają deficyt budżetowy wyższy niż 3 proc. PKB, a Polska ma ten deficyt ponad dwukrotnie wyższy od 3 proc. PKB – KE pod rządami von der Leyen zezwoliła na utrzymanie w 2025 r. – roku wyborów prezydenckich – owego deficytu na poziomie aż 5,5 proc. (wobec aż 6,6 proc. w 2024 r.).

Czyż to nie wyczerpuje znamion przestępstwa oszu-

stwa poprzez działanie w zorganizowanej grupie przestępczej z zamiarem przejęcia pełnej kontroli nad władzą ustawodawczą i wykonawczą RP? Bo w warunkach polskich rozwiązań konstytucyjnych dopiero przejęcie przez obóz rządowy urzędu prezydenta RP na to pozwala.

A czym to przeprowadzone „wspólnie i w porozumieniu” przez Warszawę i Brukselę (czyli Berlin) oszustwo skutkowałoby po przejęciu pełni władzy w Warszawie przez powolny Brukseli (czyli Berlinowi) obóz Tuska?

Ano – z jednej strony, z kopyta ruszyłby buksujący na razie proces powrotu do leworządności, czyli – cytując „króla Europy” – do „praworządności takiej, jak my ją rozumiemy”. A z drugiej strony – na głowy Polaków zwaliłyby się, jedno po drugim, nowe podatki i wielkie oszczędności budżetowe, dziś ukrywane przed nami dzięki owemu oszukańcemu poluzowaniu reguł fiskalnych przez KE kierowaną przez von der Leyen, wprowadzonemu w RP tylko w roku wyborów prezydenckich – po to, żeby wesprzeć „swoich ludzi” w Warszawie, czyli obóz Tuska. I już od 2026 r. śruba zostałaby mocno przykręcona, bo deficyt finansów publicznych ma spaść wtedy o 1 pkt proc., a w kolejnych dwóch latach po 0,8 pkt. proc. co roku, co oznacza nakaz zmniejszenia w tym czasie wydatków lub/i zwiększenia podatków o grubo ponad 30 mld zł co roku. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PRL pozdrawia

Do któregoś z polskich portów morskich wchodzi wielki, zagrańczy wycieczkowiec. Na pokładzie i na balkonach kabin setki pasażerów, większość z aparatami i komórkami, chcą utrwalić moment przybycia do Polski. Nie wiedzą jeszcze, że właśnie cofają się w czasie o kilkadziesiąt lat. W pewnym momencie z głośników wewnętrznego radiowęzła płynie komunikat: „Na terenie portu, a także w wielu innych miejscach w Polsce, takich jak mosty, dworce, niektóre

momentu na obiektach objętych zakazem można umieszczać odpowiednie tablice (o objęcie zakazem wnosi zarządca obiektu). Takich miejsc w Polsce jest ok. 25 tys., a pierwsze tablice już się pojawiają.

Skutki – gdyby zakaz traktować poważnie – są trudne do ogarnięcia. Począwszy od problemu z wideorejestratorami samochodowymi, poprzez kamery na stałe zamontowane w autobusach czy na samochodach marki Tesla, fotografów amatorów zajmujących się koleją czy fotografujących statki albo turystów, którzy z wież widokowych świetnie uchwycą miejsca objęte zakazem, na Google Street View skończywszy. Nie wiem, czy ktokolwiek w MON zdaje sobie sprawę, że ministerstwo rozporządzeniem próbuje przywrócić PRL-owskie regulacje w epoce technologicznie kompletnie innej. Mamy do czynienia z jedną z najbardziej idiotycznych sytuacji w historii III RP, która jednak całkowicie zniknęła w tle wyścigu prezydenckiego. A przecież mówi to bardzo wiele o standardach stowienia prawa, o stosunku państwa do obywatela czy o technologicznym rozeznaniu decydentów.

Krytyka regulacji jest powszechna – MON milczy. Może dopiero po czasie jego kierownictwo uświadomi sobie, jakiego babola wypuściło. ©©

Mamy do czynienia z jedną z najbardziej idiotycznych sytuacji w historii III RP

zakłady przemysłowe, stacje techniczne kolei, obowiązując zakaz fotografowania. Jego złamanie grozi grzywną i utratą sprzętu”. Turyści pukają się w czoło – a jednak. Tak jest od 17 kwietnia.

Zakaz wprowadził do Ustawy o obronie ojczyzny PiS (art. 616a) mimo wskazań, że jest to przepis absurdalny, nieegzekwowalny i stwarzający gigantyczne problemy. Do niedawna był martwy, ale na początku kwietnia MON opublikowało rozporządzenie wykonawcze w tej sprawie. Od tego



Jakub Wozinski

Javier Milei przeprowadza od półtora roku swoją wolnorynkową rewolucję, choć w środowisku libertariańskich ideowców nie brak opinii, że znacząco oddalił się od anarchokapitalistycznej ortodoksji

Charyzmatyczny prezydent Argentyny doszedł do władzy, proponując zestaw reform, przy których nawet polityka Ronalda Reagana może się wydawać skrajnie socjalistyczna. Jego zwycięstwo z 2023 r. było bodaj jedynym tego rodzaju przypadkiem na świecie, w którym po latach skrajnego etatyzmu obywatele zdecydowali się powierzyć władzę politykowi postulującemu zwrot w polityce gospodarczej o niemal 180 stopni.

CIECIA I REFORMY

Milei od początku obiecywał wprost, że będzie głównie likwidował, a nie reformował. W tym celu jednym z najważniejszych gadżetów swojej działalności uczynił piłę spalinową, która miała symbolizować masowe cięcia regulacji, urzędów, wydatków i etatów. Gdy w lutym argentyński prezydent pojawił się w USA na konferencji środowisk konserwatywnych CPAC, wręczył nawet piłę Elonowi Muskowi, sygnalizując w ten sposób, że po rozpoczęciu dzieła masowych cięć w swoim kraju przekazuje pałeczkę koledze stojącemu na czele DOGE (czyli Departamentu Wydajności Państwa).

Milei i jego „amigo” Musk zrobili show pod publiczność, ale należy uczciwie przyznać, że w dziedzinie ograniczania rozmiarów państwa może się pochwalić pewnymi sukcesami. Od grudnia 2023 r. zredukował liczbę etatów w administracji państwowej i spółkach skarbu państwa o blisko 37 tys. (z łącznej liczby 341 tys.). Tuż po zaprzysiężeniu zredukował liczbę ministerstw o połowę, łącząc część z nich w kilka dużych resortów. Milei rozprawił się z fikcją pracy zdalnej oraz ze szczególnie licznymi w Argentynie bezużytecznymi

Prezydent z piłą spalinową





Charyzmatyczny prezydent Argentyny Javier Milei jednym z najważniejszych gadżetów swojej działalności uczynił piłę spalinową, która ma symbolizować masowe cięcia regulacji, urzędów, wydatków i etatów FOT. SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS

posadami dla nominatów partyjnych. Libertariański polityk odważył się także zlikwidować Ministerstwo Kobiet, Gender i Różnorodności, czym doprowadził do wściekłości tężowe i feministyczne środowiska.

Piła spalinowa Milei najbardziej wyraźny ślad pozostawiła po sobie w obszarze finansów publicznych. W ubiegłym roku argentyńskie państwo osiągnęło nadwyżkę budżetową po raz pierwszy aż od 123 lat. Nadwyżki notowano do tej pory co najwyżej w ujęciu kwartalnym. Ogłaszając zaś, że wypracowany przez budżet zysk ma być przeznaczany na spłatę zagranicznego zadłużenia, Milei wysłał w świat sygnał, iż Argentynę znów można traktować jako wiarygodnego dłużnika.

Największym wierzycielem argentyńskiego państwa jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy, do którego należy nawet 22 proc. całego długu. Wprawdzie Milei na każdym kroku podkreśla swoją wrogość wobec międzynarodowych instytucji, ale zastawszy kraj w katastrofalnym stanie, zwyczajnie nie ma innego wyboru i krok po kroku musi negocjować z władzami MFW swoje kolejne decyzje. O skali stojących przed nim wyzwaniach najlepiej mówi to, że gdy objął urząd, na jaw wyszło, iż jego peronistyczni poprzednicy całkowicie upłynili rezerwy walutowe państwa. Na polecenie prezydenta zaczęto je gromadzić od nowa, choć wiadomo już, że będzie to trwało wiele lat.

POSKROMIONA INFLACJA, ZREDUKOWANE UBÓSTWO

Na Mileia sporo słów krytyki spadło w ubiegłym roku, gdy Argentyna była jedynym krajem na kontynencie, który zaliczył spadek PKB aż o 3,2 proc. W 2025 r. prognozowany jest już wzrost na poziomie 5,5 proc. W ciągu pierwszego roku jego rządów realny wzrost płac wyniósł 12 proc., na co spory wpływ miało poskromienie inflacji. Gdy Milei obejmował rządy, miesięczny wzrost cen sięgał ponad 25 proc., lecz w styczniu wyhamował do nieco ponad 2 proc.

Wprawdzie pierwsze zarządzenia argentyńskiego prezydenta wywołały szok związany choćby ze zwolnieniem wielu pracowników sektora publicznego, lecz od momentu objęcia urzędu wskaźnik osób żyjących poniżej granicy ▶

■ ubóstwa spadł z ponad 50 proc. do ok. 35 proc. Nie miały wpływu na to miało zniesienie wszelkich ograniczeń cen wynajmu nieruchomości oraz obowiązkowej minimalnej długości wynajmu. Obowiązujące od 2020 r. przepisy miały w zamierzeniu władz ulżyć mieszkańcom, lecz przyczyniły się do drastycznego niedoboru mieszkań na rynku. Już po sześciu miesiącach rządów Milei podaży lokali na wynajem się podwoiła, a przeciętny koszt wynajmu (po uwzględnieniu inflacji) spadł o 25 proc.

Javier Milei nie kryje, że chciałby dokonać jeszcze większych zmian, i zapewnia, że ma już gotowy pakiet nawet 3 tys. różnego rodzaju reform. Jego głównym pomocnikiem w tym zakresie jest Federico Sturzenegger pełniący funkcję ministra deregulacji i transformacji państwa. Głównym problemem argentyńskiego prezydenta jest jednak słabość wspierającej go partii La Libertad Avanza. Mogąc liczyć na zaledwie 38 głosów w liczącym 257 przedstawicieli Kongresie, Milei musi nieustannie szukać poparcia dla swoich reform wśród wrogich mu środowisk. Zgodnie z konstytucją prezydent może rządzić w pewnych obszarach samodzielnie przy pomocy dekretów, ale tylko w trybie wyjątkowej konieczności. Milei od samego początku stara się maksymalnie korzystać z tej furtki, wskazując, że Argentyna znalazła się w stanie wielkiego kryzysu. W ten sposób udało się wprowadzić część zmian, ale parlamentarna większość ukróciła już m.in. prywatyzację części państwowych spółek, zniesienie dopłat do energii i transportu, deregulację rynku pracy czy też liberalizację rynku walutowego.

Milei z wielką nadzieją wyczekuje wyborów parlamentarnych, które mają zostać przeprowadzone w październiku tego roku. La Libertad Avanza, która jeszcze przed czterema laty uzyskiwała w sondażach ok. 5 proc. głosów, uzyskuje obecnie wyniki na poziomie nawet ponad 40 proc. Gdyby partia utrzymała notowania do jesieni, Javier Milei uzyskałby wreszcie niezbędne poparcie do wdrożenia swojego całego programu.

Pomimo trudności we wdrażaniu reform, co znacząco ograniczyło zastosowanie wolnościowej terapii szokowej, argentyński prezydent zdążył przez ostatnie półtora roku stać się prawdzi-

wym bohaterem dla środowisk libertariańskich i wolnościowych na całym świecie. Szczególnie celebrowana była jego licząca ponad 20 minut przemowa wygłoszona w ubiegłym roku na Światowym Forum Ekonomicznym, w czasie której zaprezentował swój ideowy manifest. Powołując się na najbardziej znanych libertariańskich teoretyków (takich jak Murray Rothbard czy też Ludwig von Mises), Milei poddał surowej krytyce w szczególności środowisko globalistów spotykających się w Davos, oskarżając ich o promowanie radykalnego socjalizmu, ukrytego choćby pod hasłami walki z globalnym ociepleniem. Mówił też o tym, że świat Zachodu znajduje się w niebezpieczeństwie, ponieważ zwyciężają w nim kolektywizm i wrogość wobec własności prywatnej.

WROGOWIE I PRZYJACIELE

Jak się jednak okazuje, nie wszystkim libertarianom podobają się poczynania Javiera Milei. Najśłynniejszy żyjący teoretyk tego nurtu, Hans-Hermann Hoppe, wygłosił w ubiegłym roku obszerną krytykę poczynąń argentyńskiego prezydenta, zarzucając mu m.in., że nie zlikwidował banku centralnego w pierwszym dniu urzędowania. Milei odniósł się później do tej opinii, nazywając Hoppego „liberidiotą” i przekonując, wbrew swoim obietnicom wyborczym, że taki krok nie miałby żadnego sensu i doprowadziłby do wybuchu hiperinflacji. Oskarżył także filozofa o brak wiedzy na temat sprawowania władzy.

Próba udowodnienia swojej doktrynalnej czystości w ramach ruchu libertariańskiego przyjmuje, jak widać, czasami wręcz komiczny charakter. Warto jednak zauważyć, że ideowym pobratymcom prezydenta obnoszącego się z piłą palinową nierzadko nie podoba się także to, iż w obszarze polityki międzynarodowej Milei dobiera sobie partnerów, których trudno uznać za libertarian. W czasie jednego z przemówień argentyński prezydent powiedział, że do grona jego przyjaciół na arenie międzynarodowej zaliczyć można Donalda Trumpa, Giorgię Meloni, Wiktora Orbána, Beniamina Netanyahu, prezydenta Salvadora Nayiba Bukele oraz Elona Muska.

Wielką sympatię Milei wyraża także w stosunku do Wołodymyra Zełenskiego,

któremu przy okazji swojego zaprzysiężenia wręczył nawet specjalną chanukiję. Tego rodzaju prezent nie był w ogóle przypadkowy, ponieważ argentyński prezydent, choć wychowany w katolickiej rodzinie i szkole, przeszedł kilka lat temu na judaizm. Konwersja miała się dokonać w 2021 r. pod wpływem rabina Shimona Axela Wahnisha, który od tego czasu stał się osobistym mentorem Milei, wysyłającym mu codziennie fragmenty Tory do kontemplacji.

Wskazywanie na przynależność religijną Javiera Milei nie jest wcale doszukiwaniem się mało istotnych szczegółów z życia osobistego. Argentyński prezydent uczynił judaizm istotnym elementem swojego urzędowania, co pokazało chociażby transmitowane na cały kraj spotkanie międzyreligijne zorganizowane na początku jego prezydentury w katedrze w Buenos Aires. Przemawiający do zgromadzonych rabin Wahnish przyrównał Milei do króla Salomona, który jako swój symbol wybrał lwa. Co ciekawe, z wizerunku lwa obficie korzysta także sam prezydent, którego fryzura również wyraźnie nawiązuje do króla dżungli. W reakcji na słowa Wahnisha Milei zalał się na oczach kamer łzami. Prezydenckie lzy popłynęły gęsto także przy okazji jego odwiedzin przy Ścianie Płaczu w Jerozolimie.

Godne odnotowania są także zażyłe związki łączące Javiera Milei z sektą Chabad Lubawicz. Argentyński prezydent odwiedził grób rabina Menachema Schneersona w dzielnicy Queens w Nowym Jorku w czasie swojej pierwszej oficjalnej wizyty zagranicznej. W lipcu ubiegłego roku gościł także na specjalnych zorganizowanych w Buenos Aires uroczystościach związanych z 30-leciem śmierci rabina, przekonując, że łączy go wciąż z nim bliska osobista więź. Prawdopodobnie właśnie dlatego portret Menachema Schneersona wisi na ścianie w jego gabinecie w pałacu prezydenckim.

W gronie współpracowników i przyjaciół argentyńskiego przywódcy znaleźć można jednak także osoby o zupełnie innym profilu. Najlepszym tego przykładem jest choćby reprezentująca Partię Demokratyczną wiceprezydent Victoria Villaruel, która jest tradycyjną katoliczką uczęszczającą na Msze odprawiane przez Bractwo Kapłańskie św. Piusa X.

Jako przewodnicząca Senatu umożliwiła wprowadzenie reform prezydenta pod obrady i pomagała mu m.in. we wdrażaniu cięć w etatach i wydatkach administracji publicznej. Od dłuższego czasu drogi Villaruel i Milei coraz bardziej się rozchodzą, a wiceprezydent stwierdziła niedawno, że została wręcz odsunięta od rządzenia.

ARGENTYŃSKI 51. STAN

Stylizujący się na lwa prezydent wielkie nadzieje wiąże przede wszystkim ze ścisłą współpracą ze Stanami Zjednoczonymi. Niedawno zapowiedział nawet, że chciałby doprowadzić do zawarcia umowy o wolnym handlu, przewidującej zniesienie wszelkich ceł we wzajemnej wymianie. Jego zdaniem Argentyna miałaby zostać pierwszym w świecie krajem, który zaakceptowałby zasadę wzajemności, której domaga się Donald Trump. Ogromną przeszkodą dla tych planów stanowi oczywiście przynależność jego państwa do grupy Mercosur, w której średnia wysokość ceł na import z USA wynosi ok. 22 proc. Argentyńskie państwo jest zobowiązane do przestrzegania zapisów paktu handlowego, ale Milei obwieścił niedawno w Kongresie, że jeśli przynależność do Mercosur będzie uniemożliwiała zawarcie umowy z USA, to będzie dążył do wystąpienia z organizacji.

Tymczasem argentyński prezydent nie dość, że akceptuje istnienie grupy Mercosur, to jeszcze wspiera zawieranie przez nią nowych umów. Milei zaakceptował kształt porozumienia o umowie handlowej z Unią Europejską, szkodząc tym samym polskim interesom. Podejmując tę decyzję, kierował się najprawdopodobniej chęcią ułatwienia eksportu wołowiny i artykułów rolnych, które mają znaczący wpływ na bilans handlowy jego kraju.

Milei dąży nie tylko do unii handlowej ze Stanami Zjednoczonymi, lecz także do dolaryzacji gospodarki. Na razie nie wystarcza na to środków finansowych, ale docelowo Argentyna ma się według jego planów przekształcić niemalże w 51. amerykański stan. Ścisłe współgra to z ambicjami Trumpa, który na poważnie ogłosił zamiary przejścia Kanady i Grenlandii. Milei robi wszystko, co może, aby przyciągnąć do swojej ojczyzny wielkie amerykańskie korporacje. W tym właśnie celu

już kilkakrotnie spotykał się z Elonem Muskiem, odwiedzając m.in. jego wielką fabrykę Tesli w Teksasie. Musk do tej pory nie ogłosił żadnej dużej inwestycji w Argentynie, ale regularnie do tego zachęca na swoim profilu na portalu X. Milei swoje dotychczasowe pobyty w Stanach Zjednoczonych wykorzystał także na spotkania m.in. z Jeffem Bezosem, Markiem Zuckerbergiem i Timem Cookiem. Większych efektów prowadzonych rozmów na razie nie widać, choć po wyborach parlamentarnych i wprowadzeniu kolejnego pakietu reform może się to zmienić.

KRYPTOSKANDAL

W ostatnim czasie prezydent z piłą spalinową stał się bohaterem sporego skandalu. W walentynki zamieścił na portalu X wpis reklamujący nową kryptowalutę o nazwie Libra. Wiele osób potraktowało to jako oczywistą zachętę do inwestycji i pospieszenie nabyło nowy produkt. Kapitalizacja wirtualnej waluty szybko osiągnęła poziom 4 mld dol., w czym znaczny udział miał Milei, lecz

Cały świat jest ciekawy, jak w praktyce sprawdzi się zastosowanie tak radykalnie libertariańskiej polityki, która do tej pory uchodziła głównie za akademicką ciekawostkę

wkrótce potem kurs spadł aż o 90 proc. W reakcji na to prezydent pospieszenie skasował swój wpis i zaprzeczył, jakoby miał jakikolwiek związek z pomysłodawcą Libry. Sam twórca twierdził jednak inaczej, a na dodatek media przypomniły, że obaj panowie spotkali się osobiście w pałacu prezydenckim w Buenos Aires przed kilkoma miesiącami. Sprawą zajął się już prokurator generalny, który zapowiedział m.in. szczegółowe zbadanie korespondencji i rozmów telefonicznych głowy państwa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Milei pozazdrościł innym przywódcom politycznym, którzy tak jak Donald Trump patronowali w ostatnim czasie emisjom własnych kryptowalut, lecz nie docenił związanego

z tym ryzyka politycznego i finansowego.

Javier Milei spotkał się także ze sporą krytyką za swoją decyzję z grudnia ubiegłego roku, gdy z pominięciem Senatu mianował dwóch sędziów Sądu Najwyższego. W reakcji na to opozycja oskarżyła go o zapędy dyktatorskie i o łamanie konstytucji. Zdaniem prezydenta podejmowanie tego rodzaju kroków jest niezbędne, ponieważ sędziowska kasta związana ze starym układem władzy jest zdeterminowana, aby stordedować przy pomocy dostępnych jej środków wszystkie reformy podatkowe i deregulacyjne.

Trwający spór o władzę i kompetencje poszczególnych urzędów jest ściśle powiązany z wielkim sporem o to, na kim Argentyna powinna oprzeć się w polityce międzynarodowej. Milei reprezentuje opcję radykalnie proamerykańską, natomiast jego przeciwnicy od lat zacieśniali więzi z Pekinem. Już w pierwszych dniach urzędowania nowy prezydent wycofał Argentynę z planowanego przystąpienia do bloku BRICS. Milei wstrzymał część projektów realizowanych we współpracy ze stroną chińską, lecz na całkowity rozbrat nie może wciąż sobie pozwolić choćby ze względu na dużą wartość eksportu do Państwa Środka czy też korzystanie z chińskich swapów walutowych.

Cały świat bacznie się przygląda poczynaniom Javiera Milei z co najmniej kilku powodów. Po pierwsze, jego charyzmatyczny i widowiskowy styl uprawiania polityki jest bardzo nośny medialnie. Po drugie, prezydent z piłą spalinową to jeden z najwierniejszych sprzymierzeńców Donalda Trumpa, deklarujący, że tak jak on wycofa się z porozumień klimatycznych i całej polityki zrównoważonego rozwoju. Jego ewentualny sukces polityczny może sprawić, że w ślad za nim podążą także przywódcy z innych państw, uruchamiając efekt domina. I wreszcie – wszyscy są zwyczajnie ciekawi, jak w praktyce sprawdzi się zastosowanie tak radykalnie libertariańskiej polityki, która do tej pory uchodziła głównie za akademicką ciekawostkę. Traktując zbędną narośl podatków, biurokracji i regulacji piłą spalinową, Milei ma szansę stworzyć godny uwagi wzór do naśladowania pod każdą szerokością geograficzną.

Drugie domy Polaków



FOT. JORDAN STOK



Jacek Przybylski

Inwestorzy znad Wisły chętnie kupują nieruchomości za granicą, nie tylko w celach inwestycyjnych, lecz także z obawy o eskalację konfliktu z Rosją. Prym zdecydowanie wiedzie Hiszpania. Popularne są również Włochy, Portugalia, Cypr Północny, a także Gruzja, RPA, Tajlandia, Turcja czy Zjednoczone Emiraty Arabskie

Jeszcze w roku 2023, gdy ponad 20 proc. transakcji na rynku nieruchomości w słonecznej Hiszpanii dokonali cudzoziemcy, Polacy odpowiadali za 3 proc. z nich. Wśród

zagranicznych inwestorów polscy kupujący na stałe weszli już do pierwszej dziesiątki nacji najczęściej nabywających hiszpańskie domy i mieszkania. Tylko w 2024 r. inwestorzy z Polski otrzymali klucze do 4259 hiszpańskich domów i mieszkań. Liczba transakcji wzrosła tym samym aż o 36,6 proc. w porównaniu z rokiem 2023 – wyliczał w kwietniu obecnego roku hiszpański dziennik gospodarczy „Expansion”, powołując się na dane hiszpańskiego Stowarzyszenia Rejestratorów Nieruchomości (Registadores de España). Jak zauważyła autorka tekstu, Polacy – najczęściej w wieku od 45 do 65 lat – „poszukują domów blisko plaży, aby móc spędzać czas w bezpiecznym kraju, w którym panuje dobra jakość życia, z dala od wojny na Ukrainie”. Mniejszą wagę nasi rodacy przywiązują do myśli o szybkim zysku.

Są jednak takie rejony w Hiszpanii, gdzie Polacy zajmują miejsca w okolicach

podium wśród zagranicznych kupujących. W wielu miastach nad Morzem Śródziemnym, jak np. Torrevieja, Alicante czy Orihuela, powstają już „małe Polski”, gdzie samochód można wynająć, posługując się tylko językiem polskim, nieruchomości wybrać za pośrednictwem polskiego agenta z biura z polskim szyldem na budynku, a umowę jej kupna podpisać z mówiącym po polsku prawnikiem u boku. Są tu też polskie sklepiki, restauracje ze schabowym czy media z artykułami i ogłoszeniami w języku polskim, jak np. „Polska Costa”. O skali zainteresowania Hiszpanią wśród zagranicznych inwestorów świadczyć może fakt, że w prowincji Alicante w ubiegłym roku aż 50,6 proc. transakcji na rynku nieruchomości zostało zawartych przez cudzoziemców.

W zeszłym roku polscy nabywcy domów i mieszkań chętnie inwestowali również w Walencji, Andaluzji, Katalonii oraz Murcji. Inwestorzy znad

Wisły kupują też swoje drugie domy lub mieszkania na Balearach i Wyspach Kanaryjskich. Część przekonuje klimat, czyli ponad 300 słonecznych dni w roku i ciepłe zimy. Za cenę małego mieszkania w Warszawie w Hiszpanii wciąż można kupić mieszkania położone zaledwie kilkaset metrów od morza, a nawet niewielkie domy. Coraz zamożniejsi Polacy kupują również drogie mieszkania w Barcelonie („Expansion” podał przykład polskiej pary, która nabyła apartament w centrum katalońskiej stolicy za 900 tys. euro).

Wielu kupujących kuszą nie tylko słońce i błękitne niebo, stosunkowo niskie ceny oraz tanie połączenia lotnicze, lecz także istotna odległość od granicy z Rosją i Białorusią. Inwestorzy znad Wisły za zagranicznymi nieruchomościami oglądali się co prawda jeszcze przed wybuchem pełnoskalowej wojny na Ukrainie, ale to właśnie 2022 r. był tym, w którym odnotowano pierwsze rekordowe zakupy. Polacy w ciągu 12 miesięcy kupili wówczas w Hiszpanii mniej więcej 3 tys. nieruchomości – czyli tyle, ile łącznie nabyli w latach 2019–2021. Przed rokiem 2013 Polacy kupowali zaś w Hiszpanii średnio ok. 400 nieruchomości rocznie.

Odległość od Rosji skłania do zakupów nieruchomości na zachodzie Europy nie tylko naszych rodaków. Jak zauważył „Expansion”, w ostatnich latach zainteresowanie zakupem schronienia w słonecznej Hiszpanii wzrosło również m.in. wśród inwestorów z Rumunii, Bułgarii, Węgier, Litwy czy Ukrainy.

Zainteresowanie nieruchomościami w tym kraju może jeszcze wzrosnąć, ponieważ w kwietniu weszły w życie przepisy mające na celu skończyć z największym koszmarem właścicieli mieszkań w Hiszpanii, czyli z tzw. *ocupas* (dzikimi lokatorami, którzy bezprawnie zajmowali nieruchomości i długimi miesiącami korzystali z ochrony prawnej do czasu wyroku sądu nakazującego eksmisję). Zjawisko niby marginalne, ale i tak psuło nerwy wielu właścicielom. W 2024 r. liczba nielegalnych przejęć domów i mieszkań wzrosła bowiem w Hiszpanii o 7 proc. do niemal 16,5 tys.

Wprawdzie po wprowadzeniu nowego prawa nadal ochronie prawnej podlegają osoby znajdujące się w trud-

nej sytuacji życiowej, ale walka z włamywaczami powinna być już o wiele łatwiejsza: wyroki mają zapadać w ciągu kilkunastu dni, a eksmisje być dokonywane w ciągu 48 godzin. Według nowego prawa dzicy lokatorzy będą musieli – przynajmniej w teorii – pokryć również szkody przez siebie wyrządzone. Do tej pory „bezbронni” włamywacze nie tylko bezprawnie korzystali z nieruchomości, lecz także często bezkarnie kompletnie je dewastowali.

W becce miodu jest też łyżka dziegciu: nowe prawo ostrzej reguluje również kwestie wynajmu krótkoterminowego, ograniczając możliwość zarabiania na inwestycji. Właściciel mieszkania jest zobowiązany do uzyskania zgody co najmniej trzech piątych członków wspólnoty mieszkańców na prowadzenie tego typu najmu. Kary za wynajem niezgodny z prawem wynoszą zaś od 30 tys. do 600 tys. euro. Presja na polityków ze strony środowisk lewicowych może rosnąć. W protestach osób żądających obniżek czynszów, które w ciągu ostatniej dekady niemal się podwoiły, w ostatnich tygodniach wzięło udział wiele tysięcy osób w kilkudziesięciu miastach w kraju. Demonstranci wykrzykują zaś hasła wymierzone nie tylko w masową turystykę, lecz także w „spekulantów”, którzy mają ponosić winę za to, że młodych Hiszpanów nie stać na kupno własnego dachu nad głową. Wychodząc naprzeciw tego typu postulatów rząd w Madrycie zakończył już na początku kwietnia program tzw. złotej wizy.

RYZYKO PRZEGRZANIA

Wielu inwestorów uważa jednak, że w takich krajach jak Hiszpania czy Portugalia tanio już było, a obecnie ceny stały się już mocno przeszacowane. I rzeczywiście trudno już znaleźć okazję za nieco ponad 1 tys. euro za mkw. W ciągu pięciu lat ceny w różnych rejonach Hiszpanii wzrosły nawet o jedną trzecią. Również w zeszłym roku ceny mieszkań rosły w dwucyfrowym tempie. I zrobiło się dość drogo.

Inwestorów przyciąga więc także Portugalia – która mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej kuszy nie tylko przyjaznym klimatem, bliskością morza, gór i oceanu, przyjazną polityką wobec osób pracujących zdalnie, lecz także dużą

odległością od Rosji. Analitycy rynku nieruchomości zwracają uwagę, że domy i mieszkania w Portugalii mogą być znacząco przewartościowane. Zresztą zdaniem ekspertów Europejskiego Banku Centralnego przewartościowanych może być już 80 proc. uniijnych rynków mieszkaniowych – skutki naiwnej wiary w to, że nieruchomości muszą zawsze wyłącznie drożeć, powoli zaczynają być widoczne również nad Wisłą.

WŁOCHY ZNÓW W MODZIE

Analitycy rynku nieruchomości przewidują, że w 2025 r. również we Włoszech ceny nieruchomości nieznacznie wzrosną, choć skala wzrostu cen może się różnić w zależności od regionu, a także od rodzaju nieruchomości. Podobnie jak w roku 2024 popyt na włoskie domy i mieszkania rośnie bowiem wolniej niż podaż. Nadal jednak – choć już nie tak okazynie jak podczas pandemii lub tuż po niej – mieszkania i domy we Włoszech można kupić stosunkowo tanio.

– Niskie ceny mają zwłaszcza nieruchomości 20- i 30-letnie. Najtańsze mieszkanie, które kupił mój klient, kosztowało 35 tys. euro i nadawało się od razu do wprowadzenia. Dom można znaleźć już za 65 tys. euro. Przeważnie cena 1 mkw. tego typu nieruchomości wynosi ok. 1 tys. euro. Oferty w nowym budownictwie są już jednak znacząco droższe – za metr trzeba zapłacić od 2 do 3 tys. euro – mówi „Do Rzeczy” Beata Pawłusiewicz, która pomaga klientom kupić wymarzoną nieruchomość w okolicach Bergamo i jeziora Iseo. – Zwłaszcza w ubiegłym roku można było zaobserwować znacząco wyższe zainteresowanie włoskimi nieruchomościami wśród Polaków. W tym roku zainteresowanie również jest widoczne. Kupujący to przeważnie osoby w wieku nieco ponad 50 lat. Niektórzy nabywają nieruchomości inwestycyjnie i chcą wynajmować dom lub apartament krótkoterminowo. Wielu klientów nie ukrywa jednak, że szuka po prostu awaryjnego mieszkania na wypadek wojny – dodaje Beata Pawłusiewicz, ekspert do spraw maksymalizacji zysków z nieruchomości.

Włochy przez niektórych uważane są za kraj bliższy nam kulturowo niż Hiszpania. I nie chodzi tylko o to, że wciąż dobrze wspominają pontyfikat św. Jana Pawła



Poszukujących apartamentu kuszą m.in. oferty na Wyspach Kanaryjskich
FOT. ADOBE STOCK

■ Il czy o fakt, że oba kraje nawiązują do siebie w swoich hymnach. – Włosi lubią Polaków, a my lubimy Włochów. Zwłaszcza w środkowej części kraju mieszkają Włosi tak bliscy nam mentalnie, że trudno byłoby gdziekolwiek w Europie znaleźć ludzi bliższych Polakom i bardziej otwartych wobec nas. A do tego klimat jest o wiele łagodniejszy i jest o wiele czystsze powietrze – tłumaczy „Do Rzeczy” Miłosz Marcuk, były dziennikarz, który od dwóch lat zajmuje się sprzedażą domów w Italii. – Zainteresowanie kupnem nieruchomości we Włoszech bardzo nasiliło się po inwazji Rosji na Ukrainę. Niektórzy wprost mówią i piszą, że chcą kupić dom lub mieszkanie z obawy nie tylko przed wojną, lecz także jakimiś hybrydowymi działaniami i niestabilnością – zauważa. – Na dom w małym miasteczku w Abruzji, który nie wymaga remontu i w którym można od razu zamieszkać, trzeba wydać ok. 70 tys. euro. Za apartament blisko morza w Pescarze trzeba zapłacić 120–150 tys. euro. I chociaż ceny nieruchomości w ciągu ostatnich lat wzrosły, to nadal wydają się atrakcyjne. Abruzja to bowiem taka włoska Kalifornia, gdzie są najwyższe szczyty Apeninów z pięknymi ośrodkami i trasami narciarskimi, a podczas zjazdu na nartach można podziwiać Adriatyk – dodaje Miłosz Marcuk. Na stronie domwitalii.pl można odnaleźć nie tylko oferty, lecz także teksty opisujące m.in. wady i zalety zakupu nieruchomości

ści we Włoszech czy odpowiadające na pytanie: „Czy opłaca się kupić mieszkanie na wynajem we Włoszech?”

Przez podjęciem decyzji warto więc pamiętać o skrupulatnym sprawdzeniu nie tylko stanu technicznego, lecz także stanu prawnego nieruchomości (bywa z tym różnie zwłaszcza na południu kraju, choć nie tylko tam) oraz tym, że duża część Włoch znajduje się w regionie o podwyższonej aktywności sejsmicznej. Uważać należy także na ewidentnie zbyt tanie mieszkania (bo mogą kryć wiele trupów w szafie). Włochy to również kraj, w którym polscy cwaniacy mogą stracić sporo w starciu z cwaniakami włoskimi. Przykład: próby obniżenia wysokości należnego przy zakupie podatku poprzez zapłatę pod stołem gotówką zadatku za dom lub mieszkanie. We Włoszech wszystkie tego typu transakcje muszą być dokonywane przelewem. Gdy więc Włoch z gotówką nagle zniknie, Polakom trudno zgłosić sprawę do włoskich organów ścigania, bo musieliby zacząć od donosu na samych siebie...

A MOŻE POZA UE?

W ostatnich miesiącach coraz większe zainteresowanie wśród polskich inwestorów budzi również Albania, czyli kraj, do którego prawdziwy dobrobyt jeszcze nie dotarł, a który wyprzedził Ukrainę i Mołdawię w rozmowach o przystąpieniu do Unii Europejskiej. Polaków przyciągają łagodny klimat, dostęp do mórz Adria-

tyckiego i Jońskiego, niskie koszty utrzymania, stosunkowo prosty proces zakupu nieruchomości przez obcokrajowców oraz wciąż atrakcyjne ceny. Za 1 mkw. w Albanii trzeba zapłacić w granicach 1–1,2 tys. euro. Niewielką kawalerkę w Durrës z balkonem z widokiem na morze można kupić za 46 tys. euro, czyli równowartość niecałych 200 tys. zł. Za lokalizację z największym potencjałem uznaje się Tiranę, a także takie nadmorskie kurorty jak Durrës, Vlorë, Saranda czy Himara. Inwestorzy liczą, że ceny nieruchomości będą rosły w tempie dwucyfrowym. I jest na to szansa. Albańska gospodarka rozwija się bowiem na tyle szybko, że wielu ekspertów widzi w tym kraju wschodzącego lidera wzrostu gospodarczego w Europie. Kluczową rolę w PKB odgrywa zaś turystyka, co uzasadnia inwestowanie w mieszkania czy domy, które można wynajmować krótkoterminowo. Jednym z czynników ryzyka tej lokalizacji jest położenie na styku płyt tektonicznych. Trzęsienia ziemi w tym kraju nikogo więc nie dziwią. I chociaż zazwyczaj nie doprowadzają do istotnych zniszczeń, to co kilka lat zdarzają się też bardzo silne trzęsienia (w jednym z nich w 2019 r. zginęło kilkadziesiąt osób, a tysiące straciły domy).

OSTROŻNIE W (GRUZIŃSKIM) LAS VEGAS

Polacy nadal szukają też okazji na rynku nieruchomości w Gruzji. Kraj ten najciekawsze stopy zwrotu oferował inwestorom w latach 2016–2017. Wówczas było to państwo nie tylko dynamicznie się rozwijające, lecz także stabilne politycznie, które przyciągało ulgami podatkowymi, prostymi procedurami oraz wizją integracji z Unią Europejską oraz NATO. Dziś te perspektywy są bardziej mgliste, ale wciąż wielu influencerów zachęca do ulokowania pieniędzy w gruzińskie nieruchomości.

Jednym z głównych ośrodków przyciągających inwestorów znad Wisły jest położone nad Morzem Czarnym Batumi, nazywane „gruzińskim Las Vegas” lub „gruzińskim Dubajem”, z cenami na poziomie 900–1,4 tys. euro za 1 mkw. Na amatorów szybkiego zarobku na tanich nieruchomościach czeka jednak wiele pułapek. Nie brakuje bowiem firm budowlanych, które latami nie mogą ukończyć budowy, realizują inny projekt, niż można by się było spodziewać po

obejrzeniu pięknego prospektu, sprzedają tę samą nieruchomość kilku klientom lub też znikają z rynku z zaliczkami od klientów. Oszukanych Polaków jest już tak wielu, że w kwietniu ambasada RP w Tbilisi wydała specjalny komunikat. „W związku z rosnącą liczbą zgłaszanych placówek – przez oszukanych inwestorów z Polski – przypadków nieuczciwych praktyk stosowanych przez niektórych deweloperów mieszkaniowych w Batumi zalecamy zachowanie szczególnej ostrożności przy podejmowaniu decyzji biznesowych dotyczących inwestycji w nieruchomości” – ostrzegła ambasada we wpisie na Facebooku. Dyplomaci zauważyli, że mają ograniczone możliwości wsparcia obywateli Polski poszkodowanych

przez nieuczciwych gruzińskich deweloperów, a ewentualny proces przed sądem może być długotrwały i niekoniecznie musi zakończyć się sukcesem. W komentarzach pod apelem ambasady internauci prosili o listę nieuczciwych deweloperów. „Szybciej będzie stworzyć listę uczciwych deweloperów, będzie bardzo krótka” – odpowiedziała jedna z biorących w dyskusji osób.

Innym zagrożeniem dla inwestycji w Gruzji jest zagrożenie bańką spekulacyjną. Wielu sprzedających nadal kreśli przed kupującymi piękne wizje wysokiego i „pewnego” zarobku na rajskim apartamencie, choć w niektórych rejonach Gruzji widoczne są nadpodaż mieszkań i spadające realne ceny wynajmu, a gruzińska

gospodarka rozwija się w tym roku nieco wolniej, niż jeszcze niedawno prognozowano. Ewentualne inwestycje nadal mogą być opłacalne, ale wymagają bardzo dokładnej analizy rynku nieruchomości, a także często zatrudnienia lokalnego prawnika.

Inwestujący w drugi dom lub drugie mieszkania interesują się również inwestycjami na Cyprze Północnym. I to mimo że wśród zagranicznych spekulantów moda na ten kraj w dużej mierze minęła już na początku tej dekady. I mimo że ani Polska, ani ONZ oficjalnie nie uznają tej części wyspy za osobny kraj. Polacy kupują też mieszkania w samej Turcji, np. na Riwierze Tureckiej.

OD BOTSWANY DO ZEA

Popularnością wśród Polaków cieszą się również mieszkania i wille w Tajlandii, kupowane nie tylko w celach inwestycyjnych, lecz także jako dom na wakacje lub egzotyczne miejsce do spędzenia emerytury. Apartamenty z jedną sypialnią w przyjemnym kurorcie można kupić już za równowartość od 190 tys. zł do niecałych 300 tys. zł. Trzeba jednak pamiętać, że zgodnie z tajskim prawem obcokrajowcy mogą kupić mieszkanie w budynku z lokalami mieszkalnymi udostępnionymi dla cudzoziemców, nie mają jednak możliwości nabycia na własność tajskiej ziemi. Warto także wiedzieć, że Europejczyk w Tajlandii przez wielu zawsze kojarzony będzie wyłącznie z „turystą”.

Wśród zamożniejszych Polaków popularne są też nieruchomości w Europie, ale poza Unią Europejską (Szwajcaria, Monako, Wielka Brytania) oraz apartamenty na Bliskim Wschodzie (tu prym wiodą Zjednoczone Emiraty Arabskie, a zwłaszcza największe miasto ZEA, czyli Dubaj), a także w Afryce (np. w RPA).

Nie brakuje również polskich inwestorów, którzy w poszukiwaniu poczucia wolności czy prywatności decydują się na zakup nieruchomości w tak egzotycznych krajach jak Botswana, Brazylia, Dominikana, Kambodża czy Urugwaj. Niestety, nie ma kraju idealnego dla wszystkich. Jedno wydaje się jednak pewne: wraz z rosnącym bogactwem Polaków osób marzących o wyprowadzce lub choćby o zakupie drugiego domu będzie przybywać.



Polacy szukają m.in. domów i mieszkań w pobliżu włoskiego jeziora Iseo

FOT. ADOBE STOCK



SIOSTRY GOTUJA

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUKRisotto milanese
alla libanese

Los rzucił nas tuż przed świętami do Libanu. Odwiedziliśmy oczywiście grób św. Charbela, ale miałyśmy też okazję wziąć udział w rodzinnym, niedzielnym obiedzie u libańskiej rodziny. Ujęło nas to spotkanie. Libańskie rodziny są liczne. Ta, u której byłyśmy, składała się z rodziców i czterech zamężnych siostr, każda z nich miała swoje dzieci. Więc przy stole było naprawdę gwarno. Dzieci są tu błogosławieństwem. I mimo że nikt tu specjalnych rygorów wychowawczych nie wprowadza, to są ułożone i spokojne. Może po prostu zamiast teorii pedagogicznych wystarcza rodzicielska miłość?

Zaproszenie na „agape”, czyli ucztę, otrzymałyśmy od Kazimierza Gajowego, którego żona Maja jest Libanką. On sam natomiast jest znakomitym znawcą języka arabskiego, kultury i historii Bliskiego Wschodu, a zwłaszcza Kraju Cedrów. Godzinami opowiadać może ciekawostki o tym pięknym kraju – wszak jest także przewodnikiem i ma swoją Fundację Fenicia im. św. Charbela, która organizuje pielgrzymki.

Ultraskróć wiedzy o Libanie: oprócz tego, że opiewany był już w Biblii i słynął z cedrów, i że odwiedzał go Pan Jezus, warto dodać, że Fenicjanie – przodkowie Libańczyków – wynaleźli: pieniądź, współczesny alfabet, szkło i mydło. Jest tu jeszcze wiele innych skarbów, ale odsyłam do przewodnika

napisanego przez Kazimierza Gajowego i Pawła Rakowskiego.

Zresztą Kazimierz Gajowy studiował także w Rzymie, świetnie zna włoski i tamtejszą kuchnię. Dlatego w tym czasie Paschy proponujemy danie o symbolicznej podwójnej proveniencji, czyli risotto milanese alla libanese.

Składniki:

- 1 cebula • 3 ząbki czosnku
- 2 kieliszki białego wina • 2 szklanki ryżu do risotto • 10 gramów suszonych prawdziwków • pieprz i sól do smaku • 5 szklanek rosółu • oliwa z oliwek i szklanka mleka • parmezan

Grzyby prawdziwki moczymy w szklance mleka, drobniutko siekamy cebulę i czosnek, zasmażamy na jednej szklance wina z dodatkiem oliwy z oliwek. Kiedy się zeszkła, dodajemy pokrojone w paseczki grzyby, dusimy i dodajemy znowu parę kropel oliwy. Jak warzywa zmiękną, wsepujemy niemyty i niemoczony ryż, koniecznie włoski specjalny do risotto (on jest już wcześniej płukany). Na dużym ogniu mieszamy ok. minuty, stopniowo dolewamy przygotowany wcześniej rosół i mleko z moczenia grzybów. Mieszamy, dodajemy sól i pieprz do smaku (średnio płaska łyżeczka soli na litr rosółu). Na lekkim ogniu dusimy. A co z drugą szklanką wina? Otóż jest ona dla kucharza, żeby miał dobre wyczucie smaku. Ryż powinien być al dente – jeśli byłby za gęsty, to dolewamy po łyżce rosółu. Podajemy posypany posiekaną natką pietruszki i zmieloną parmezanem. ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Na ringu
z blondynką

Co państwo robią, widząc, jak z wypasionego mercedesa zaparkowanego na błękitnej kopercie wysiada umięśniony 30-latek? Przy czym na parkingu jest dużo wolnych miejsc, tylko trochę dalej od wejścia. Widząc taką scenę, starałam się stłumić w sobie ogarniającą mnie natychmiast chęć rzucenia się facetowi do gardła. Działalam grzecznie, przemawiałam uprzejmie. Jak nietrudno się domyślić, skutek zawsze był zerowy. Spadał na mnie stek wyzwisk, czasem bąknięcie pod nosem w tonie quasi-przepaszającym: „Ja tylko na chwilę”. To drugie rzadziej.

Jednak pewne zdarzenie sprawiło, że straciłam całkowicie chęć walki z wiatrakami. A było tak: przed szkołą (społeczną) czekałam w samochodzie na odbiór dwójga wnuków, zadowolona, że szczęśliwie znalazłam miejsce parkingowe, jedno z kilkunastu przeznaczonych dla rodziców. I wtedy mój wzrok padł na niebieskie miejsce dla inwalidów nieopodal. Stało tam zaparkowane dorodne audi A8. Piękna bryka, z renty inwalidzkiej trochę trudno byłoby na nią odłożyć.

Postanowiłam najpierw zadziwiać jako detektyw. Poszłam do szkolnego sekretariatu i do woźnych zapytałam, czy nie wiedzą, kto jeździ takim autem. Nikt nie wiedział. Pozostało mi zaczekać na właściciela. I już obmyślałam sobie, jak pada na kolana, wiję się ze wstydu rażony moimi

zabójczymi słowami. W wyobraźni namalowałam sobie portret pamięciowy tej osoby. Na podstawie obserwacji socjologicznych poczynionych w czasie kilkuletniego uczestnictwa w szkolnym życiu społecznym widziałam na nim smukłą damę lat ok. 30, z długimi włosami blond, w beżowym płaszczu i z torebką Louis Vuitton. To ostatnie obowiązkowo.

Oczekiwanie trochę się przedłużało i w tym czasie mój umysł intensywnie pracował nad mową powitalną dla blondynki, a pasja społeczni-kowska rosła.

Wreszcie się doczekałam. Na progu szkoły ukazuje się wyżej opisana właścicielka auta, po czym udaje się w jego kierunku. Wygląda, jakby zeszła z mojego portretu, z tą drobną różnicą, że płaszcz ma czarny, a nie beżowy. Już zmierza w stronę swojej limuzyny, już otwiera drzwi, gdy ja, napędzana pasją oraz furją, pędzę w jej stronę. Już jestem u drzwi srebrzystego pojazdu, gdy oto nagle potykam się o chodnik i zamiast rzucić w damę stękiem pouczeń, leżę na ziemi u jej stóp.

Kurtyna.

PS Na Węgrzech koperta przysługuje wyłącznie inwalidzie osobiście, a nie użytkownikowi samochodu. Jest to sprawdzane przez straż miejską. Podobno u nas mają coś takiego wprowadzić; na razie mam wrażenie, że pustych kopert jest nieco więcej. Może mniej inwalidów albo mniej osiłków. ©©



EOT/AP

Druga generacja elektrycznego crossovera koreańskiej marki ma bardziej stanowczy design, stosunkowo duży zasięg oraz całkiem niezłe osiągi. Napęd o maksymalnej mocy 204 KM i moment obrotowy wynoszący 255 Nm sprawiają, że sprint od zera do setki zajmuje Niro tylko 7,8 s. Podczas codziennej jazdy auto wydaje się jeszcze bardziej dynamiczne, umożliwiając błyskawiczne włączanie się do ruchu czy zwawę wyprzedzanie na trasie.

Niektórzy narzekają mogą na niski jak na crossovera prześwit (15 cm) czy „zbyt małą” prędkość maksymalną, która wynosi 167 km/h. Ten ostatni minus to jednak tylko biadolenie znawców teoretyków, bo w praktyce mało kto jeździ szybciej e-autami.

Według producenta bateria o pojemności 64,8 kWh pozwala na przejechanie maksymalnie 460 km (WLTP). I jest to dystans rzeczywiście możliwy do osiągnięcia w praktyce, ale tylko w przypadku spokojnej jazdy w trasie. Podczas naszego testu (Warszawa, droga krajowa, trasa ekspresowa) na jednym ładowaniu udało nam się pokonać 398 km. Nieźle! Wadą jest niska maksymalna moc ładowania. Teoretycznie wynosi ona 71 kW, ale podczas testu nie udało mi się osiągnąć nawet takiego wyniku. Maksymalna moc wynosiła około 65 kW. Szkoda, bo im wyższa moc, tym krótszy czas ładowania.

Na pochwałę w tym modelu zasługuje za to możliwość łatwego regulowania manetek przy kierownicy poziomu rekuperacji. Przy maksymal-

nym ustawieniu można w zasadzie zapomnieć o pedale hamulca, który przydaje się niemal wyłącznie w sytuacjach awaryjnych.

W drugiej generacji znacząco zmodernizowano również wnętrze. Ekran dotykowy oraz cyfrowe zegary mierzą po 10,25 cala każdy. Obraz jest wysokiej jakości. Brakuje jednak widoku 360 stopni. Fotele są wygodne, komfortowe są również zagłówki o dość nietypowym kształcie. Przestrzeni nie brakuje zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Szkoda tylko, że Koreańczycy zamontowali w kabinie mnóstwo błyszczących plastików, które łatwo zbierają odciski palców i które łatwo zadrapać.

Bagażnik ma 475 l pojemności. To całkiem dobry wynik jak na elektrycznego crossovera, zwłaszcza że do dyspozycji jest również tzw. frunk, czyli przedni bagażnik (o pojemności 20 l). Niro EV może nawet ciągnąć przyczepę, choć tylko o masie do 750 kg.

Testowany model jest też wyposażony w wielu elektronicznych asystentów zwiększających bezpieczeństwo podróżowania. Zaletami Niro EV są również dość atrakcyjny stosunek ceny do maksymalnego realnego zasięgu, a także siedmioletnia gwarancja. Cennikowo egzemplarze z roku 2024 kosztują w promocji 169 tys. zł, a po uwzględnieniu dopłaty w rządowym programie NaszEauto cenę można obniżyć do 150 tys., a nawet do 139 tys. zł (w przypadku osób, które dostają maksymalną dopłatę, czyli osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą lub posiadających kartę dużej rodziny). ©©

ROBOT MOVA P50 PRO ULTRA

Wysoka moc ssania, skuteczny system mopowania, minimalistyczny design, pojemny akumulator oraz dobry stosunek ceny do jakości – to główne zalety najnowszego robota odkurzającego chińskiej marki MOVA, który szczególnie dobrze powinien sprawdzić się w domach zamieszkałych przez psy, koty i inne futrzaki.

Model MOVA P50 Pro Ultra – czyli biały robot z białą, samoczyszczącą stacją dokującą ze srebrnym wykończeniem – wygląda czysto i nowocześnie. Takiego sprzętu nie kupuje się jednak po to, aby tylko pachniał. Najważniejsze jest to, jak sprząta. Moc ssania testowanego modelu wynosi aż 19 000 Pa, co plasuje ten model w czołówce wśród dostępnych na rynku konsumenckich robotów odkurzających. To również cecha, która sprawia, że robot MOVA P50 Pro Ultra skutecznie radzi sobie ze zbieraniem kurzu, włosów, sierści i większych zanieczyszczeń zarówno z twardych podłóg, jak i z dywanów. Na pochwałę zasługują też szczotka CleanChop (tnie odkurzone włosy, zmniejszając ryzyko splątania) oraz system mopowania (dwa pady obracają się z prędkością 180 razy na minutę i świetnie radzą sobie z usuwaniem plam).

MOVA P50 Pro Ultra kusi także takimi funkcjami, jak FlexReach – nakładki mopa wysuwają się na odległość do 4 cm, aby

skuteczniej sprzątać w narożnikach, przy krawędziach, pod niskimi meblami etc. – oraz CleanLift – robot automatycznie rozpoznaje rodzaj powierzchni i dostosowuje sposób sprzątania (np. przed odkurzaniem dywanu grzecznie odwozi nakładki mopujące do stacji, aby nie niczego nie zamoczyć). Do nawigacji i wykrywania zabrudzeń robot wykorzystuje zaawansowaną technologię AI SmartSight z kamerą RGB, diodą doświetlającą i dodatkowymi czujnikami. Sprawnie radzi sobie więc z rozsypaną mąką czy zaschniętymi plamkami po rozlanych kawie czy winie. Świetną funkcją przy podłogach i panelach jest też możliwość wskazania kierunku mopowania. Właściciele czworonogów docenią też możliwość podglądania na żywo z kamery robota, co akurat robi ukochane futro.

Wchodząc w skład zestawu stacja automatycznie myje i suszy nakładki mopujące, automatycznie opróżnia także pojemnik na kurz, dzięki czemu robot długo odkurza i mopuje bez potrzeby zawracania głowy właścicielowi.

Wady? MOVA P50 Pro Ultra ma 10,38 cm wysokości. Przed zakupem warto więc zmierzyć przestrzeń pod meblami i dostosować do niej robota (praktyczniejszy może się bowiem okazać np. tańszy model P50 Ultra, który mierzy 9,8 cm). Cena: 3458 zł. ©©



EOT: MATERIAŁY PRACOWNE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Czekam cię pod Jeziorną!

Jeziorna, jak podaje Zygmunt Gloger: „Wiesz o dwie mile od Warszawy położona”, była w drugiej połowie XVIII w. miejscem, w którym odbywały się liczne pojedynki. Mówiono: „Apelacja będzie pod Jeziorną” albo: „Czy wiesz, gdzie Jeziorna?” – wyzywając kogoś do walki, niekoniecznie na szable czy szpady, lecz także na pistolety – konno albo pieszo. Dlaczego jednak tam, a nie w stolicy na jakimś placu za karczmą albo w ogrodzie za pałacem?

Miejsce wybierano, jak pisze Paweł Komosa, dzięki skuteczności marszałka wielkiego koronnego Franciszka Bielińskiego, po którym pozostała ulica Marszałkowska. Był on bezwzględny egzekutorem prawa, zorganizował nowoczesną policję i bez litości ścigał przestępców, od kiedy tylko objął

urząd w 1742 r. Osobną uwagę poświęcił pojedynkom, które stały się bardzo częste za kolejnego króla – Stanisława Augusta, zgodnie zresztą z modą panującą wówczas w Europie. Przypomnijmy

bowiem, że zgodnie z konstytucją z 1588 r. za samo przystąpienie do pojedynku groziła kara pół roku uwięzienia, jeśli zaś w trakcie walki zginął któryś z uczestników, to jego rywal ponosił karę jak zabójca i mógł łatwo „dać gardło”.

Aby uniknąć przykrych konsekwencji, walczący umawiali się zatem na południowym brzegu rzeki Jeziorki, która przepływała w pobliżu owej Jeziornej. Wsi, która w pierwszych aktach pojawia się w dokumentach pochodzących z 1410 r. Rzeczką stanowiła w XVIII w. granicę pomiędzy ziemią warszawską, będącą pod



FOT. DOMENICA PUBLISZNA

jurysdykcją marszałka, a ziemią czerską, gdzie działały już zwykłe sądy grodzkie. Zatem pojedynek rozgrywany tutaj nie podchodził pod władzę Bielińskiego. W rzeczywistości rzeka rozdzielała od siebie dwie wsie – Jeziornę Królewską od położonej na południu Jeziorny Oborskiej należącej do pobliskiego majątku Obory. W XX w. wieś rozwijała się tak szybko, że w 1956 r. otrzymała prawa miejskie, a w 1969 r. została połączona ze Skolimowem-Konstancinem, tworząc miasto Konstancin-Jeziorna.

Dziś trudno ustalić, czy istniało jakieś konkretne miejsce w pobliżu Jeziornej, w którym spotykali się pojedynkujący. Na pewno było to na południowym brzegu rzeki i do historii przeszło przynajmniej kilka odbywających się tam starć. Jednym z nich był opisywany przez Bartłomieja Szyndlera pojedynek hrabiego Alfonsa, znanego bywalca pałacu Radziwiłłów przy ulicy Miodowej, który mówił biegle po angielsku, niemiecku, włosku i francusku z paryskim akcentem. Dodatkowo pięknie śpiewał i grał na skrzypcach, czym wyróżniał się z tłumu hulaków, szulerów lowelasów i innych awanturników. Jego tytuł był zapewne fałszywy. Pewnego razu wygrał 100 tys. dukatów, jednak wówczas jeden z graczy zarzucił mu oszustwo. Wówczas hrabia Alfons przewrócił stół i dał adwersarzowi w głowę z taką siłą, że

ów zalał się krwią. Taka awantura mogła skończyć się tylko nad Jeziorną, gdzie hrabia w pojedynku stoczonym trzeciego dnia po fatalnej grze po prostu zastrzelił przeciwnika. Miał później jednak mniej szczęścia, gdyż próbował dobrać się do pewnej pięknej małżonki szewca ze Starego Miasta i został przydybany przez jej męża, który sprawił mu takie lanie, że leżał chory przez miesiąc.

Innym sławnym starciem staczącym (dwa razy!) pod Jeziorną był pojedynek Kazimierza Poniatowskiego z wojewodą lubelskim Adamem Tarłą. Doszło do niego na skutek awantury, kiedy Izabela Poniatowska obraziła Annę Lubomirską, córkę naturalną Teodora Lubomirskiego, urodzoną przed ślubem rodziców i nieuznaną za pochodzącą z prawego łoża. Wówczas Tarło, który był gorliwym adoratorem Anny, obraził z kolei wspomnianą Izabelę Poniatowską, a w obronie krewnej stanął Kazimierz Poniatowski. Ponieważ awantura miała miejsce na balu u marszałka Bielińskiego, adwersarze umówili się na pojedynek, jak pisał Jędrzej Kitowicz, „gdzieś pod Piasecznem”, prawdopodobnie właśnie w okolicach Jeziorny, gdzie spotkali się konno na pistolety. Pojedynek skończył się, kiedy Tarło zabił wystrzałem konia Poniatowskiego.

Nie był to jednak koniec awantury. Drugi raz doszło do niej, gdy pojawiła się broszura obrażająca Tarłę, który – podejrzewając o autorstwo Poniatowskiego – wyzwał go drugi raz do walki. Pojedynek pod Jeziorną nie odbył się jednak, gdyż przeciwnik się nie stawił. Ostatecznie do kolejnego starcia doszło na Marymoncie, gdzie Tarło zginął w czasie tumultu – być może dobity przez służbę Poniatowskich. ©

I RZECZYPOSPOLITA

• Jeziorna

RYS. MART



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Czarny lud medycyny

Nagła kariera czarnego luda Trumpa pokazuje, że sympatia ludu (przynajmniej tej wzmoczonej jego części) na pstryku koniu jeździ. Tyle że konia tego pogania mainstream globalistycznych projektów. Z dnia na dzień na jasnego idola może być wywindowany jakiś na name, niedysiejszy autorytet zaś może być momentalnie strącony do piekieł ostracyzmu. Trumpa establishment nigdy nie lubił, ale jak ten drugi raz wylał spod demokratycznego kamienia, to elity zapragnęły, by do ich niepokojów dołączył i lud wzmoczony.

Ale zniknął nam z busoli tych aktów jeszcze jeden czarny lud, czyli Robert F. Kennedy junior, który został sekretarzem zdrowia i opieki społecznej rządu federalnego. Już przy samych przesłuchaniach jego, jako kandydata na stanowisko amerykańskiego „ministra zdrowia”, wychodziły ataki, które miały zeń uczynić szurowatego antyszczepionkowca. Mimo tego, że przyznał on, iż jest zwolennikiem szczepień, dopisano go do trumpowych foliarzy, ubolewając, że opieka zdrowotna pójdzie w jakieś szamańskie ręce.

Jak to? Nie lekarz i będzie decydował o tak ważnych rzeczach? Gościu, który o szczepionkach na COVID-19 nie wyrażał się z należytym szacunkiem, domagając się jakichś obraźliwych badań? Kiedy pandemia, jak teraz klimat, wypalała do cna naszą

planetę i zagęszczała cmentarze? Nikt jednak nie zajął tego, co deklaruje i czego chce Kennedy junior, jak zwykle wystarczył skowyt stad wzmoczonych bulterierów szczutych na kolejny spersonifikowany przykład szaleństwa różowowłosego prezydenta i jego paczki. Czego więc chce junior?

To rewolucja polegająca na podstawowych konstatacjach: „Ostatecznym celem jest przywrócenie zdrowia Amerykanów do stanu, w jakim byli, [...] zanim pojawiły się toksyczne barwniki spożywcze, żywność wysoko przetworzona i niekontrolowany kalendarz szczepień składający się z 72 dawek” – jak zapowiedział Kennedy. Tak, takie deklaracje to wojna o Amerykanów z systemem, który ich wykańcza.

Kennedy utworzył agencję, która będzie zajmowała się badaniem urazów poszczepiennych, bo takiej – uwaga! – nie było (u nas nie było i nie będzie); wywalił metale ciężkie z mleka dla niemowląt, wyeliminował sztuczne barwniki z żywności i dofinansowanie programu żywnościowego dla dzieci, który zachęcał je głównie do zakupu przecukrzonych napojów. Widzicie, że to potwór. A my co? My systemowo ukrywamy owady w składzie artykułów spożywczych, szef GIS, pan Grzesiowski, główny sanitarysta kraju, szykuje zaś ofensywę szczepienną, dobierając się do dzieci poprzez kolegą dla rodziców. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Wymazywanie

W samym środku kampanii wyborczej, gdy Rafał Trzaskowski próbuje odzyskać się od własnych wytycznych nakazujących, by w ratuszu zdjąć krzyże, trafiłem na tekst w „Wysokich Obcasach” reklamowany leadem „Dlaczego nie zabiorę dzieci do kościoła na Wielkanoc”. Autorka opisuje swój wyjazd z dziewięcioletnią córką do Barcelony, gdzie między pizzą i lodami odwiedziły muzeum malarstwa. Natknęły się tam na kolekcję obrazów o tematyce religijnej, m.in. sceny ukrzyżowania, które przeraziły dziewczynkę. Podobno wstrząs był tak wielki, że w pośpiechu musiały opuścić muzeum. Po wyjściu mama została zasypana trudnymi pytaniami. Autorka przywołuje także sytuację z Niedzieli Palmowej (tym razem już w Polsce), „gdy córka zapytała, co się dzieje w kościele, bo zobaczyła pod budynkiem mnóstwo samochodów i wielki krzyż udekorowany kwiatami”. Gdy dziecko dowiedziało się o drodze krzyżowej, śmierci Jezusa i Zmartwychwstaniu, za nic nie chciało wejść do środka, by zobaczyć „dekoracje”. Konkluzja artykułu zawiera apel, by zastanowić się „zanim ustawimy kolejny krzyż w przestrzeni publicznej”, bo dzieci mogą nabawić się lęków.

Kilkanaście lat temu, gdy dowiadaliśmy się o podobnych sytuacjach we Włoszech, np. o procesie wytoczonym władzom szkoły przez niewierzącą matkę, która dokładnie

z tych samych pobudek doprowadziła do usunięcia krzyży, byłem przekonany, że u nas to niemożliwe. Tymczasem antykatolicka fobia dociera nad Wisłę. Mniejsza o to, czy sytuacje opisane w „Wysokich Obcasach” są realne czy są tylko projekcją wymyśloną przy biurku redaktora. Pod podobnymi tekstami na witrynie „Wyborczej” zakolejkowały się materiały, m.in. o traumie, jaką są rekoalekcje, o uldze, jaką będzie wyprowadzenie lekcji religii ze szkół itp.

Innym katalogiem doniesień o „przemocy symbolicznej”, na którą wystawiona jest wrażliwość osób niewierzących, są listy od czytelników, których sporo jest w mediach kobiecych. Natarczywy dźwięk dzwonów budzących Natalię z Wagrowca, brutalnie zakłócona przez procesję wycieczka rowerowa Sylwii z Ursynowa, szkolne przygotowania do pierwszej komunii w klasie córki Agnieszki – to tylko kilka przykładów opresji, których doświadczają świecka część naszego społeczeństwa. Ta sama grupa, która z entuzjazmem przyjmuje wprowadzenie inwazyjnej edukacji seksualnej, akceptująca nauczanie o zachowaniach autoseksualnych, aborcji i tranzycji płci przez mastektomie.

Antykatolicka operacja postępu. Ten proces nie dzieje się sam z siebie. Nie dzieje się też w próżni. Złowrogo sprzęga się z ciemnoskórym, napływowym „komponentem” coraz bardziej widocznym na ulicach polskich miast. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

A może **koń**?

Na rządowych stronach (chodzi mi o polski rząd czy też rząd w Polsce) pojawiła się informacja, że Oddział Muzeum Warmii i Mazur w Morągu zmienił nazwę. Stop. Teraz nazywa się Muzeum Prus Górnych (nie żartuję). Stop. Danke. Für Deutschland. Stop.

Michał Kołodziejczak, któremu płacę pensję wice-ministra rolnictwa, a także opłacam mu kierowcę z samochodem (państwo zarówno partycypują), został zapytany o przyszcycie i działania rządu. Stop. Pan wice już wcześniej dał się poznać jako osoba o szerokiej ignorancji i przyznać trzeba tym razem także nie zawiódł. Stop. Przytoczę obszerny fragment jego wypowiedzi, ponieważ warto. Stop. Kołodziejczak: „Realizujemy pełną politykę i pełne yyy działania, które wyznaczone są przez międzynarodowe działania i są to działania, które jasno określa Komisja Europejska. Jeżeli pani chce zmieniać i rozmyślać temat... To jest temat, który, uwaga, wykorzystując takie osoby, jak pani, obcy wpływ może działać chociażby w taki sposób yyy. Jest takie pojęcie, że rolnictwo może być wykorzystywane do destabilizacji państwa”. Stop. Ponieważ mówimy o Ministerstwie Rolnictwa, uważam, że tego pana mógłby zastąpić koń i mogliśmy tego nie zauważyć. Stop.

Kibice Chrobrego Głogów dostrzegli w oczach Rafała

Trzaskowskiego oraz w jego nadpobudliwości ruchowej wyczerpanie nerwowe i z troską poprosili go o odpoczynek. Stop. Ciężko było kibicom patrzeć, jak bardzo się kandydat przemęczał na głogowskim rynku. Stop. Troskę i bliskość zawarli w prostych słowach pieśni: „Schodź już ze sceny, Rafałek, schodź już ze sceny, Rafałek, schodź już ze sceny”.

Mimo zmęczenia spowodowanego intensywną kampanią Rafał Trzaskowski potrafi błysnąć kreacją godną copywriterów z najdroższych agencji reklamowych. Stop. Na jednym ze spotkań z lekkością wypalił: „Co ucieczie, to się nie upiecze”. Stop. Niby proste zdanie, ale te asocjacje, ta głębia i przede wszystkim potęga prawdy. No bo jak coś upiec, jak to coś nawiało? Stop. Geniusz.

Aleksandra Pawlicka z TVP w likwidacji w jednej z audycji wyborczych dojechała kandydatów na prezydenta z subtelnością znaną zawodnikom freak fightów. Stop. Pani redaktor nazwała kandydatów mających po kilka i kilkanaście procent poparcia w sondażach „peletonem planktonu” i kandydatami „trzeciej kategorii”. Stop. Warto przypomnieć, że na takie panie redaktorki i na całą tę telewizję, która nie potrafi się nawet zlikwidować, trafia z naszych podatków 3,5 mld zł rocznie. Stop. Kunszt Pawlickiej jeden z kandydatów, Marek Jakubiak, ocenił syntetycznie: „Idiotka”. ©©

DARIUSZ
WIERONIECZNY

SPODE ŁBA

Oclony sekret Wiktorii

Grózne pomruki wydawać zaczęła Unia Europejska, dotknięta do żywego restrykcyjnymi cłami wprowadzanymi przez administrację Donalda Trumpa. Jak informuje portal Politico, Komisja Europejska przygotowała właśnie obszerną, niemal 100-stronicową listę amerykańskich produktów, których wózw na teren państw Unii zostanie obciążony cłami odwetowymi. Lista ta sporządzona została pod kątem precyzyjnego uderzenia w gospodarkę stanów „czerwonych”, w których tradycyjnie wygrywają republikanie. Cios, zadany Amerykanom przez unijne cła, skłonić ma elektorat Donalda Trumpa do ponownego rozważenia swoich wyborów.

Większą część listy zajmują produkty spożywcze, takie jak mięso, drób, soja, zboża, a także wyroby przemysłowe. Europejczycy planiści zidentyfikowali też sektory gospodarki, w które wymierzone zostaną uderzenia najboleśniejsze dla prawicowych Amerykanów. Mają to być wołowina z Kansas i Nebraska, drób z Luizjany, koce elektryczne z Alabamy, a także papierosy i plastry nikotynowe produkowane na wspierającej Trumpa Florydzie. Floryda dotknięta też będzie cłami na krawaty i muszki, które podobno wytwarza. Prawdziwym ciosem w gospodarkę amerykańską będą jednak zaporowe cła na luksusową bieliznę damską, a zwłaszcza koronkowe

peniuary, w których specjalizują się stany Ohio i Kentucky. Na celowniku brukselskich strategów wojny ekonomicznej znalazła się, w pierwszej kolejności, amerykańska firma Victoria's Secret. Zapewne uznali oni, że jankeskie sekrety zastąpić można tajemnicami znad Sekwany i Renu.

Wojna celna w tym kształcie przyniesie może naszym kontynentowi niespodziewane konsekwencje. Wiele europejskich armii od lat prowadziło politykę „różnorodności płciowej”, promując udział kobiet także w jednostkach bojowych. Udało się tu osiągnąć imponującą feminizację jednostek. Tylko w armii francuskiej kobiety stanowią 11 proc. personelu sił lądowych, 16 proc. służących w marynarce wojennej, 28 proc. obsady sił powietrznych i 58 proc. korpusu medycznego. W krajach skandynawskich kobiety, na równi z mężczyznami, podlegają poborowi do wojska, stanowiąc ponad 20 proc. personelu armii szwedzkiej.

Czy drastyczne ograniczenie żołnierzom dostępu do ulubionej bielizny nie uderzy rykoszetem w morale unijnych sił zbrojnych? Promowane dzisiaj zbrojenia dotyczą głównie rakiet, samolotów i czołgów. Warto tu przypomnieć zasadę „bliższa ciału koszula”. Jest ona aktualna także wtedy, gdy ciało europejskiego żołnierza okrywa koronkowa koszulka nocna. Czym Europa zamierza ją zastąpić? ©©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nic to?

Rokrocznie na początku maja Polacy przenoszą swoje patriotyczne emocje do XVIII stulecia, na nowo edukując się okolicznościami powstania wiadomej konstytucji. Od czasu do czasu pojawia się jednak refleksja, że tamto wydarzenie niewiele dało, bo jednak wszystko zakończyło się rozszarpaniem Rzeczypospolitej na strzępy. Podtrzymując, chwalebne skądinąd, narodowe uniesienie, czasem ktoś w tych dniach opowie o kolejnych losach Polaków, o poetach, powstaniach, walce.

Ale przez dwa i pół stulecia nikt nie zrobił tego tak jak Jan Maciejewski. Czy kiedykolwiek myśleli bowiem państwo o dziejach Polaków w kontekście metafizycznym?

W kontekście walki idei chrześcijańskich z konceptami pogańskimi, które przecież od 2 tys. lat nieustannie ścierają się w naszym kręgu kulturowym? Czy natknęli się kiedyś państwo na pomysł, że oto Polska została zabita w XVIII w. wskutek konieczności użycia jej jako kozła ofiarnego rodzącej się właśnie nowoczesności? A jeśli nawet, to czy daliście się wówczas ponieść wyobraźni tak daleko, by podjąć myśl, wedle której późniejsze pokolenia rolę owego kozła przyjęły na siebie z ochotą, ze wszystkimi tego konsekwencjami?

Że rzuciły się budować naród mistyczny, wiedzeni romantycznym duchem potrzeby stworzenia już nie narodu, ale narodu Ko-

ścioła, narodu, który „przelicytuje katolicyzm”? Który ofiarę Chrystusa podejmie jako własną, zechce kontynuować w całkowicie wszak pogańskim szale bezrozumnego oddawania krwi, tak by stać się zbawicielem narodów?

Albo czy zastanawiali się państwo w tym kontekście, dlaczego w rytuale ofiarnym toczonym tajemniczą mocą przez długie dzieje Polaków MUSIAŁA wydarzyć się katastrofa smoleńska? Dlaczego MUSIAŁA zginąć tam emanacja polskiego państwa reprezentowana przez tak liczne środowiska? Dlaczego MUSIAŁ znaleźć się tam nawet para-Piłsudski? I dlaczego ofiara ta odebrana została jako swoista „nie-do-ofiara”, bo przecież

turą, czymś więcej niż esejem. Książki, które wchodzą w duszę z impetem, pozostawiając po sobie ślad, o którym od razu wiemy, że pozostanie z nami na długo. Z nami to nie znaczy tylko z czytelnikiem, z nami to znaczy ze wspólnotą, którą te książki opisują. A książka „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?” Jana Maciejewskiego, opublikowana przez Wydawnictwo Literackie, jest opowieścią o naszej wspólnotce – o Polakach tkwiących w romantyzmie, wiedzących, że gdyby przestali w nim tkwić, byłiby kim innym, prawdopodobnie nie byłoby Polakami. Opowieścią wytykającą herezję i nieszczęścia, ale Polaków wcale za to niełajającą.

To więcej niż książka. To wydarzenie. Niech państwo zresztą nazwą to, jak chcą. Sposób myślenia? Stan umysłu? Zwierciadło duszy?

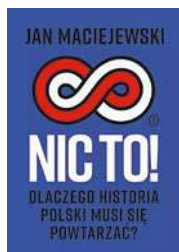
Nie byłbym sobą, gdybym nie podkreślił, że „Nic to!” to jedna z niewielu opowieści, która potwierdzając miłość do Sienkiewicza, uznając wielkość poprzedzających go wieszczów, kochającą Polskę i Polaków, zaznacza jednocześnie, że to nie Polska jest Chrystusem narodów. Że Chrystusem narodów jest... Chrystus. A Polska jest wśród narodów... Polską. Sprawą ważną, wielką, piękną. Ale mimo wszystko taką, o której – zestawiając ją z Chrystusem i wiecznością – powiedzieć można właśnie, że „Nic to”.

I, owszem, zdaję sobie sprawę, że już tylko po tym, co tu państwo wyczytali, to właśnie ta opowieść o herezjach przez wielu zostanie, kompulsywnie i rytualnie, uznana za heretycką. Ale pewnie i tak MUSI się stać. ©©

Rzadko zdarzają się książki, które są czymś więcej niż literaturą, czymś więcej niż esejem. Książki, które wchodzą w duszę z impetem, pozostawiając po sobie ślad, o którym od razu wiemy, że pozostanie z nami na długo

prezydent poniekąd nie wszystek zginął, wszak żył i żyje do dziś w swoim bracie bliźniaku. I dlaczego do tego dramatu MUSIAŁO dojść właśnie tam, na ziemi smoleńskiej, którą Polacy słusznie przez stulecia uważają za ziemię przeklętą, gdzie rozstrzelano polskich oficerów, którą utraciliśmy wskutek braku własnej roztropności, na której niegdyś kończyła się cywilizacja łaćkańska, a zaczynał Wschód, mroczny, tajemniczy, upiorny? Dlaczego to właśnie tam chciał, a także MUSIAŁ, umieścić akcję swego opowiadania o opętaniu katolickich zakonnic Jarosław Iwaszkiewicz?

Rzadko zdarzają się książki, które są czymś więcej niż litera-



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Kilka dni przed lanym poniedziałkiem Donald Trump zniósł limity zużycia wody wprowadzone przez Joe Bidena. Usunięto cały zestaw przepisów dręczących. No np. Biden zarządził, że prysznice mają mieć konstrukcję taką, by ciurkały jak mała konewka, a nie waliły mocnym strumieniem. Celem było oszczędzanie wody na planecie Ziemi, która jest wodą przepełniona.

Większość naszej planety to woda. Wody jest pełno. Punktowo istnieją pustynie, ale tam mało kto mieszka, więc nawet na pustyniach nie ma problemu z wodą, bo nie ma tam populacji chętnych do picia i mycia. Według identycznej zasady na pustyniach nie ma też problemu z przeludnieniem, z ptasią gripą, z nadmiernym stosowaniem nawozów sztucznych... Gdy rozmawiamy o dostępie do wody, proszę nie podawać przykładu pustyni, bo debatujemy o wodzie dla ludzi, więc interesują nas tereny, gdzie są ludzie.

Pustynię pomijamy w tej rozmowie, a reszta planety ma problem z nadmiarem wody, a nie z jej brakiem. Nawet wyznawcy sekty klimatycznej („ekolodzy”) potwierdzają, że w wyniku zmian klimatycznych grozi nam zalanie, a nie susza, grozi nam podniesienie się poziomu wody na całej planecie, a nie brak wody. Lodowce topnieją, czapy lodowe na biegunach maleją... W tej sytuacji dostęp do zasobów wody nie powinien być ograniczany.

Chcesz sobie wykopać studnię? Kop. Kop dowolnie głęboką – twoja inwestycja – i pij wody, ile chcesz, myj pachy po kilka razy dziennie, podlewaj ogród, bo na tej planecie



jest pełno wody. I nie daj sobie wmawiać, że wody brak.

Punkt widzenia: woda nie należy do władzy. Władza nie ma prawa pobierać opłat za wodę ani za powietrze. Prywatna firma może brać forszę za dostęp do swojej studni, bo wydali forszę na zbudowanie tej studni. Prywatna firma może brać forszę za dostawę wody do twojego domu (bo pompy i rury kosztują itd.), a zatem za DOSTARCZANIE wody godziwie jest żądać zapłaty, ale już za samą wodę nie.

A w Polsce za PiS weszły w życie takie przepisy, że każą płacić za wodę z własnej studni. Sam wykopałeś, kupiłeś pompy i filtry, płacisz za prąd do tych pomp, ale jeszcze dodatkowo władza każe płacić za samą wodę. Czy władza tę wodę dostarczyła pod ziemię? Stworzyła? Wyprodukowała? Czy władza tę wodę napadła deszczem? Nie. Woda pod ziemią jest od Pana Boga lub dla niewierzących od matki natury, ale rachunki za wodę wystawia władza. A teraz władza zaczyna dodatkowo ograniczać dostęp do wody, nakłada limity lub zakazy.

W różnych krajach UE ograniczenia na wodę już są. No np. zużycie powyżej 3 m sześć. oznacza wyższą cenę za każdy kolejny litr. Unia Europejska idzie w kierunku takim, by się myć raz w tygodniu, najpierw dzieci, a na końcu ojciec – wszyscy w tej samej wodzie.

Młody, gdy czyta o seryjnym kąpieniu w jednej wodzie,

myśli, że ma do czynienia z żartem, memem lub chorą wyobraźnią, a ja pamiętam, gdyśmy się kąpali kolejno w jednej wannie wody u mego wujka na wsi. Wtedy (za komuny) powodem kąpieli seryjnej był brak węgla. Węgla było pod ziemią pełno, czyli tyle co teraz – na setki lat do przodu – ale wydobywanie szwankowało i żeby węgiel kupić, trzeba było sobie załatwić urzędowy przydział. No i z powodu braku węgla byliśmy w stanie nagrząć tylko jedną wannę wody na całą rodzinę.

W Niemczech zachęca się ludzi do oszczędzania wody w taki sposób, że mają sikać w trakcie brania prysznica. Obrzydliwe, niemieckie, ordynarne, niemieckie, no... po prostu niemieckie i tyle. A potem w całej łazience cuchnie szczyną, no ale jesteśmy w łazience niemieckiej, więc to nikomu nie będzie przeszkadzać.

Niemcy są zawsze grubiańscy i wulgarni, przez całe swoje dzieje. Byli też zawsze praktyczni. I tu mamy połączenie tych cech – zamiast wysikać się normalnie do muszli, a potem spuścić wodę, sikaj pod siebie w trakcie brania prysznica; nie marnuj wody ze spluczki.

Ktoś z państwa się zastanawiał na chłodno, dlaczego w ogóle oszczędzamy wodę? Wody jest pełno. Nie ma żadnego powodu ani do oszczędzania wody, ani do gadania, że wody brakuje. Nie brakuje – WODY JEST PEŁNO. Zdarzają się susze, ale ogólnie wody jest pełno. Okresowo poziom wód gruntowych spada i niektóre płytko wykopane studnie

potrafią wyschnąć, no ale to trzeba było od razu kopać głębsze i wtedy wody nie brakuje nigdy.

Gdy kupiłem gospodarstwo w Polsce, było tam kilka studni i poprzedni właściciele z oszczędności lub lenistwa dokopali się wody na 6–9 m i już nie szli głębiej, bo po co, bo drogo... Ja, gdy kopałem moje studnie, jechałem od razu na 30 m i taka mi nigdy nie wysycha.

Powyższa rozmowa o wodzie to tylko jeden z przykładów tego, do czego nas doprowadziło bycie w Unii Europejskiej. Ano doprowadziło nas i prowadzi dalej w tę samą stronę, z której uciekliśmy – zawracamy w czasy komunistyczne.

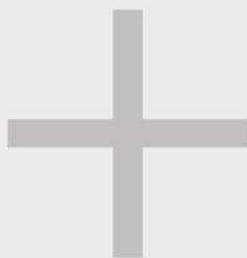
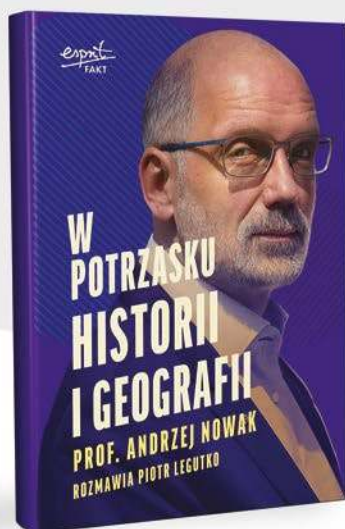
Przed Wielkanocą wysłuchałem debat prezydenckich. Żaden kandydat nie kwestionuje wprost członkostwa Polski w Unii. A przecież to takie narzucające się spostrzeżenie, że Unia Europejska jest dla Polski toksyczna, szkodliwa, że należy się ewakuować. Żaden kandydat tego nie widzi? Gdybyśmy nie byli w UE, to: moglibyśmy swobodnie palić polskim węglem i go wydobywać; moglibyśmy budować domy takie, jakie chcemy lub takie, na jakie nas aktualnie stać; nie musielibyśmy stawiać niemieckich wiatraków ani żadnych; nie musielibyśmy przyjmować imigrantów; nie podlegalibyśmy obcym sądom ani urządskom; polscy rybacy na Bałtyku mogliby łowić, ile zechcą; zagraniczne przedsiębiorstwa nie mogłyby transferować zysków za granicę w ramach swobodnego przepływu towarów i usług; granica z Niemcami byłaby strzeżona, a niemieckie radiowozy ani wojsko nie miałyby prawa wjazdu na teren RP. ©©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PROF. ANDRZEJ NOWAK,
ROZMAWIA PIOTR LEGUTKO: „W POTRZASKU
HISTORII I GEOGRAFII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~945~~ ZŁ

468,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 475 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e81998b0f8

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Inflacja, podatki,
tania energia
– czas mówić prawdę
o gospodarce.”*

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNIE - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.